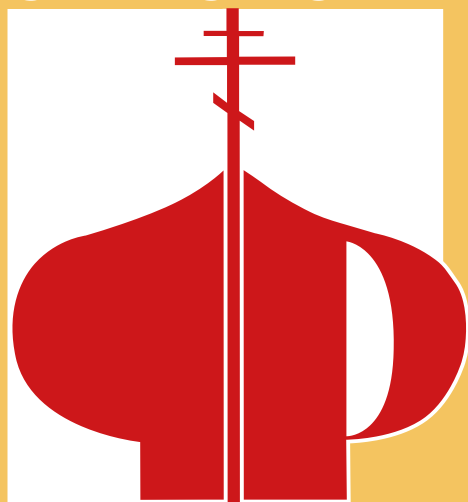
ORTHODOXIA



ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- **KALENDARZ 2018**
- **Podkarpacie. Święty z książęcego rodu**
- **Gruzin i Ormianin w jednym stali domku**
- **Język - żeby nie dzielił**

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 1 (391) styczeń 2018 cena 8 zł (w tym 5% VAT)

Narodzenie Chrystusa
Polichromia w cerkwi św. Jana Teologa w monasterze w Supraślu

Niech Nowonarodzony Chrystus obdarzy nas swoją miłością i mądrością, pokojem i radością

życzy zespół Przeglądu Prawosławnego i Fundacji Ostrogskiego

W numerze



W Rzeszowie Pascha

Pascha późną jesienią. Pascha w sobotę 2 grudnia 2017 roku. Bo jak inaczej nazwać uroczystości przeniesienia relikwii świętego Serafima Zahorowskiego z katedralnej cerkwi w Lublinie do cerkwi św. Mikołaja Cudotwórcy w Rzeszowie?

– Dziś radują się Niebiosa – mówił podczas Liturgii 2 grudnia arcybiskup lubelski i chełmski **Abel**. To Pascha Chrystusowa dla prawosławnych z Rzeszowa i całego Podkarpacia. To triumf wiary.

Przypomniał władyka Abel słowa arcybiskupa **Jeremiasza**, który powiedział, że nie bez Bożego *promysłu* zmarł święty na ziemi swoich przodków. Zmarł tu po to, by na Podkarpaciu odrodziło się prawosławie.

– Święty *ispowiednik* Serafin wraca do nas jak dobry ojciec, by przytulić nas do serca – mówił arcybiskup przemyski i gorlicki **Paisjusz**. – Przybywa w 70 rocznicę Akcji Wisła i setną rocznicę zakończenia gehenny Talerhofu. Mówi nam: „Bracie i siostro, stój na straży świętego prawosławia. Bądź wierny Cerkwi".

Liturgię współsłużyli biskup łódzki i poznański **Atanazy**, władyka Cerkwi Ziem Czeskich i Słowackich **Izajasz**, chyba wszyscy duchowni miejscowej





Na stronie obok władyka Paisjusz przed ikoną św. Serafima Zahorowskiego i władyka Abel

Cerkiew w Rzeszowie i podczas Liturgii 2 grudnia

diecezji. Przybył Archont Wielki Cerkwi Chrystusowej **Bazyli Piwnik** i wierni nie tylko z Podkarpacia.

– W cierpieniu rodzi się dobro – mówił potem dla Przeglądu Prawosławnego proboszcz parafii w Rzeszowie, o. **Dariusz Bojczyk**, syn tej ziemi, urodzony w Sanoku. Jest trzecim proboszczem odrodzonej, gdzieś po trzystu latach, prawosławnej wspólnoty w Rzeszowie. O nim władyka Paisjusz mówi: – Bardzo energiczny i bardzo wierzący, kocha Cerkiew i służby, dobry *propowiednik*, ale także psycholog.

Nową cerkiew wyświęcono tu w 2013 roku, na skraju miasta, ale w sąsiedztwie obwodnicy, w pobliżu rzymskokatolickiego cmentarza przy ulicy Cienistej 20. Obok stanął parafialny dom.

– „Jeśli będziesz miał w życiu ciężko, to znaczy, że Bóg cię lubi" – tak mówił mi zawsze o. **Mojżesz**, już nieżyjący, z monasteru w Wysowej. Zgadam się z nim – mówi o. Dariusz. – Na początku przychodziło do cerkwi z osiem osób, ale Liturgie były służone co niedziela. Służyliśmy też akatysty do św. Mikołaja i św. Spirydona, co tydzień, na przemian. Na początku nikt nie przychodził. Ale władyka Jeremiasz zachęcał mnie: „Służ. Nie ustawaj. Z czasem przyjdą". I zaczęli przychodzić. Jakież było moje zdumienie, gdy 25 grudnia, w pierwszym dniu Świąt Narodzenia Chrystusa, obchodzonych przez katolików, widzę cerkiew wypełnioną wiernymi. W tym dniu wspominamy św. Spirydona, świętego niepodzielonego Kościoła. To głównie katolicy wypełnili cerkiew. A do cerkwi na niedzielne Liturgie przychodzi teraz 60-70 osób. Dla tych ludzi co tydzień organizujemy spotkania. Bardzo ich potrzebują. Parafię tworzy sporo młodych ludzi. Rodzą się dzieci.



– Siejesz jedno ziarno i myślisz, kiedy upieczesz niego chleb – mówi władyka Paisjusz. A ja daję przykład Robinsona Cruzoe. On też w kieszeni znalazł jedno ziarnko. Tu na Podkarpaciu trzeba być cierpliwym – siać i czekać.

O. Dariusz jedzie prawie sto kilometrów z Rzeszowa do Tarnowa, by tam każdej niedzieli o ósmej służyć Liturgię. Przyjeżdża dużo wcześniej, bo trzeba z parafianami „urządzić" cerkiew w polskokatolickim kościółku w centrum miasta, z zewnątrz wyglądającym jak niewielka kamienica, przyklejona do dużego domu. W Tarnowie, najbardziej chyba katolickim mieście w Polsce, wysyłającym w świat najwięcej misjonarzy, o najwyższej frekwencji wiernych na nabożeństwach? Tam ziarno zostało rzucone. Na Liturgie przychodzi 6-10 osób, to więcej niż na początku w Rzeszowie. Przychodzi i piszący do nas Paweł Krysa, i Macedończyk Paweł, i Ukrainka, i cała rodzina pochodząca z Hajnówki. By z nimi się spotkać, o. Dariusz jedzie do Tarnowa w zwykły dzień, bo w niedzielę po Liturgii natychmiast wraca do Rzeszowa, by tam służyć, uczyć i spotykać się z dorosłymi. Wierzy, że tarnowska wspólnota szybko się rozwinie, jeśli będzie miała swego duchownego na miejscu.

Władyka Abel mówił 2 grudnia do władyki Paisjusza: – O wiele łatwiej jest kierować diecezją, w której są

tysiące wiernych. Ale Pan błogosławił was być apostołem na ziemi, na której trzeba wskrzeszać prawosławie, którym ta ziemia oddychała w czasach przed unią brzeską. Trzeba pielęgnować to, co zasiali wielcy pasterze tej ziemi, tacy jak Maksym Gorlicki. Wydawało się, że po Akcji Wisła trzeba śpiewać *wiecznaja pamiat'* dla prawosławia na Podkarpaciu czy Lubelszczyźnie. A tu stajemy przed nowym zjawiskiem. Ze Wschodu, z Ukrainy, przyjeżdżają do Polski emigranci. Rozsiewają się po całym kraju, tak jak ci, których wywieziono w ramach Akcji Wisła. Nowi emigranci trafiają także do cerkwi wzniesionych czy urządzonych przez wysiedleńców 1947 roku. A tak gdzie by rozwijali swoje duchowe życie? Męczennicy sprzed siedemdziesięciu laty stali się apostołami.

Parafia Prawosławna Przeniesienia Relikwii św. Mikołaja Cudotwórcy z Miry Licyjskiej do Bari

ul. Cienista 20, 35-323 Rzeszów

SWIFT:POLUPLPR

Iban: PL 60 8642 1142 2014 2405 2225 0001

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Święty z książęcego rodu

Prawosławny książęcy ród Sanguszków Zahorowskich herbu Korczak władał niegdyś ziemiami na Wołyniu i w Małopolsce od Przemyśla po Tarnów. Ale kiedy ostatnie objął płomień unii brzeskiej, choć najpóźniej ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, skarłowaciał jego wpływ na ruską kulturę. Pod presją unii kroczył ku katolicyzmowi, ale nie cały. Ci, którzy wiarę bardziej cenili od majątków i tytułów, osiedlili się na wschodniej dziś Ukrainie, na ziemiach, które po pokoju andruszowskim weszły w skład państwa moskiewskiego. Tam Zahorowscy nieśli posługę kapłańską.

I tak 27 czerwca 1872 roku w mieście Achtyrka w charkowskiej guberni w rodzinie diaka Michała Zahorowskiego przyszedł na świat Mikołaj, późniejszy święty Serafim Zahorowski, znany też jako Charkowski. Powiła go Paraskiewa, także pochodząca ze zubożałego *dworiańskiego* rodu Romańskich. Diak Michał szybko zmarł. Dziećmi – Michałem, Anną i najmłodszym Mikołajem – zajmowała się Paraskiewa. Synowie, jak nakazywała rodzinna tradycja, poszli do charkowskiego seminarium. Mikołaj ukończył je w 1894 roku i służył jako kapłan we wsi Policzkowskaja, a od 1901 roku we wsi Małyżino.

Z matuszką Katarzyną, która ukończyła studia diecezjalne, bardzo cieszyli się z przeprowadzki. Małyżino dawało bowiem szansę na lepsze kształceni ich dzieci – Lidii, Włodzimierza i Mikołaja. Ale okazało się duchową pustynią.

O. Mikołaj wiele łez wylał z tego powodu przed ikoną Matki Bożej *Wzyskanije Pogibszich*, która w tej miejscowości znajdowała się od 1770 roku – wspomina mniszka Tatiana. I zdarzył się cud – wielkie talenty aktorskie i komiczne o. Mikołaja przekształciły się w duchowe. W podzięce za cud udekorował ikonę o. Mikołaj klejnotami i nazywał cudotwórczą. Matka Boża przychodziła wiernym z pomocą. Cała rodzina o. Mikołaja Zahorowskiego będzie potem szczególnie opiekowała się tą ikoną. Św. Serafim Zahorowski zostanie przedstawiony na ikonie z trzymaną przez niego Ikoną Matki Bożej *Wzyskanije Pogibszich*.

Zahorowscy przeprowadzili się w 1910 roku do Charkowa. O. Mikołaj służył w cerkwi św. Teodora Stratylatesa przy Szpitalu Aleksandrowskim, założonym w 1869 roku na pamiątkę cudownego ocalenia cara Aleksandra w Paryżu w 1867 roku. W szpitalu leczono głównie ubogich robotników. I takimi opiekował się o. Mikołaj. Ale do szpitalnej cerkwi ciągnęli także bogaci i uczeni, bo chcieli posłuchać kazań batiuszki, trwających i dwie godziny, i porozmawiać z nim po Liturgii. Tyle promieniowało z niego ciepła i mądrości. Zaczęto nazywać go nasz Chryzostom, a siostry z monasteru mówiły o nim Batiunieczka.

Ach, musiał kochać modlitwę! Bo jakby inaczej, jeśli jego niedzielne i świąteczne służby kończyły się o trzeciej po południu! – Każda niedziela wyglądała u niego jak Wielkanoc – wspomina jedna z sióstr. Liturgia zawsze kończyła się akafistem do Matki Bożej. Ludzie płakali, płakał i batiuszka. Płakały ściany cerkwi – były mokre od ludzkich oddechów, bo ludzi gromadziło się zawsze bardzo dużo.

W Charkowie o. Mikołaj spotkał dwie osobowości Cerkwi. Jego władyką był Antoni (Chrapowicki). Ale w charkowskiej guberni urodził się święty, Jan (Maksymowicz), ochrzczony jako Michał, Misza, którego znamy jako Szanghajskiego (był biskupem Szanghaju, potem San Francisco). O. Mikołaj spotkał się ze św. Janem. Siostra Magdalena wspomina: „Wtedy Jan był studentem i codziennie przychodził do metropolity Antoniego. W katedralnej *Pokrowskiej* cerkwi znajdowały się relikwie św. Melecjusza (Leonowicza). Pewnego razu Misza, późniejszy św. Jan, podbiegł do o. Mikołaja i poprosił go o błogosławieństwo. – Misza, ty batiuszki, mając na myśli Antoniego (Chrapowickiego) nigdy nie ominiesz. Zobaczysz, zostaniesz w przyszłości biskupem i świętym – powiedział o. Mikołaj. – To wy batiuszka będziecie świętym – na to Misza".

O. Mikołaj organizował pielgrzymki do miejsc świętych swojej diecezji, opiekował się młodzieżą i ubogimi duchownymi, w 1913 roku wszedł w skład ogólnorosyjskiej misji prawosławnej. Publikował. Wyjawiał talent polemisty oraz duchowego przewodnika, obdarzonego zdolnościami literackimi.

Gdy w 1905 roku wybuchła wojna rosyjsko-japońska pisał: „Wiary, wiary, jak można najwięcej wiary i nadziei w Panu Bogu – tylko to po-

winni przekazywać kapłani ludziom w dniu dzisiejszym". W innym miejscu zwracał się do kapłanów: „Otwórzcie duchowe i święte pisma, zacznijcie rozmowę z ludźmi w różnym wieku, o różnym pochodzeniu i wykształceniu, a usłyszycie i przeczytacie smutne informacje o Cerkwi i kapłanach".

Pisał też: „Żyjemy w trudnych czasach – na naszych oczach odbywa się walka o władzę, wprowadzająca w życie niekończące się kłopoty... Na naszych oczach święta wiara prawosławna i Cerkiew ginie, ludzie są prześladowani. Jesteśmy świadkami niespotykanych anomalii moralnych, rozpusty i ekstrawagancji, potrzeb społecznych i ogólnych narzekań na trudności zarabiania na życie. Brak szacunku dla władzy, prawa i osób nas otaczających. Brak prawdziwego patriotyzmu, wszechobecne pragnienie krwi, bomb i terroru. Dlaczego wiara prawosławna Twojego społeczeństwa maleje i zanika, gdy nie tak dawno jeszcze jasnym słońcem świeciła wszystkim dookoła i dzwony świąteczne rozdzwaniały się do niebios? (...) Módlcie się o wyzwolenie od ognia i miecza i walki bratobójczej. (...) Rozsiewacie płody niewiary i nastawiacie innych na niewłaściwą drogę a interesy państwa i społeczeństwa odwracacie na własną korzyść".

Według siostry Alipii, starzec Anatol z Optyńskiej Pustelni był przed rewolucją spowiednikiem o. Mikołaja. W 1922 roku starzec Anatol tak mówił rodzinie Koncewiczów z Charkowa: – Nie bójcie się ani smutku, ani cierpienia. Wszystkie decyzje Boga wyjdą wam tylko na korzyść. Przed śmiercią będziecie dziękować Bogu nie za radość i szczęście, a za smutek i cierpienie. Im więcej było smutki i cierpienia w życiu, tym łatwiej będzie wam umrzeć, a dusze trafią do Pana Boga".

Na pewno podobne myśli przekazywał o. Mikołajowi.

Starca Anatola 29 lipca 1922 aresztowali bolszewicy. Poprosił swoich oprawców o jeden dzień przygotowania się do zsyłki. Gdy przyszli następnego dnia, zastali go spokojnie leżącego w trumnie.

17 marca 1923 roku bolszewicy po raz kolejny aresztowali o. Mikołaja, zapewne za to, że tak bronił monasteru, w którym rezydował metropolita Antoni (Chrapowicki), przed zamknięciem. Iwan Koncewicz wspomina: „Kiedy wieść o aresztowaniu o. Mikołaja rozeszła się, cały plac przed więzieniem zastawili chłopi wozami. A wszyscy więźniowie jedli to, co chłopi przywozili o. Mikołajowi. Wtedy władze zdecydowały się przenieść więźnia poza Charków, by odciąć go od tej fali miłości ludu". Trzy lata był o. Mikołaj na zsyłce. We wrześniu 1923 pisał do duchownych: „Żyjcie z samym Bogiem, tak jak ja ze łzami w oczach i z wielką czułością zawsze was uczyłem. Szanujcie ten mój testament, z miłością przebywajcie, radujcie się, modlitwy i łzy moje wspominajcie, przygotowujcie Bogu dusze swoje".

Gdy o. Mikołaj wrócił z wygnania, założył w swoim domu w Charkowie katakumbowy żeński monaster. W 1929 roku władze go wykryły, a w 1930 roku skazały o. Mikołaja na 10 lat łagru. Trafił na Sołowki. Tam, będąc już wdowcem, w tajemnicy przyjął *postrig* z imieniem Serafim, ku czci św. Serafima Sarowskiego. Po Sołowkach o. Mikołaj z innymi więźniami został zesłany na daleką północ. Szli razem, piechotą, przez tundrę, wyczerpani i zmarznięci. Jedną noc spędzili w opuszczonej czasowni. Po przebudzeniu o. Serafim zobaczył, że spał pod swoją ukochaną Ikoną Bagarodzicy *Wzyskanije Pogibszich*. Wiedział, że opiekuje się im Matka Boża. Tylko on, jedyny, dotarł do miejsca przeznaczenia. Zsyłka dobiegła końca w 1941 roku, gdy wybuchła wojna ojczyźniana.

Trafił do Obojni w kurskiej guberni. Zatrzymał się w tajnym żeńskim monasterze. Gdy Kursk znalazł się w rękach hitlerowców, o. Serafim powrócił do Charkowa, który był pod okupacją, gdzie znów zorganizował katakumbowy żeński monaster. Ze swojego mieszkania zrobił domową cerkiew. Ale Liturgie odprawiał w małej piwnicy swego domu, po brzegi wypełnionej wiernymi. „Wszyscy przyjmowali komunię, wszyscy niezmiernie się cieszyli, że powróciła przeszłość" – wspomina siostra Magdalena.

W 1943 roku do Charkowa zbliżała się Armia Czerwona. O. Serafim doszedł do wniosku, że nie da rady przeżyć już spotkania z bolszewikami. Postanowił, że wyjedzie na Zachód. Uciekał razem z niektórymi mniszkami z założonego przez niego tajnego monasteru, z synem, który był dyrektorem teatru w Charkowie, oraz trupą teatralną, z bliskimi. Uciekał z cudowną ikoną Matki Bożej *Wzyskanije Pogibszich*. Syn dotarł do Paryża i tam ponad dwadzieścia lat był starostą soboru św. Aleksandra Newskiego. Wnuk o. Serafima był ordynatorem kliniki kardiologicznej w Paryżu. Archimandryta Nektariusz wspomina: „Bardzo płakał, gdy przekraczał granicę. Niedługo potem dostał zawału, trafił do szpitala, gdzie przeżył tylko kilka dni". Siostra Magdalena, która razem z nim opuściła Charków, wspominała: „Batiuszka był już chory. Często miał ataki serca, ale odszedł cichą i spokojną śmiercią. Prawie cały szpital przyszedł popatrzeć na niego. Leżał taki uśmiechnięty, z miłą i spokojną twarzą".

O. Serafim zmarł 30 września 1943 roku w Przemyślu i tam na cmentarzu miejskim został pochowany. Miał 71 lat.

Myślał, że odchodzi na obcej ziemi. Charków uważał za swoje miasto rodzinne. Ale mniszka Magdalena, która była przy nim do ostatnich dni wspomina: „I jak się okazuje, jego dziadowie i pradziadowie tutaj poumierali. Przecież batiuszka pochodził ze starego przemyskiego rodu Sanguszków Zahorowskich. I nawet gdzieś tutaj był monaster Zahorowskich".

– Optyński starzec przepowiedział św. Serafimowi, że złoży kości na rodzinnej ziemi – mówi arcybiskup gorlicki i nowosądecki Paisjusz.

26 lipca 2011 roku zostały wydobyte relikwie świętego i przewiezione do katedralnej cerkwi Przemienienia Pańskiego w Lublinie. 2 grudnia 2017 roku umieszczono je w cerkwi św. Mikołaja Cudotwórcy w Rzeszowie, leżącym 90 kilometrów od Przemyśla.



O. archimandryta Nikodem,
niżej o. Dariusz Bojczyk w tarnowskiej świątyni

Od Legnicy po Charków

Rozmawiam z archimandrytą **Nikodemem**, proboszczem jednej z cerkwi w Charkowie. Z nim ponad dwadzieścia lat przyjaźni się arcybiskup lubelski i chełmski **Abel** – to na jego zaproszenie przybył do Rzeszowa na uroczystości przeniesienia relikwii. I jego władyka Abel zaprosił sześć lat temu, gdy relikwie umieszczano w lubelskiej cerkwi. Wtedy prosił go o gromadzenie wszelkich informacji na temat świętego. Archimandryta Nikodem gromadził. Rozmawiał nawet z mniszką, która ma teraz sto lat, a była postrzygana przez św. Serafina. Zgromadził listy, które o. Serafin pisał ze zsyłki do swoich mniszek, wiele ich było, i przekazał je władyce Ablowi. Za wysiłek śledzenia żywotu świętego o. Nikodem został odznaczony przez arcybiskupa **Paisjusza** medalem św. Maksyma Gorlickiego.

– To, że św. Serafim zmarł na ziemi swoich przodków, jest Bożym *promysłem* – mówi o. Nikodem. – Będzie tu wzmacniać prawosławie, na ziemi, z której było ono przez kilkaset lat rugowane. Teraz do Polski ciągną z Ukrainy emigranci, setki tysięcy. Im jest potrzebna Cerkiew i święty, którego ród łączył historię ziem współczesnej Polski i Ukrainy. Za życia był niczym św. Serafim Sarowski. Przyjmował wszystkich z radością, dla wszystkich pragnął dobra. Wierzę, że tak będzie i teraz.

O. Nikodem służył w Armii Radzieckiej. Został wcielony jako szeregowy do jednostki, która przebywała w Polsce, w Legnicy. Służył tu cztery lata, do 1990 roku, kiedy wojska radzieckie wyprowadzono z Polski. Wraz ze stopniem kaprala otrzymał samodzielny pokój, co było niezwykle ważne. Mógł w nim czytać i chować duchową literaturę. Gdyby została wykryta, od razu zostałby deportowany do Związku Radzieckiego, do jakiegoś obozu pracy. Zaczął jeździć do cerkwi, najrzadziej do legnickiej, bo tu łatwo mógłby zostać ujawniony. Ale otrzymał od o. Bazylego Litwińczuka, wtedy proboszcza legnickiej wspólnoty, adresy prawosławnych parafii. Jeździł oczywiście w cywilnym ubraniu. Docierał do Wrocławia. Spotykał się z władyką Jeremiaszem. Władyka rozmawiał z nim i dawał mu duchową literaturę.

– U nas w tym czasie nawet zwykły duchowny nie rozmawiałby z człowiekiem, który by do niego przyszedł prosto z ulicy, nawet ze swoim parafianinem, bo bałby się represji. A tu władyka rozmawia i ufa, daje książki, kiedy u nas żadna literatura tego typu się nie ukazywała, wychodził jedynie



„Żurnał Moskowskoj Patriarchii”. Jeździł od cerkwi do cerkwi. I widział, jak batiuszkowie w Polsce opiekowali się każdym spotkanym człowiekiem, jak go prowadzili do cerkwi. To wywarło na nim ogromne wrażenie. Dotarł też do arcybiskupa łódzkiego i poznańskiego **Szymona**. To on napisał list do władyki charkowskiego z prośbą, by o. Nikodema przyjęto jako *posłusznika* do Pokrowskiego Monasteru w Charkowie. – Jestem bardzo wdzięczny Cerkwi w Polsce, że dała mi taką szansę. To *promysł* Boży, że spotkałem takich duchownych, którzy w moim sercu utwierdzili wiarę prawosławną.

W monasterze był tylko rok. Potem przez dwadzieścia lat służył w siole Rakitnoje jako duchowny mnich. Teraz służy w Charkowie.

– Jak widzi Ojciec przyszłość prawosławia w Rzeszowie i okolicy? – pytam o. Nikodema.

– Tu prawosławie na pewno będzie się umacniać. O. **Dariusz Bojczyk**, proboszcz rzeszowskiej wspólnoty, walczy o każdą duszę. A ludzie będą ciągnąć do relikwii. Święty Zahorowski pomaga szczególnie emigrantom, urządzić się w obcym kraju.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Przyszło Boże Narodzenie… Przyszło

Okrucieństwo świata pochodzi od demonów. Rozpusta świata wywodzi się z tego, że cały człowiek stał się ciałem i tylko ciałem. A radość świata – hałaśliwa i gwałtowna, po której jest ciężko jak po piwie – to tylko dekoracja. To jak reprodukcja obrazu na ścianie, który wisi tylko dlatego, żeby zakryć dziurę w tapecie.

Na początku świat jest pusty. Po upadku człowieka, grzechu pierworodnym, jest pusty jak bęben. Pusty jak oczyszczony przez złodzieja portfel. Stamtąd, z czeluści pustki, wypływa ta sama powolna i dźwięcząca tęsknota, której jeśli ktoś nie zna, nie potrafi zrozumieć i poczuć sercem, z czego można się cieszyć w Boże Narodzenie.

Pusty świat i człowiek, nadęty jak balon. I jeśli trzeba dłużej żyć, nawet jeśli się nie chce, to trzeba się czymś pocieszyć. Pustka – od grzechu pierworodnego. Próżny zgiełk – od niemożności usiedzenia na jednym miejscu i w ciszy. Rozwiązłość – od tłumienia ducha, od totalnej władzy ciała i niemożności sprzeciwienia się tej władzy. A złość – od demonów. W szczególności przewrotna złość, w której uśmiechają się i robią przerwy. W której budowane są zamiary i plany. W której okrucieństwo nie jest porywcze, lecz świadome, sankcjonowane, ideologiczne.

Co jeszcze jest wokół, co pominęliśmy w tej wyliczance? Kogo nie wymieniliśmy?

Tak więc na taką, opisaną wyżej, ziemię przyszedł Chrystus. Na rozwiązłą od rozpaczy ziemię przyszedł nie mający w sobie grzechu Syn Dziewicy. Na zgłupiałą ziemię przyszła Mądrość Boża. Tam, gdzie pustka, przyszedł Ten, w którym pełnia. A ponieważ ziemia z powodu demonów stała się przewrotna i okrutna, na miłosiernego Chrystusa czekały na ziemi sieci słownych pułapek, krzyki krzyżujących i bicze żołnierzy pretorian. On wiedział o tym i mimo wszystko przyszedł. Nie odmówił. Przyjmij dziękczynny pokłon, Zbawicielu mój i Dobroczyńco.

Świętujemy Boże Narodzenie, panowie! Boże Narodzenie, mówię, świętujemy! Bracia i siostry, Madames i Messieurs, Wcielenie Syna Bożego obchodzimy! Święta nie są nam dane do wspominania wydarzeń, lecz do uczestniczenia w nich sercem. Według zamysłu, w idealnym stanie „nie wspominamy" i „jemy", a współuczestniczymy i weselimy się. I jeśli święto może przyłączyć człowieka do radości pastuchów, którzy słyszą chór aniołów, i mędrców, którzy przynieśli dary, to Boże Narodzenie jest w stanie pogłębić także i tę tęsknotę przedchrześcijańskiego świata, od której w umęczeniu ginęła ludzkość. (Czy nie ginie ona także teraz, tylko nie w oczekiwaniu na Odkupiciela, a jako ta, która się Go wyrzekła, a więc bardziej winna)?

Przedświąteczna tęsknota. Niezrozumiała pustka, dzień za dniem dręcząca serce. Smutne niezadowolenie ze wszystkiego ogólnie i z niczego konkretnie. Futro nie grzeje, zakupy nie cieszą, anegdota nie śmieszy. Wiadomości straszą, rozmowy męczą. Znamy to? Jeśli nie, to co was cieszy na Boże Narodzenie. Książka potrzebuje oprawy, a obraz ramy. Tak więc radości potrzebny jest smutny kontrast, dlatego że i radość jest odpowiedzią Boga na smutek świata. Konkretna odpowiedź na konkretny smutek. Mowa nie o osobistym smutku, który każdy ma własny, a o smutku powszechnym, którym dyszą wszyscy bez wyjątku. I łaska, ta, która obrzyna nie zewnętrzną część ciała, ale serce, czyni człowieka wewnętrznie czułym nie tylko na ruchy Ducha, ale i delikatny smutek tego wieku.

To smutek ginącego człowieczeństwa, smutek mało przez kogo uświadamiany, ale niewątpliwy, sprowadził z Niebios Syna Bożego. To On zmiłował się nad naszym niedostatkiem, naszym gaśnięciem, naszym bezowocnym pełzaniem w pyle. On przecież z Ojcem i Duchem nie po to nas stworzył, żebyśmy żyli tak, jak zwykle żyjemy. Jest przepaść między tym, jakimi powinniśmy być, a jakimi staliśmy się. I trzeba było to naprawić, ale nie ludzką ręką. Ona jest słaba. Trzeba było to naprawić Bożą ręką. Ręką, w pierwszej kolejności Dzieciątka. I to jest Boże Narodzenie.

Odczuwając dziwną, nieziemską radość z tego powodu, że On przyszedł, jesteśmy zobowiązani czuć obrzezanym sercem także smak tej tragedii, która doprowadziła do Wcielenia, a następnie do Cierpienia na Krzyżu Jezusa i Jego Zmartwychwstania. Nieodczuwanie radości jest bezbłędną diagnozą niewiary. I niepotrzebny świąteczny szum, to jedynie zasłona dźwiękowa. Boże Narodzenie potrzebuje ciszy. Ciszy i prostoty. Ciszy, prostoty i łez. Łez w ciszy i radosnej bojaźni.

Bojaźń przepędza tęsknotę i nadaje sens, bowiem jeśli coś jest naprawdę straszne (w nie codziennym, lecz biblijnym znaczeniu), to jest to owita w pieluszki, nagle rozwinięta, Prawda.

Wiele można mówić, ale jeśli nawet się rozgadałem, to już mi się odechciało. Ale czy trzeba?

Co powie człowiek, kiedy aniołowie śpiewają i to nie w pojedynkę, lecz chórem! Takie niezwykłe, ale całkowicie nieznane świętowanie. Mroźne, choinkowe, w bombkach i łańcuszkach, które zmęczyło nadchodzeniem, ogłuszyło nadejściem. Boże Narodzenie przyszło. Przyszło Boże Narodzenie. Przyszło….

o. Andrej Tkaczew
tłum. **Ałła Matreńczyk**



Samotnej kobiecie o świętach Bożego Narodzenia Jowanki

Narzekasz na samotność w wielkim mieście. Tylu ludzi wokół Ciebie, jak w mrowisku, a Ty jednak czujesz się jak na pustyni. Najbardziej odczuwasz to w czasie wielkich świąt. Wszędzie jest pełno radości, a Ty pogrążasz się w smutku. Boże Narodzenie i Wielkanoc są dla Ciebie jak jakieś puste naczynia, które wypełniasz łzami. Kiedy te wielkie święta są daleko za Tobą lub przed Tobą, jesteś spokojniejsza. Ale gdy się zbliżają i w końcu przyjdą, smutek i pustka panują w Twojej duszy.

Jak mógłbym Ci pomóc? Opowiem Ci historię o Świętach Bożego Narodzenia pewnej Jowanki, jej słowami, może się przyda.

„Od czterdziestu kilku lat przyglądam się temu światu jako panna. Żadnej radości, oprócz trochę tej dziecięcej w domu rodziców. Lecz przed światem nie okazywałam smutku. Przed ludźmi udawałam wesołą, a w samotności płakałam. Wszyscy mieli mnie za szczęśliwą osobę, bo tak się zachowywałam. Słyszę, jak wszyscy wokół mnie narzekają, ci po ślubie i ci bez, i bogaci, i biedni – wszyscy. I tak sobie myślę, dlaczego i ja muszę przed nieszczęśliwymi narzekać na własne nieszczęście i w ten sposób tylko powiększać smutek wokół mnie? Lepiej, jeżeli będę udawać wesołą. Dzięki temu będę bardziej przydatna smutnemu światu, a swoją tajemnicę zachowam dla siebie. Modliłam się do Boga, aby ukazał mi się w jakiś sposób, abym chociaż jeden Jego palec mogła poczuć. Tak się modliłam, aby nie skonać z ukrytej rozpaczy. Z każdych zarobionych pieniędzy dawałam jałmużnę, jak tylko miałam ku temu okazję. Odwiedzałam chorych i osieroconych, wnosiłam radość dzięki swojej udawanej radości. Wierzę w Ciebie dobry Boże, często powtarzałam, ale błagam Cię, daj mi jakiś znak, abym jeszcze bardziej mogła wierzyć. Wierzę, pomóż memu niedowiarstwu! – powtarzałam słowa Ewangelii. I rzeczywiście Pan mi się objawił.

Najbardziej męczące były dla mnie wielkie święta. Po Liturgii zamykałam się w swoim pokoju i płacząc spędzałam tam całe Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ale podczas zeszłorocznego Bożego Narodzenia objawił mi się Bóg. Oto jak to się stało.

Zbliżał się ten wielki dzień. Postanowiłam wszystko przygotować tak, jak to moja matka robiła – pieczeń, *czesnicę*, ciastka i całą resztę. Rozrzuciłam słomę po podłodze, rzuciłam po trzy orzechy w każdy róg pokoju – niechaj Święta Trójca będzie miłosierna na każdej z czterech stron świata. Robiąc to wszystko bez przerwy się modliłam: Panie, przyślij mi gości, ale bardzo głodnych i ubogich! Modlę się do Ciebie, ukaż mi się w ten sposób!

Czasami myślałam o sobie: szalona jesteś Jowanka, jakich to gości spodziewasz się na Boże Narodzenie! W ten święty dzień każdy jest w swoim domu, kto mógłby zawitać u ciebie? I dalej płakałam i płakałam. Lecz niezłomnie powtarzałam tamtą modlitwę i przygotowywałam wszystko. W dzień Bożego Narodzenia wróciłam do domu z cerkwi, zapaliłam świecę, nakryłam stół, postawiłam jedzenie i zaczęłam chodzić tam i z powrotem po pokoju. Boże mój, nie zostawiaj mnie! – znowu się modliłam. Tak niewielu przechodniów mijało mój dom. Przecież było to Boże Narodzenie, a i nasza ulica leży na uboczu. Lecz jak tylko śnieg zaskrzypiał pod czyimś nogami, podbiegałam do furtki! Może to mój gość? Nie, już poszedł dalej.

Przyszło południe i minęło, a ja nadal sama. Nagle zapłakałam i zawołałam: teraz widzę, Panie, żeś mnie opuścił na dobre! Płakałam tak i szlochałam, gdy nagle… ktoś uderzył w bramę i usłyszałam płaczliwe głosy:

– Poratuj bracie, poratuj siostro!

Szybko wybiegłam i otworzyłam bramę, a przede mną stał niewidomy i jego przewodnik, obydwaj zgarbieni, w łachmanach, przemarźli.

– *Christos Rożdajetsia*, panowie moi drodzy! – zawołałam radośnie.

– *Woistinu Rożdajetsia!* – odpowiedzieli przez dzwoniące z zimna zęby. – Zmiłuj się, siostro, nad nami! Nie chcemy pieniędzy. Od rana nikt nam nie dał nawet kawałka chleba, parę groszy i kieliszek rakiji – owszem, lecz chleba – nikt. Jesteśmy głodni.

Czułam się jak w niebie. Zaprowadziłam ich do domu i wszystko, co miałam, postawiłam przed nimi na stół. Podając im jedzenie płakałam z radości, a oni zaciekawieni pytali, dlaczego płaczę.

– Z radości, moi panowie, ze szczerej i ogromnej radości! Otrzymałam od Boga to, o co zwracałam się do Niego w swoich modlitwach. Od kilku dni modlę się, aby przysłał mi takich gości jak wy i oto jesteście. Nie zjawiliście się u mnie przypadkiem, tylko dobry Pan nasz wysłał was do mnie. Ukazał mi się dzisiaj przez was. Dziś są moje najradośniejsze Święta Bożego Narodzenia. Teraz wiem, że nasz Bóg jest żywy.

– *Sława Jemu i chwała! Amin* – odpowiedzieli moi drodzy goście.

Zatrzymałam ich do wieczora, napełniłam ich torby jedzeniem i odprowadziłam".

Takie właśnie było ostatnie Boże Narodzenie pewnej Jowanki. Daj Boże, aby w tym roku było jej jeszcze radośniej. Pomódl się również Ty, Córko, aby Ojciec niebieski ukazał Ci się w jakiś sposób – bo Bóg zna wiele sposobów – a doświadczysz cudu. Nie oddawaj się smutkom w ten wielki dzień, tylko przygotuj się do radości. A Wszystkowidzący, Wszechmiłosierny sprawi Ci radość.

tłum. **Vladan Stamenković**

Listy Misjonarskie
wydał hajnowski Bratczyk



Odrodzenie patriarchatu

10 listopada 1917 roku to dla ruskiej Cerkwi dzień szczególny. Gdy na ulicach Moskwy szalał już rewolucyjny terror i lała krew, wszechrosyjski sobór lokalny podjął decyzję o odrodzeniu, zniesionego w wyniku reform Piotra I, moskiewskiego patriarchatu.



– Sprawy odrodzenia patriarchatu nie można odkładać. Rosja płonie, wszystko się rozpada. I czy teraz możemy długo rozważać, że potrzebne jest nam narzędzie do zebrania, do zjednoczenia Rusi? Kiedy toczy się wojna, potrzebny jest jeden wódz, bez którego wojsko rozpierzcha się na wszystkie strony – przekonywał arcybiskup astrachański i cariowski **Mitrofan**, późniejszy nowy męczennik.

I większość spośród 445 uczestników (według oficjalnego spisu 81 biskupów, 14 mnichów, 109 przedstawicieli białego duchowieństwa, w tym 6 diakonów) opowiedziała się za tym rozwiązaniem.

12 listopada w wyniku głosowania wybrano trzech kandydatów – arcybiskupa charkowskiego **Antoniego**, arcybiskupa nowogrodzkiego **Arseniusza** i metropolitę moskiewskiego **Tichona**.

Pierwszego nazywano najmądrzejszym, drugiego najsurowszym, trzeciego cechować miała największa dobroć. Uczestnicy soboru zdali się na wolę Bożą – patriarchę wybrali w losowaniu. *Schimnich* Aleksy, starzec z Zosimowskiej Pustyni, wyjął z *kowczegu* jedną z trzech karteczek i na cały głos odczytał: „Tichon, metropolita moskiewski. Aksios!". – Aksios – powtórzyła za nim cała cerkiew. Intronizacja patriarchy „samowo dobrowo" spośród kandydatów odbyła się w *Uspienskim* Soborze na *Wwiedienije*.

Setna rocznica odrodzenia patriarchatu i intronizacji patriarchy Tichona, obchodzona uroczyście na początku grudnia w Moskwie, stała się nie tylko rosyjskim, ale i ogólnoprawosławnym świętem. Do Moskwy przybyli patriarchowie aleksandryjski **Teodor**, antiocheński **Jan X**, jerozolimski **Teofil III**, serbski **Ireneusz**, rumuński **Daniel**, arcybiskup cypryjski **Chryzostom**, arcybiskup Albanii **Anastazy**, metropolici warszawski i całej Polski **Sawa**, Ziem Czeskich i Słowacji **Rościsław**, Ameryki i Kanady **Tichon**, Achalciche i Tao-Klarżeti **Teodor** z Gruzińskiej Cerkwi Prawosławnej, lowczanski **Gabriel** z Bułgarskiej Cerkwi Prawosławnej, kijowski i całej Ukrainy **Onufry**, tokijski i całej Japonii **Daniel**.

Metropolicie Sawie, przewodniczącemu naszej delegacji, towarzyszyli arcybiskup bielski **Grzegorz**, o. **Dorotusz Sawicki** i lektor **Mikołaj Podolec**.

2 grudnia goście wzięli udział w transmitowanym przez telewizję Sojuz posiedzeniu końcowym soboru biskupów ruskiej Cerkwi.

– To posiedzenie, upamiętniające stulecie odrodzenia patriarchatu ruskiej Cerkwi, ma wyjątkowo uroczysty charakter – podkreślił, witając przybyłych, patriarcha **Kirył**. – A do tego historycznego wydarzenia doszło, być może, w najtrudniejszym momencie naszej narodowej historii, kiedy nastąpiło rewolucyjne zniszczenie całego życia, kiedy bardzo wiele sił, zewnętrznych i wewnętrznych, powstało przeciwko Cerkwi i rozpoczęły się już jej krwawe prześladowania – przypomniał. – Listę ofiar wśród duchownych zapoczątkowała męczeńska śmierć o. prot. Jana Koczurowa w Carskim Siole, kolejne padły jeszcze przed wyborem patriarchy. Dlatego władyka Tichon wiedział, jaki los go czeka, kiedy usłyszał o swoim wyborze. I wiemy, że – niestety – przeczucie go nie zawiodło. Siedem lat służenia na patriarszym tronie były latami *ispowiedniczestwa*. Nie tylko dlatego, że każdego dnia ryzykował życiem, nie tylko dlatego, że został pozbawiony wolności, ale dlatego, że codziennie otrzymywał świadectwa okrucieństw dokonywanych na hierarchach i klerze ruskiej Cerkwi, a także wiernych. Otrzymywał informacje o burzeniu cerkwi i monasterów, o niszczeniu tysiącletniej prawosławnej tradycji. Otrzymywał informacje o tym, jak władza, walcząc z Cerkwią, nie tylko atakowała ją z zewnątrz, ale i starała się od wewnątrz niszczyć jedność, doprowadzając do cerkiewnego *raskołu*.

Jak zauważył hierarcha, patriarcha Tichon nie doczekał czasów, kiedy Cerkiew uzyskała przynajmniej względną możliwość niesienia służby. – Nie doczekał chwały naszej Cerkwi, i duchowego odrodzenia narodu, ale wiemy, że św. Tichon z niebios widzi wszystko i, będąc wysławiony pośród świętych, modli się za naszą Cerkiew i za cały nasz naród – powiedział.

Później zabierali głos przedstawiciele lokalnych Cerkwi.

Spotkanie metropolity Sawy i członków polskiej delegacji z patriarchą Kiryłem i przedstawicielami RPC



Okolicznościowe pozdrowienie, wystosowane przez patriarchę konstantynopolitańskiego, odczytał metropolita **Hilarion**.

– Ponowne ustanowienie patriarchatu i wybór na patriarchalny tron metropolity moskiewskiego Tichona posłużyło zjednoczeniu Cerkwi, a sam patriarcha Tichon stał się przykładem wierności Chrystusowi, nadziei, pojednania i miłości – powiedział metropolita Sawa. Podkreślił, że imię patriarchy Tichona z miłością wspominane jest w Polsce także dlatego, że w 1892 roku został inspektorem, a następnie rektorem chełmskiego seminarium, zaś w 1897 biskupem lubelskim, wikariuszem warszawsko-chełmskiej diecezji. Podczas arcypasterskiej posługi odwiedził 110 parafii i trzy monastery – w Leśnej, Jabłecznej i Turkowicach.

– Cieszymy się, że możemy dzisiaj o tym wszystkim zaświadczyć, wzywając: *Światitielu Tichonie, moli Boga o nas!* – podkreślił.

Następne lata arcypasterskiego służenia biskupa Tichona przypomniał metropolita całej Ameryki i Kanady Tichon.

– Chciałbym powiedzieć kilka zdań o tym wielkim człowieku Bożym i wyznawcy, którego imię noszę i który był moim poprzednikiem w USA i w Kanadzie, gdzie służył jako biskup północnoamerykańskiej Cerkwi od 1898 do 1907 roku. Biskup Tichon miał wizję prawosławia w Ameryce, w której jedna prawosławna Cerkiew w Nowym Świecie łączyłaby wspólnoty ze stojącymi na czele tych wspólnot arabskimi, greckimi i serbskimi biskupami – wszystko w jednym arcybiskupstwie, na czele którego stałby rosyjski arcybiskup. Są nawet pisemne świadectwa o tym, że arcybiskup Tichon widział przyszłą autokefalię prawosławnej Cerkwi w Nowym Świecie – powiedział hierarcha.

Wieczorem na Kremlu odbył się wielki jubileuszowy koncert.

Wyświetlono film dokumentalny poświęcony historii patriarchatu moskiewskiego i jego zwierzchnikom w latach 1917-2017.

Następnie ze słowem do uczestników zwrócił się patriarcha Kirył.

Hierarcha po raz kolejny podkreślił, w jak trudnych warunkach zapadła decyzja o odrodzeniu patriarchatu. Przypomniał przenikliwe i przekonujące słowa patriarchy Tichona: – Wiadomość o wyborze mojej osoby na patriarchę jest dla mnie kartką, na której napisano: „Płacz, wzdychania i szloch” i taką kartkę miał połknąć prorok Ezechiel. Ileż łez przyjdzie mi połykać, ileż wzdychań mnie czeka w nadchodzącym patriarszym służeniu, zwłaszcza w obecnej trudnej chwili .

– Patriarcha Tichon rzeczywiście był wzorem prawdziwego arcypasterza Chrystusa: zdecydowany w piętnowaniu nieprawdy, wytrzymały w doświadczeniach, miłosierny wobec kajających się, niezmiennie gotowy do opieki nad cierpiącymi, żarliwy w modlitwie za naród Boży – podkreślił patriarcha Kirył.



– Nie powinniśmy zapominać o najważniejszej lekcji historii, która po raz kolejny potwierdza niepodważalną prawdę – nie można budować życia żadnego państwa i społeczeństwa wbrew odwiecznym moralnym przykazaniom, sprzeciwiając się okazywanej na pożytek człowiekowi woli Bożej i spychając wiarę na peryferie społecznego życia – mówił. – Wtedy spełniają się bowiem słowa Pisma Świętego: „Jeśli Pan nie zbuduje domu, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą. Jeżeli Pan miasta nie ustrzeże, strażnik czuwa nadaremnie”.

Na koncert złożyły się prezentacje multimedialne, odczytywanie fragmentów dokumentów, utwory muzyki cerkiewnej i ludowej.

4 grudnia, na *Wwiedienije*, na pamiątkę intronizacji patriarchy Tichona na środku soboru Zbawiciela w Moskwie stanęła przeniesiona z dońskiego monasteru *raka* z jego relikwiami. Liturgii, odprawianej w różnych językach, przewodniczył patriarcha aleksandryjski i całej Afryki Teodor. Do ektenii dodano modlitwy dziękczynne za wsparcie Cerkwi w czasie bolszewickich prześladowań, po ektenii odczytano specjalnie ułożoną z okazji jubileuszu modlitwę.

Następnego dnia metropolita Sawa wraz z pozostałymi członkami delegacji spotkał się z ambasadorem Polski **Włodzimierzem Marciniakiem**.

Z ambasady delegaci udali się do Pokrowskiego Monasteru, którego największą świętością są relikwie św. Matrony Moskiewskiej (XX wiek). Metropolita Sawa odczytał modlitwę i pokłonił się *moszczom*, a poświęconą na relikwiach ikonę Matrony przywiózł do warszawskiego soboru

Na str. 9 uczestnicy soboru w czasie uroczystego nabożeństwa w święto Wwiedienija (4 grudnia) w soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, niżje ikona św. Patriarchy Tichona

Po południu w patriarszej rezydencji w monasterze św. Daniela władyka Sawa spotkał się z patriarchą Kiryłem.

– Pod waszym kierownictwem umacnia i rozwija się prawosławie na polskiej ziemi – zwrócił się do gościa po krótkim molebniu zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi. – Chociaż w tym roku opuścili nas władyka Jeremiasz i władyka Szymon, z którymi byliśmy połączeni więzami współsłużenia i przyjaźni, wspominając w modlitwach ich odejście do Pana wyrażamy nadzieję, że nowe pokolenie episkopatu polskiej Cerkwi będzie godnie kontynuować świadczenie prawosławia na polskiej ziemi.

Patriarcha Kirył podkreślił duże zainteresowanie prawosławnych w Rosji Cerkwią prawosławną w Polsce. Przypomniał, że latem 2017 roku w świątyni Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, a także w Petersburgu, Jekaterynburgu, Irkucku odbyła się wystawa fotograficzna „Kolory prawosławia. Polska".

Sięgnął też do historii. – Wielu duchownych i świeckich przedstawicieli ruskiej Cerkwi prawosławnej, którzy weszli następnie w skład polskiej Cerkwi prawosławnej, było aktywnymi uczestnikami soboru – podkreślił, przypominając także o związkach patriarchy Tichona z Polską.

– Nasza wspólna historia jest ważna dla nas wszystkich, ale w pierwszym rzędzie dla młodzieży – powiedział metropolia Sawa.

I na wymianie studentów szkół teologicznych oraz pracy z młodzieżą skupiła się dalsza rozmowa.

– Pamiętam, jak bardzo pozytywne wrażenie wywarł na mnie pobyt na majowej pielgrzymce na Grabarce – przypomniał patriarcha, a metropolita Sawa na tę pielgrzymkę zaprosił młodych Rosjan.

Metropolita podarował patriarsze kopię Turkowickiej Ikony Matki Bożej, przed którą modlił się na polskiej ziemi święty Tichon. Zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi wręczył metropolicie Sawie pamiątkowy komplet panagiji, obraz z wizerunkami rosyjskich patriarchów i pamiątkowy medal.

Ałła Matreńczyk

fot. **www.patriarchija.ru**

Bezpośredni telefon do Boga

Z o. EUGENIUSZEM KONACHOWICZEM nestorem duchownych Cerkwi prawosławnej w Polsce rozmawia Anna Radziukiewicz

Anna Radziukiewicz: – Skończyliście Ojcze 90 lat. Nadal służycie, spowiadacie. Wielu wiernych oczekuje na wasze duchowe rady, prosi was o modlitwy. Czego przede wszystkim uczycie?

O. Eugeniusz Konachowicz: – Pokory, po słowiańsku *smirenija*.

– To takie ważne?

– Bez *smirenija* nie będzie zgody ani w rodzinie, ani w kraju. Każdy z każdym będzie walczył o to, by jego „prawda" była na wierzchu. A dlaczego tak wiele małżeństw teraz się rozpada – według statystyk gdzieś co trzecie. To już katastrofa. Może dlatego, że młodych nie uczy się pokory. Za to uczy się bycia asertywnymi, czyli dbania o własny komfort, wygodę, budowanie własnego „ja".

– Bo może trudno nauczyć się pokory?

– Oj trudno! Nasza natura jest jak dziki koń, pędzi na oślep. I my w tym galopie musimy dogonić konia, zarzucić mu lasso, potem dać mu suchej trawy i ganiać wokół siebie do potu, do zmęczenia, aż się ukorzy.

– Człowiekowi pokornemu łatwiej usłyszeć głos Boga?

– Tylko taki może słyszeć głos Boga. Człowiek o wybujałym egoizmie jest głuchy nie tylko na głos Boga, ale i najbliższych, na ich potrzeby, oczekiwania, racje.

– Możemy prosić Boga?

– Zawsze! Proście, a *Hospod'* wam da. Jest takie posłanie apostoła Jakuba, krótkie, warto do niego wracać. Apostoł mówi, że *Hospod'* tak umiłował ludzi, że chce, byśmy przekazywali Mu wszystkie swoje problemy, sami nie zamartwiając się nimi. *Hospod'* pomoże. O tym samym przypomina jeden z psalmów – powierzcie Bogu swoje zmartwienia.

– Bogu zawracać głowę swoimi problemami! – myśli wielu.

– Tak, proście Pana. Bóg chce, żebyście Go jak najczęściej prosili. Jesteśmy Bożymi dziećmi – tak mówi Nowy Testament. Otrzymaliśmy od Boga taką *błagodat'*! W Ewangelii św. Jana czytamy, że Chrystus przyszedł do swoich, ale nie wszyscy Go przyjęli, a ci, którzy przyjęli, mogą siebie nazywać Bożymi dziećmi. Więc jak najczęściej zwracajcie się do Chrystusa – jak dzieci. Polscy socjologowie policzyli, że trzyletnie dziecko potrafi w ciągu dnia około pięciuset razy zwrócić się do swojej matki z pytaniem lub prośbą. A my zwracamy się do Boga tylko dwa razy dziennie – rano i wieczorema, przez resztę dnia uważamy, że nie powinniśmy Panu Bogu zawracać głowy. To błąd.

– Święty Mikołaj Serbski mówi, że ludzie uginają się pod brzemieniem trosk i nie wiedzą, że powinni złożyć wszelką troskę na Boga. Dla słabego człowieka – mówi dalej – nawet najmniejsza troska jest nie do uniesienia, podczas gdy dla Boga góra trosk jest jak śnieżka wrzucona w ognisty piec.

– O tak, tak.

– Wielu ludzi myśli – moja modlitwa jest niegodna. Bóg mnie nie usłyszy. Wtedy przychodzą na przykład do duchownego i proszą, jak Was, o modlitwę.

– Musimy uwierzyć, wręcz zakodować sobie, że Pan mnie lubi, że jest bardzo blisko i nie trzeba Go szukać daleko. Rozumiem, że można odwiedzić monaster i napełnić się tam duchem wiary, ale to nie znaczy,

że mamy szukać kontaktu z Bogiem gdzieś daleko. Trzeba po prostu wierzyć, że *Hospod'* nas usłyszy. Bo On nas słyszy! Proście Boga wszystko znosić cierpliwie.

– A o mądrość też trzeba prosić Boga?

– Tak, bo mądrość to dar Boży. Tworzyć modlitwę – takie jest piękne określenie w cerkiewnosłowiańskim – powinni przede wszystkim duchowni. Tak często myślą świeccy. Duchownego nikt nie zwolni od modlitwy. To jest jego podstawowa posługa. On nie może skracać nabożeństw, nie może redukować liczby odmawianych modlitw, bo on modli się za cały świat. Ale ludzie świeccy też powinni modlić się za duchownych. To ich podtrzymuje, utwierdza w wierze.

– Ludzie dziś narzekają często: „Nie mam czasu na modlitwę".

– To nieprawda, że nie mają czasu. Przecież, żeby połączyć się z Bogiem, to tyle co pstrykąć światło. Od dwóch słów wszystko się zaczyna: *Hospodi pomiłuj, Hospodi błagosławi, Hospodi podaj, Hospodi wrazumi, Hospodi umudri, Hospodi pomogi*. I zaczynaj swoje dzieło. A po jego skończeniu powiedz: *Sława Tiebie Hospodi, sława Tiebie*. Nawet rozmawiając z kimś możesz powtarzać którąś z tych najkrótszych modlitw. Modlitwa jest niczym bezpośredni telefon do Boga.

– A jak powinniśmy dziękować Panu za jego wielkie dary?

– Idąc na przykład do cerkwi powinniśmy wcześniej pomyśleć, za co mamy Bogu dziękować i o co Go prosić. Apostoł Paweł uczy, że wszystkie nasze prośby zaczynają się od *błagodarenija*. Najpierw dziękujcie, a potem proście o to, czego wam brakuje. Dziękujcie i proście. I tylko tak. I nie popadajcie w wątpliwości. A *Hospod' Boh* wam pomoże.

– Wiara to dar Boży?

– Tak. Popatrzcie, jak wielu jest niewierzących. Gdyby tak lekko było można otrzymać dar wiary, to wszyscy byliby wierzący.

– Dar wiary jest najważniejszy?

– Nie, dar miłości. Na pierwszym miejscu stawia *Hospod'* miłość. Człowiek pełen miłości posiada wewnętrzną radość, której nie opiszesz, a która świeci się na jego obliczu. Radość to taki głęboki spokój.

– Czym jest radość w Bogu?

– Radość uzyskiwana w wyniku rozrywki, po świecku, gdzie dochodzą do głosu emocje, stany pobudzenia, namiętności, jest zupełnie czym innym niż duchowa. Ta, która dotyka duszy, jest szczególna. Ją trudno wyrazić, ale ona maluje się na obliczu. To tak jak powiedział Chrystus: „Ja jestem światłością świata", a potem odwrócił się do ludzi i dodał: „I wy jesteście światłem świata". A czym człowiek świeci? Obliczem.

– Gdy ludzie wychodzą z cerkwi, ich oblicza są spokojniejsze, radośniejsze.

– Bo świecą się wewnętrzną radością. Do takich ludzi garną się inni. Oni nie muszą nawet mówić.

– Można zdać się tylko na własne siły?

– Nie można. Przyszedł do mnie kiedyś mężczyzna, młody jeszcze. Na imię miał Piotr. Mówi, że nie chce żyć.

– Ale przyszedł?

– Tak, nikt go nie przyprowadził, nie zmusił do wizyty. To oznaczało, że szuka ratunku. Prosił o modlitwę za niego. – Nie odbieraj sobie życia – prosiłem go. Chodź do cerkwi. Jakieś słowo wpadnie do twojej duszy. Bóg cię kocha i dał ci znak, byś przyszedł do mnie. Mówię ci, warto żyć, nawet gdyby wszyscy cię porzucili i wszyscy o tobie zapomnieli, to żyć warto. Nie za to, że niesiesz ciężki krzyż czeka cię nagroda, tylko za to, że niesiesz go z radością.

– Z radością znosić samotność, odrzucenie czy ciężką chorobę?

– Tak, bo możesz nieść i 90 lat, ale jeśli narzekasz, to na nic twoja wiara, bo narzekałeś, a nie niosłeś krzyż. A ty nieś z radością i ciągle dziękuj Bogu i idź do przodu.

– Bez Bożej pomocy odróżnimy dobro od zła?

– Nie odróżnimy. Będziemy się zachowywać jak alkoholik. On powie: „Wszyscy są uzależnieni, ale nie ja, ja mogę rzucić picie w każdej chwili. Inni mówią: wszycy źle się zachowują, ale nie ja".

– Trudno wyrwać się ze szponów zła?

– Tylko z Bożą pomocą.

– Wiem Ojcze, że macie od lat poważne kłopoty ze wzrokiem.

– O, to jest wielki uszczerbek. Tak wiele mógłbym przeczytać, zwłaszcza

O. Eugeniusz Konachowicz, zdjęcie z 2005 roku



w nocy, kiedy nie śpię. A tak to powtarzam z pamięci modlitwy i służby, które umiem. Czytanie to wielki dar, wielkie bogactwo, a jeszcze duchowej literatury! Taka lektura daje najwięcej, ona *wrazumlajet*. Nie można niczego wymagać od *Hospoda*, ale prosić można. I ja proszę Boga, żeby pozwolił mi jeszcze zobaczyć. I bywa, że pozwala, ale we śnie. Kiedyś wnuczek przyniósł „Przegląd Prawosławny" – czyta mi go matuszka, oj, dobre to pismo. Mówię do wnuczka: „Spójrz na okładkę. Pierwszy tytuł brzmi tak" – mówię. „Drugi tak i tak, a trzeci tak, czwarty tak". „Wszystko się zgadza dziadku"! – wykrzyknął wnuczek. I jeszcze opisałem mu zdjęcie na okładce. Bo ja tę okładkę widziałem we śnie, dokładnie. Bóg więc pozwala zobaczyć.

– Na Waszej twarzy nie widać cierpienia ani smutku, tylko radość.

– Bo to co daje Bóg, każdy krzyż, trzeba nieść z radością.

– Kiedy weszłam do was, powiedzieliście Ojcze, że modlicie się za

czterech naszych nowych władyków.

– Tak, modlę się za nich, bo *smirenny* i mądry władyka może mnóstwo dobrego zrobić dla wiernych, a kiepski wiele popsuć. Więc modlę się, żeby omijały ich błędy.

– Jeden z władyków pochodzi z parafii, w której wiele lat służyliście.

– Tak, to władyka Atanazy. Pochodzi ze wsi w parafii Jałówka na Białostocczyźnie, w której bardzo rozpleniła się w okresie międzywojennym sekta Eliasza z Grzybowszczyzny. To była straszna herezja. Byli i tacy wyznawcy Eliasza, którzy przychodzili do cerkwi i zamiast słuchać *propowiedi* batiuszki podczas Liturgii, głosili swoje poglądy, na głos. Mam nadzieję, że władyka będzie się za nich modlić, by Bóg zmarłym wybaczył ich herezję. Może to *promysł* Boży, że z tej wsi pochodzi władyka.

– Pamiętacie władykę jako młodzieńca?

– O tak! Pięknie prowadził zeszyty, każdy starannie zapisany i do tego ozdobiony. Dobry był z niego uczeń. Kiedyś podszedł do mnie. To było na podwórku. Mówię do niego: „Zdejmij czapkę". Zdjął. Pobłogosłowiłem go i mówię: „Jak dorośniesz będziesz wielkim *bogosłowem*".

– Tak powiedzieliście?

– Tak. Może dlatego, że kiedy przyjmowałem *świaszczenstwo*, prosiłem *Hospoda*: „*Hospodi*, spotykając ludzi pozwól, bym to nie ja do nich mówił, a Ty poprzez moje usta". A obecny władyka łódzki i poznański Atanazy skończył podstawówkę, szkołę średnią. Spotykam go w autobusie. „Dokąd jedziesz?" – pytam. „Na egzaminy. Na historię będę zdawać". „A jak nie zdasz, pójdziesz do seminarium?" – pytam. „Ojcze, ja mam historię w jednym paluszku" – odpowiada. Minęły trzy dni. Przychodzi do mnie: „Batiuszka, piszcie opinię, pójdę do seminarium" – mówi. I tak skończył seminarium duchowne, wyjechał na studia do Stanów Zjednoczonych. Był nawet ipodiakonem metropolity Ameryki.

– To Bóg nim kierował?

– Na pewno.

– Dziękuję za rozmowę.

I o naszej wywózce nie można zapomnieć

Wiosna 1945 roku, Stanisławowo. – Wszyscy prawosławni powinni wyjechać na wschód – mówi do swych parafian o. **Teofan Rakiecki**. Kto go do tego skłonił, nie wiadomo do dziś.

na Stanisławowo, w *nowogieorgijewskiej* twierdzy rozlokowała się baza Polskiej Marynarki Wojennej, a piękna cerkiew, choć wciąż są wierni, zostaje rozebrana – Stanisławowo pozostaje jej wsią.



Stanisławowo, lata 30., przed cerkwią urządzoną na plebanii

Teodora Leonowicz z domu Dziemieńczuk, mama matuszki **Heleny Kuprjanowicz**, płacze. Jak to wyjechać? Stanisławowo to jej rodzinna wieś. To tu, do założonej w 1839 roku wokół twierdzy *nowogierogijewskiej* (dziś Modlin) Kolonii Aleksandryjskiej, zostali sprowadzeni, w grupie 350 kolonistów, jej dziadkowie **Stefan** i **Paraskiewa**, rodem spod Pińska. Czekał na nich zbudowany przez ruskich cieśli dom, 20 morgów ziemi, narzędzia rolnicze i wyposażone gospodarstwo oraz żywność aż do pierwszych zbiorów. Także praca w twierdzy. I cerkiew. Na początku w *kreposti*, a po siedmiu latach już we wsi, „jedna z lepszych murowanych prawosławnych świątyń w Królestwie Polskim", zbudowana na planie krzyża o boku 25 metrów i wysokości 38, a więc rozmiarami zbliżona do obecnego soboru w Warszawie.

I choć koniec I wojny światowej przyniósł koniec starego świata – Kolonia Aleksandryjska zmieniła nazwę

Tu wychodzi za mąż za **Pawła Leonowicza**, tu w 1937 roku oboje cieszą się, że władze w końcu pozwoliły na budowę dużo mniejszej murowanej cerkwi, bo przez kilkanaście lat modlili się na plebanii, tu radują, gdy w 1939 na świat przychodzi ich dziecko, **Helenka**.

Stąd zaraz potem Paweł wyruszył na wojnę, tu szczęśliwie z niej wrócił, tu Teodora urodziła kolejne dziecko, **Kolę**, tu zastał ich koniec wojny. To nic, że ledwie wybudowana cerkiew jest bardzo zniszczona, brakuje drzwi wejściowych, okien, szyb, przez dziurawy dach deszcz leje się do środka – w parafii jest wciąż około sześciuset wiernych. I teraz ma stąd wyjechać? Jak to?

– Wyjeżdżamy – mąż nie ma wątpliwości. Pochodził z Wileńszczyzny, w latach międzywojennych w Modlinie odbywał służbę wojskową i w cerkwi, na chórze, poznał Teodorę. Teraz może chce do bliskich wrócić?

W Stanisławowie robi się niespo-

kojnie. Pewnego wieczora ktoś z rewolweru strzela do szwagra Teodory. – Wyjeżdżamy, nie wiadomo, co nas tutaj czeka.

Bezpiecznie czują się ci, którzy założyli mieszane rodziny. Pozostał więc jedyny brat Teodory, który ożenił się z ewangeliczką. Także **Piotr Akimow** z żoną katoliczką. Pozostała też pani **Juszczenko**. Jej męża wcześniej aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku. Postanowiła w Stanisławowie na niego czekać, a dzieci z siostrą męża wyprawiła na *rodinu*.

– Ten wyjazd zapamiętam do końca życia – mówi matuszka Helena Kuprjanowicz. – Miałam wtedy sześć lat

Bocznica stacji Modlin, skład bydlęcych wagonów. Gorączkowa krzątanina, nerwowe pokrzykiwania. Ryczenie krów i pisk świń – dobytek jest już w wagonach. Tata w nocy pilnuje już krowy i beczki soli. Mama z dwójką dzieci wraca do domu, na ostatnią noc.

Układa dzieci *w sionce*, na szmacianym chodniku. Okrywa je swoim paltem, siada obok, płacze. Dwuletni Kola zasypia. Helenka nie może. Przez uchylone drzwi widzi część pokoju, długo patrzy na wysoki kwietnik z popiersiem dziecka na samej górze i doniczką z asparagusem na środkowej półce.

Ledwie zaświtało, Teodora z dwójką dzieci wyrusza w stronę Modlina. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na rodzinny dom, stojący jak prawie wszystkie szczytem do ulicy, na kopuły cerkwi. W wagonie Paweł układa dzieci na sianie. Jego zapach i miarowy stukot kół uspokaja, dziewczynka usypia.

Baranowicze. Skład wagonów zatrzymuje się na bocznicy, na dość długo. Po jednej stronie zniszczone miasto, z ruinami przedwojennej cukierni, po drugiej pastwisko, na którym pasie się stado czerwonych krów z dużymi rogami.

Dzieci wybiegają na trawę. Jedna z krów bierze Kolę na rogi i podrzuca jak zabawkę. Chłopcu na szczęście nic się nie stało. Odtąd dzieci mogą wychodzić tylko pod opieką rodziców.

Następnego ranka Teodora wybiera się na długi spacer. Jest smutna, przygnębiona, właśnie dowiedziała się, że spodziewa się kolejnego dziecka. A tu życie w wagonie, niepewność. Musiała wszystko sama przemyśleć, może wypłakać, albo się pomodlić…

Wróciła w dużo lepszym nastroju, na pastwisku, wśród łusek, znalazła, wklęśnięty z jednej strony, garnek z kaszą gryczaną w środku.

– Popatrz Pawłusza, żołnierze nie zdążyli jej zjeść, musieli pewnie uciekać w popłochu – mówi przejęta do męża.

– Już dobrze, dobrze – odpowiada. – A garnek wyklepię i będzie jak nowy.

Nagle słyszą przeraźliwy krzyk. „Mikołaj nie żyje!" – Mikołaj? Który? – dopytują się, bo w wagonach było ich kilku. Na peronie leży jeden z czterech szwagrów Teodory, dostał zawału serca, pierwsza ofiara wyjazdu. Osierocił dwoje dorosłych już dzieci, bardzo opłakiwały go wnuki, **Georg** i **Zoja**.

Zbombardowana cukiernia wciąż słodko pachnie. Zadomowiły się w niej na dobre stada szczurów. Kiedy zapada zmrok, wbiegają do wagonów przesiedleńców. Mężczyźni z długimi kijami starają się je zabić albo przynajmniej przepędzić. Któregoś nocy szczur, zwabiony zaschniętą resztką zupy na angorowej bluzeczce Helenki (nikt do spania się nie przebierał), wygryzł w niej dziurę.

– Pawłusza, przecież on mógł odgryźć nos naszej córeczce – długo nie mogła się uspokoić mama

Władze wkrótce zaczęły zasiedlać repatriantami ze Stanisławowa domy Polaków, którzy wyjechali już nad Wisłę. I tak jedni mieszkańcy Stanisławowa już w Baranowiczach znaleźli nowy dach nad głową, inni w pobliskiej wsi Mołczad'. Osiadły tam dwie siostry Teodory. Dostały drewniane zapuszczone domki z ogródkiem i piecami ulepionymi z gliny. Ubogo, żeby nie powiedzieć biednie. Także rodziny, które znalazły się w Słonimie, Lidzie i Mińsku, trafiły na spartańskie warunki. Byle jakie mieszkania i byle jaką pracę.

Tatę Pawła ogarniały coraz większe wątpliwości. Postanowił zorientować się, co dzieje się z jego rodziną na Wi-

Cerkiew w Stanisławowie, rok 1934



leńszczyźnie. Wyprawił tam **Walka**, swego kolegę *ziemlaka*, który ożenił się z kuzynką Teodory.

Walek nie przywiózł dobrych wieści. Okazało się, że rodziców Pawła z najmłodszym bratem **Piotrem** wywieziono na Syberię, do Barnaułu. Mąż jednej siostry, oficer korpusu Wojsk Ochrony Pogranicza, zginął najprawdopodobniej w Katyniu, a druga wyszła za mąż za prawosławnego duchownego.

Paweł już nie miał wątpliwości – trzeba wracać. Nie było to jednak proste.

Tymczasem nadeszła zima. Mama zawiozła Lenę do jej chrzestnej, do Mołczadi. Chrzestna była krawcową. Uszyła małej paltko z szarego baranka, do tego czapkę a la czerwony kapturek i mufkę na sznureczku. I już w najbliższą niedzielę zaprowadziła do cerkwi. W cerkwi wszyscy stali w porwanych, czarnych butach, chyba walonkach, ona jedna – w brązowych, co prawda bardzo zimnych, trzewikach.

W jaki sposób tacie i wujkowi **Władkowi** udało się załatwić powrót do Polski, wiedzą tylko oni i Bóg. W kwietniu 1946 roku, już jako prawosławni, urodzeni w Polsce Polacy, ruszyli w drogę powrotną. Pociąg zatrzymał się w Skarżysku-Kamiennej. Rodzice poszli na stację. Dzieci miały nie ruszać się z wagonu.

W pewnej chwili pociąg ruszył. Lena z bratem zerwali się na równe nogi, pobiegli w stron wyjścia. Za-

Rodzina Dziemiańczuków przed wyjazdem do ZSRR. Siedzą od prawej żona wuja Mikołaja, jej zięć Walek, wuj Tima z Szurykiem. Stoją od prawej Mikołaj, który zmarł w Baranowiczach, Zoja (z lalką), siostra Halina, matuszka Helena. W ostatnim rzędzie od prawej ciocia Żenia, pani Panasiuk, ciocia Katia

uważyli ojca, który niósł na rękach mamę. – Zatrzymaj pociąg – krzyczał do maszynisty. Obok taty ktoś niósł małe zawiniątko. Ich najmłodszą, urodzoną na stacji siostrzyczkę. Oglądali ją z takim skupieniem, że nie wiadomo kiedy dojechali do Modlina.

Niestety, stary dom Dziemieńczuków w Stanisławowie jest już w rękach przybyszy zza Buga. Przyjęła ich rodzina wujka Władka – udostępniła pokój. Teodora znowu gotuje barszcz z ziemniakami tłuczonymi, wkładanymi do środka, we środy i piątki podaje śledzia *z supirtasem*, na niedzielę piecze *watruszki*, drożdżowe bułeczki z serem. I z siostrą Żenią cały czas rozmawia po rosyjsku.

Do Stanisławowa dojeżdża batiuszka, o. **Wsiewołod Łopuchowicz**. Przyjeżdża raz w miesiącu, szaty liturgiczne i Ewangelię zostawia u Leonowiczów.

We wrześniu Helenka idzie do



pierwszej klasy w Pomiechówku. Jeszcze nie wie, że szkołę zbudowano z rozebranej w Stanisławowie, a wyświęconej w 1846 roku cerkwi, a cegły, zdarzało się, dowoził swoim ciężarowym samochodem sam premier – generał **Sławoj Składkowski**, który miał w okolicy swoją rezydencję.

Po roku Leonowiczowie przenoszą się do Modlina, potem do Warszawy. W 1955 roku umiera Teodora, ma zaledwie 42 lata. Zostaje pochowana, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, na cmentarzu w Stanisławowie. Szesnastoletnia córka często przyjeżdża na jej grób i do cerkwi. Nieraz z ciocią Żenią chodzi sprzątać *chram*. Z cementowej podłogi długo trzeba zbierać wodę – deski ułożone są tylko w ołtarzu i na klirosie.

Cerkiew wciąż pozostaje nieotynkowana, remont zewnętrzny wraz z położeniem tynków przeprowadzi o. **Borys Dekaniec**.

Potem przyszła kolej na remont wewnętrzny. Cerkiew obito pilśnią, ale że dach nie był dobrze zabezpieczony, pilśń zaczęła przeciekać. A w kasie pusto. Wtedy o. Rościsaław Kozłowski starał się wydzierżawić część ziemi przy cmentarzu. Także następny batiuszka, o. **Mikołaj Lenczewski**, robił co mógł.

A na odprawianą raz w miesiącu Liturgię zabierał ze sobą do śpiewania seminarzystów. W ten sposób do Stanisławowa przyjechał kiedyś razem z **Bazylim Niegierewiczem Włodzimierz Kuprjanowicz**. Helena przyjrzała mu się uważniej dopiero na cmentarzu, poszła na grób mamy, a Włodzimierz na wojskowej części *kładbiszcza* oglądał piękne generalskie i oficerskie pomniki. Spodobali się sobie. Był 8 czerwca. Chłopak przyznał, że czeka go ostatni egzamin. Potem zaproponował Helenie, żeby pojechała z nim do Wołomina, miał tam pomóc odśpiewać Liturgię. Zgodziła się od razu, a już gdzieś tak w połowie lipca przyjechał do Warszawy, przyznając że powiedział rodzinie, że chce się żenić.

– Warszawianka? Bez ziemi? – najbliżsi, a pochodził z Klejnik, byli w szoku. Spodziewali się, że zobaczą panienkę na wysokich obcasach, wyfiokowaną, wymalowaną. A Helena dotarła do domu przyszłych teściów zmęczona i zakurzona, bo żar lał się z nieba, a podróż z Warszawy do Klejnik przebiegła z dużymi przygodami.

Zobaczyła wieś zupełnie inną niż Stanisławowo. Co prawda i tu i tam domy były drewniane, ale te klejnickie, kryte słomą, miały mniejsze okna, obowiązkowo ławeczkę przed najczęściej plecionym płotem i studnię z żurawiem w podwórku.

– Wołodia, podaj zapałki – zwróciła się do narzeczonego mama. W przeciwieństwie do taty, który rozmawiał z Heleną po rosyjsku, posługiwała się nie do końca zrozumiałym przez dziewczynę językiem. Matuszka Helena nazwała ten język klejnickim.

Młodzi nie ociągali się ze ślubem. Cywilny odbył się 24 lipca na Nowym Świecie w Warszawie, cerkiewny 27 lipca w warszawskim soborze. Po niespełna dwóch miesiącach znajomości. A przeżyli wspólnie, naprawdę zgodnie, ponad 57 lat.

Gdzie urządzić przyjęcie weselne?

Początkowo myśleli o seminarium, ale z nieoczekiwaną propozycją wystąpił **Włodzimierz Petrukowicz**, dla znajomych Petrini. Zaproponował Helenie, członkini Russkowo Proswietitielnowo Obszczestwa, salę w siedzibie Stowarzyszenia, a mieściło się ono wówczas na pierwszym piętrze Hotelu Europejskiego.

Propozycję tę przyjęli z wdzięcznością. Kupili co trzeba, pani **Wala**, kucharka z seminarium, przygotowała sałatki.

Po przyjęciu święceń 31 sierpnia 1958 roku batiuszce zaproponowano parafię w Bieszczadach. Matuszka nie zgodziła się. Nie chciała oddalać się od Warszawy, a zwłaszcza Stanisławowa, gdzie wciąż miała liczną rodzinę.

– To przecież możecie zostać w Stanisławowie – zaproponował wujek Heleny.

Metropolita **Makary** wydał dekret.

Batiuszka raz w miesiącu służył w Stanisławowie, raz w miesiącu w Wołominie, dwa razy na Woli w Warszawie.

Razem z matuszką przeniósł się do jej rodzinnej wsi, do ponadstuletniej, zaniedbanej plebanii, zbudowanej jednocześnie z cerkwią, która służyła także jako domowa świątynia, a potem – świetlica ZMP. Klucze do niej batiuszka odebrał jeszcze przed święceniami.

Najpierw trzeba było ją jakoś po-

dzielić – na mniejsze pokoje. A że po remoncie soboru warszawskiego zostały niepotrzebne deski, trafiły do Stanisławowa.

Pomogli kuzyni matuszki i w starej plebanii znów były cztery pomieszczenia – kuchnia i pokoje. Okna były co prawda tak nieszczelne, że z zewnątrz można było je ręką otworzyć, a ustawiona w kuchni koza ogrzewała tylko jedno pomieszczenie.

Zimą, nie ma co ukrywać, marzli. Spali więc w kuchni, a gdy na świat przyszła córka, matuszka z dzieckiem w kuchni, batiuszka w nieogrzewanym pokoju. A zimy były tęgie, nie to co teraz.

Syn urodził się w marcu, wydawało się, że najgorsze chłody mają już za sobą. A tu akurat spadł śnieg, na progu leżała może piętnastocentymetrowa warstwa.

Batiuszka zaczął rozpalać kozę, dzieci wnieśli do zimnego pokoju, pod pierzynę, a osłabiona matuszka dostała czterdziestostopniowej gorączki.

A tym jak sobie radzą, nie interesował się nikt. Kiedyś do matuszki, w dzień Marii Magdaleny, podszedł o. Borys Dekaniec.

– No i co, głodowaliście w tym Stanisławowie? – ni to stwierdził, ni to zapytał.

– Ojcze, wszyscy w pracy mnie pytali, czym karmię swoje dzieci, że tak ładnie wyglądają, a ja na to, że kapustą kiszoną, kartofelkami i zacierką na mleku, bo na nic więcej mnie nie stać – odparła.

Dobrze, że mieli ogródek, hodowali kurki. Dobrze, że matuszka pracowała, codziennie szła trzy kilometry, potem pociągiem do Warszawy. Pracowała w Instytucie Przemysłu Organicznego przy rozjaśniaczach optycznych przez 35 lat.

Do cerkwi w Stanisławowie przychodziło tak z piętnaście osób, do cerkwi w Wołominie siedem.

Czy wierni pomagali młodemu batiuszcze?

– Rodzina, a nawet katolicy – owszem. Ale reszta parafian do propozycji batiuszki odnosiła się dość sceptycznie. Ileż razy prosił, by przyszli ogrodzić cmentarz. Drut udało się tanio kupić, żerdzie można było uzyskać z cmentarnych zarośli, ale nikt się nie spieszył z pomocą (wszyscy zajęci byli swoimi gospodarstwami). W końcu którejś soboty udało się *kładbiszcze* ogrodzić.

Głównym powodem przeprowadzki do Wołomina były jednak złe warunki materialne i wypadek batiuszki.

Rąbał na opał gałęzie dzikiej śliwki, gdy jedna z nich odskoczyła i trafiła prosto w oko. Stracił w nim wzrok. Był rok 1963, batiuszka miał zaledwie trzydzieści kilka lat, już podczas pobytu w szpitalu popadł w depresję. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.





– Jak mu pomóc? – zastanawiała się matuszka Helena i zapronowała naukę w Technikum Ekonomicznym.

– Umie ksiądz jeździć na rowerze? To niech ksiądz jeździ codziennie – zalecił mu lekarz z Wołomina. I batiuszka jeździł pięćdziesiąt lat. Codzienny wysiłek fizyczny poprawił nastrój.

W Wołominie czekała na niego cerkiew św.św Piotra i Pawła, wyświęcona w 1938 roku na parterze domu parafialnego przy ulicy Kanałowej. I siedmioro parafian.

Ci najstarsi, z białej emigracji, pamiętali jeszcze poprzednią świątynię – kaplicę urządzoną w 1930 roku na poddaszu piętrowego domu Białorusina z Wileńszczyzny **Michalczonka**, pierwszego proboszcza **Mikołaja Smulskiego**, którego córka **Lidia** napisała ikony do ikonostasu wołomińskiej cerkwi, p.o. *nastojatiela* hieromnicha **Atanazego** (**Martosa**), późniejszego arcybiskupa Buenos Aires, który marzył o tym, by cała cerkiew w Wołominie śpiewała razem. Pamiętali także II wojnę światową i zniszczenia nie tylko cerkwi, ale i domu parafialnego, w końcu wprowadzenie się lokatora, katolika, który zgodził się opuścić dom parafialny, ale po zwrocie poniesionych przez niego kosztów remontu (a była to niemała kwota). Pamiętali też ostatniego batiuszkę, który do nich przyjeżdżał, o. **Antoniego Tatiewskiego**, dlatego do młodego *swiaszczennika* podeszli z pewną rezerwą.

Z czasem to się zmienia. Batiuszka pełni także rolę kapelana misyjnego.

Jako *rozjezdnoj swiaszczennik* wy-

O. Włodzimierz Kuprjanowicz w cerkwi w Wołominie, rok 1999

Niżej w cerkwi w Wołominie, rok 2003, za analojem lektor Tomasz Kuprjanowicz, obok niego z prawej matuszka Helena, z prawej prof. Borys Kierdaszuk

jeżdżał bardzo często na południe, m.in. do Polan. Trudne to były wyprawy.

– Niech no tylko tam jegomość przyjedzie, na pewno głowę mu utną – usłyszał podczas pierwszej podróży. Nie wiedział, kto to jest jegomość, nie zdawał sobie sprawy z sytuacji, był młody, odważny.

Służył w cerkwi, w której wybijano szyby, której drzwi zawiązywano drutem kolczastym. Potem, gdy już ją odebrano – odprawiał Liturgię na mrozie.

– *Po odnomu, po odnomu, sztoby czasza nie upała* – prosił *ponomara*, by powoli kolejno odginał przymarznięte do kielicha palce.

Opowieści były tak straszne, że dobrze, że się nie zdecydowali na wyjazd z rodziną.

Tu w Wołominie w cerkwi bardzo pomaga pan **Repin**, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Wykonuje cały ikonostas, także *darochranitielnicę*. Batiuszka Włodzimierz, chociaż na rencie, także nie opuścił rąk. Sam wybija pilśnią podłogę w cerkwi, sam ją maluje, a resztkami pilśni naprawia posadzkę w domu parafian, państwa **Mokijewskich**.

Gdy rodzi im się trzecie dziecko, syn **Tomek**, batiuszka bierze się za szycie. Szyje pokrowce na *analojczyki*, później chorągwie (trafiły do Radomia, Malesz, Stanisławowa, warszawskiego soboru), *kamiławki* i *skufje*.

Matuszka cały czas pracuje w Instytucie, przechodzi tylko do administracji, do działu współpracy z zagranicą. Razem ze swoją szefową przygotowuje międzynarodowe konferencje, sympozja, nieraz pełni rolę tłumacza.

Na parafii w Wołominie byli do 2013 roku. W 2015 roku, 5 stycznia, o. Włodzimierz Kuprjanowicz zmarł.

Matuszka jest aktywnym członkiem *Siestryczestwa*, żywo interesuje się tym, co dzieje się w cerkwi. – To dobrze, że pamiętamy o Akcji Wisła czy bieżeństwie. – mówi. – Ale o naszej wywózce też nie można zapomnieć.

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum matuszki Heleny Kuprjanowicz**

Pomoc w spowiedzi…

Spowiedź jest dla każdego chrześcijanina tak samo ważna jak chrzest. Chrzest oczyszcza z grzechów, ale wiele z nich popełniamy dalej, więc mamy potrzebę ponownie się z nich oczyszczać. Bez chrztu i spowiedzi nie możemy przystępować do *pryczastija*, bowiem grzechy, jak wielka ściana, odgradzają nas od Boga.

Grzech jest chorobą duszy, która – jeżeli pozostanie nieuleczona – prowadzi do duchowej śmierci, wiecznego poróżnienia i rozłąki z Bogiem. Co robimy, kiedy choruje nasze ciało? Udajemy się do lekarza, któremu pokazujemy swoje rany i dokładnie opisujemy, co odczuwamy. Lekarz przypisuje nam leki i rekomenduje sposób postępowania, dzięki któremu się wyleczymy.

Dokładnie to samo dzieje się z duszą, dla której w czasie choroby również szukamy lekarza. Przychodzimy wtedy do Cerkwi, która jest duchową lecznicą. Szukamy spowiednika – przewodnika duchowego, któremu moglibyśmy bez wstydu wyznać wszystko, co kładzie się ciężarem na naszej duszy. Odmawia on nad nami modlitwę odpuszczającą grzechy i przewinienia oraz udziela porad, jak powrócić na prawidłową drogę. W ten sposób miłujący człowieka Chrystus, który obecny jest niewidzialnie w czasie całej spowiedzi, daruje odpuszczenie grzechów i ukazuje drogę, którą powinniśmy kroczyć, by ostatecznie uwolnić się z choroby grzechu.

Pierwszym krokiem do prawidłowej spowiedzi jest uświadomienie sobie swej grzeszności. Jest to dar Boży, który dawany jest temu, kto szuka go w modlitwie i stara się zdobyć odważnym i uczciwym spojrzeniem w głąb samego siebie. W trudnym „zabiegu" spojrzenia w głąb swej duszy mogą pomóc poniższe zapytania, które odnoszą się do naszych relacji z Bogiem, z bliźnim i z nami samymi.

1. Ty i Bóg

• Czy szczerze wierzysz w Trójjedynego Boga – Ojca, Syna i Ducha Świętego oraz w prawosławne nauczanie naszej Cerkwi?

• Czy zawierzasz się całkowicie Opatrzności Bożej, czy też w trudnych sytuacjach tracisz wiarę, wątpisz i narzekasz?

• Czy wyznajesz i przyznajesz się otwarcie do swej wiary, nawet w trudnych sytuacjach, czy też wstydzisz się np. uczynić znak krzyża, przechodząc obok cerkwi?

• Korzystałeś może z rad szeptuch, czarowników, wróżbitów, astrologów, hipnotyzerów lub miałeś do czynienia z jogą, medytacją, praktykami hinduistycznymi bądź buddyjskimi?

• Czy wierzysz w wyjątkowe znaczenie snów oraz przesądy?

• Czy modlisz się regularnie w domu (rano, wieczorem, przed jedzeniem i rozpoczęciem pracy) i czy regularnie uczęszczasz do cerkwi (szczególnie w niedziele i wielkie święta), dziękując Bogu za Jego wielkie i szczodre łaski?

• Czy codziennie czytasz Pismo Święte i inne pożyteczne książki?

• Czy pościsz (jeżeli nie ma ku temu szczególnych przeciwwskazań) w środy, piątki i ustalone przez Cerkiew posty?

• Czy regularnie, z odpowiednim przygotowaniem, przyjmujesz *priczastije*?

• Czy przeklinałeś Chrystusa, Matkę Bożą lub świętych?

• Czy bez potrzeby przysięgałeś lub złamałeś obietnicę daną Bogu?

2. Ty i drugi człowiek

• Czy okazujesz chrześcijańską miłość i miłosierdzie swoim bliźnim, szczególnie tym, którzy są w potrzebie (chorym, ubogim, odsiadującym wyroki, bezrobotnym, sierotom i starcom)?

• Czy wybaczasz wszystkim tym, którzy ci ubliżyli, bądź zaszkodzili? Czy nie żywisz do nich urazy i jesteś gotów prosić bliźniego o wybaczenie ewentualnych przewinień?

• Czy świadomie lub nie pozbawiłeś życia drugiego człowieka, albo przyczyniłeś się do takiego czynu?

• Czy masz może skłonności do

kłamstwa, potępiania, oszczerstw, mówienia pochlebstw, osądzania, wybuchów gniewu i przeklinania, rękoczynów i przemocy, mówienia z ironią i wyśmiewania się, mówienia że „posyłasz kogoś do diabła", bycia ciekawskim?

• Czy zazdrościsz innym szczęścia i posiadanych przez nich rzeczy lub też cieszysz się z ich niepowodzeń?

• Czy jesteś nieufny i podejrzliwy?

• Czy kradłeś, uczestniczyłeś w kradzieży, przyjąłeś rzeczy, o których wiedziałeś, że pochodzą z kradzieży?

• Czy jesteś wdzięczny względem twoich dobroczyńców, czy też przejawiasz niewdzięczność za to wszystko, w czym ci pomogli?

• Czy swoimi czynami lub słowami zgorszyłeś kogoś albo skłoniłeś ku grzechowi?

• Czy interesujesz się prywatnym, rodzinnym lub zawodowym życiem innych, ingerując w nie nierozważnie i powodując problemy?

• Czy rozprowadzasz substancje narkotyczne bądź w jakikolwiek inny sposób skłoniłeś kogokolwiek do ich zażycia?

• Czy wyjawiasz tajemnice innych, powodując tym samym napięcia w kontaktach międzyludzkich?

W pracy

• Czy masz na sumieniu oszustwo, spekulacje, nadużycia, lichwiarstwo, łapówkarstwo?

• Czy w załatwianiu spraw jesteś nieszczery, nieuczciwy lub złośliwy?

• Czy wykorzystujesz podwładnych i pracowników lub jesteś względem ich nieuczciwy?

W rodzinie

• Czy okazujesz szacunek i miłość do rodziców, czy też zachowujesz się względem nich wulgarnie i z pogardą, szczególnie w okresie ich starości?

• Czy twoje zachowanie w domu cechuje duch ofiarności, miłości, dobroci, wyrozumiałości, ustępliwości i cierpliwości? Może uporem i egoizmem burzysz rodzinną atmosferę i spokój?

Małżonkowie

• Czy traktujesz małżeństwo jako Boże błogosławieństwo i każdego dnia starasz się umacniać wasz związek i miłość tak, by nie był możliwy do rozerwania przez inną ziemską miłość (do rodziców, dzieci, krewnych, do pracy, itd.)?

• Czy szanujecie bliskich drugiej strony?

• Czy zachowujecie wzajemną wierność i oddanie?

• Czy unikacie różnymi sposobami rodzicielstwa?

• Czy dokonaliście kiedykolwiek aborcji lub byliście moralnymi sprawcami takiego czynu?

• Czy mieliście kontakty cielesne przed ślubem?

Jako rodzice

• Czy modlicie się szczerze o postępy waszych dzieci?

• Czy wasze życie jest dobrym przykładem dla waszych dzieci?

• Być może interesuje was jedynie postęp waszych dzieci w sferze materialnej? Czy wystarczająco troszczycie się o ich duchowe wychowanie, poświęcając temu czas, rozmawiając z nimi i udzielając rad, konsekwentnie opowiadając o życiu chrześcijańskim, interesując się, co czytają, oglądają i z kim się przyjaźnią?

• Może nie traktowaliście jednakowo dzieci lub nie byliście względem nich sprawiedliwi?

• Może wtrącaliście się nie w czasie, na siłę i niepotrzebnie w decyzje dzieci bądź ich sprawy rodzinne, niwecząc ich starania lub osłabiając rodzinne relacje?

3. Ty, względem samego siebie

• Czy jesteś przywiązany nadmiernie do trosk doczesnych, zaniedbując rozwój nieśmiertelnej duszy i związek z Bogiem?

• Może rządzi tobą pycha, która jest źródłem zła? Rozpoznasz to jeżeli:

– gonisz za chwałą, sławą, poklaskiem, szacunkiem i pierwszeństwem

– chwalisz się i opowiadasz z zachwytem o swoich zdolnościach, rodzinie i sukcesach zawodowych

– starasz się podobać i dogadzać ludziom

– bardzo wierzysz w siebie i trwasz przy swoim zdaniu

– nie przyjmujesz rad innych lub reagujesz negatywnie na zwracane ci uwagi z powodu błędów

– szukasz zawsze zaspokojenia swoich potrzeb i wymagasz od innych by się tobą zajmowali.

• Może twój sposób rozmowy jest niewłaściwy – przerywasz rozmówcy, obrażając go i poniżając?

• Może jesteś chciwy i szukasz tylko swoich korzyści?

• Może żyjesz w przepychu i tracisz pieniądze na hazard i inne gry?

• Czy ubierasz się lub malujesz zbyt wyzywająco? Czy nosisz ubrania odpowiednie do twojej płci?

• Czy przykładasz dużą wagę do jakości i smaku potraw lub lubisz się objadać?

• Może mówisz dużo, niepotrzebnie lub sprośnie?

• Czy odnosisz się do swego ciała, które jest świątynią Ducha Świętego z należytym szacunkiem? Czy wpadłeś w jakiekolwiek grzechy cielesne?

• Czy poddajesz się i prowokujesz cielesne pokusy za pośrednictwem rozwiązłych przedstawień, prasy, Internetu lub muzyki?

• Kiedy przychodzą ci na myśl grzeszne wyobrażenia, czy odrzucasz je natychmiast, czy też wchodzisz z nimi w dialog?

• Czy niszczysz swoje ciało, które jest darem Bożym, nadużywaniem alkoholu, paleniem papierosów lub narkotykami?

• Czy kiedykolwiek myślałeś o samobójstwie?

• Czy poddajesz się lenistwu, zaniedbaniom lub brakowi odpowiedzialności?

• Może marnujesz wiele czasu przed telewizorem lub komputerem?

Teraz, po przyjrzeniu się samemu sobie, biegnij bracie niezwłocznie do spowiednika. Wyspowiadaj się z grzechów, nie kryjąc żadnego. Mów o nich zwięźle i wprost, nie chwaląc się swoimi cnotami i nie wspominając grzechów innych osób. Bądź pewien, że z odpuszczeniem grzechów Bóg obficie ześle na ciebie swą Łaskę, byś mógł rozpocząć nowe życie.

Monaster Paraklitu, Wyd. 16-2016 r.

tłum. **Marcin Abijski**

Tekst pierwotnie ukazał się w numerze 3(77) Biuletynu Informacyjnego Bractwa św.św. Cyryla i Metodego

Nowosielski na Podlasiu

W twórczości Jerzego Nowosielskiego, malarza, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, ważną, może najważniejszą, część stanowiła sztuka sakralna. Projektował świątynie, pokrywał je polichromiami, pisał ikony. Budziły one wśród odbiorców i zachwyt, i kontrowersje. Protesty płynęły głównie z Podlasia, gdzie wiejskie społeczności wprost odrzucały niektóre jego dzieła. A na tym, by pracować na Podlasiu, gdzie ludność prawosławna wciąż tworzyła zwartą, tradycyjną społeczność, Nowosielskiemu bardzo zależało.

W świat malarstwa cerkiewnego wciągnął artystę jego kolega z Krakowa, także prawosławny, także profesor ASP, **Adam Stalony-Dobrzański**. To jego zaprosił proboszcz parafii w Gródku, o. **Włodzimierz**



Doroszkiewicz, późniejszy metropolita Bazyli, w 1952 roku do realizacji polichromii w nowo wzniesionej świątyni, a ten z kolei zaprosił **Jerzego Nowosielskiego**. Stworzyli niezwykłe dzieło, początkowo również przyjmowane z dystansem. Wierni oczekiwali bardziej tradycyjnego, uładzonego, malarstwa. Praca nad nim zajęła obydwu cztery lata.

Nowosielski samodzielnie namalował część postaci, zwłaszcza po lewej stronie cerkwi. Nawet niespecjaliści dostrzegają, że różnią się nieco od pozostałych. Stalony-Dobrzański wykonał później, samodzielnie, figuratywne witraże, Nowosielski dwie ikony na Carskich Wrotach.

W latach 1954-1955 Stalony pracował nad polichromiami w odległym o kilkanaście kilometrów od Gródka Michałowie, tworząc oryginalną, nasyconą kolorami, kompozycję na sosnowych deskach. Nowosielski wspomagał go teraz tylko w minimalnym stopniu.

Nieco wcześniej otrzymał propozycję od o. **Mikołaja Pasternackiego**, proboszcza parafii w Dojlidach, pokrycia polichromią ścian niewielkiej cerkiewki. Pracę wykonał (także we współpracy ze Stalony-Dobrzańskim), ale podziwiać jej już nie można. W połowie lat sześćdziesiątych parafia dostała zgodę na powiększenie świątyni. Wzniesiono nową, starą zamykając w środku i na koniec rozbierając. Malowidła zniknęły.

Więcej szczęścia miał ikonostas, zamówiony przez o. **Leoncjusza Tofiluka**, wówczas wikarego w Hajnówce, do filialnej cerkwi w Orzeszkowie. Parafianie go nie chcieli, o czym o. Leoncjusz tak opowiadał dr **Krystynie Czerni**, autorce między innymi biografii malarza.

„W Orzeszkowie to była moja wina, byłem zbyt pewny, że ludzie to przyjmą, przywiozłem, postawiłem na próbę – i niektórzy powiedzieli: – Jak będą takie ikony, to my nie pójdziemy do cerkwi! I wszystko zniweczyli... [...] Wystrój całej cerkiewki też miał być według projektu Profesora. [...] Było bardzo pięknie! A teraz to na nowo zabili płytami pilśniowymi, a ikonostas... jest, jaki jest”.

Ikonostas, nazywany niekiedy szafirowym, od dominującego koloru, na początku lat siedemdziesiątych znalazł stałe miejsce w cerkwi krakowskiej, nie w głównej świątyni, a ostatecznie w kaplicy-refektarzu, której modrzewiowe ściany także pokrywają malowidła Jerzego Nowosielskiego, z lat dziewięćdziesiątych.

Podobny los spotkał ikony, przygotowane do ikonostasu w cerkwi w Klejnikach. Krystyna Czerni utrwaliła reakcję Nowosielskiego: „Ostatnio np. proboszcz z Klejnik zwrócił się do mnie o namalowanie ikon do nowego ikonostasu. Ostrzegałem, uprzedzałem, że moje malarstwo na tym terenie nie jest przez ludzi aprobowane. Nie pomogło, proboszcz nalegał dalej. Zacząłem więc malować. I stało się tak, jak przewidziałem – dwie ikony, które wykonałem, spotkały się na miejscu z dezaprobatą, otrzymałem od proboszcza telefon, by przerwać pracę. Jest to jeszcze jeden dowód, że lokowanie mych ikon na tych terenach jest przedwczesne. Ludzie nie są na nie przygotowani. [...] Najbardziej boli mnie to, że w prawosławnych cerkwiach w Polsce nie mogę nic zrobić (z małymi wyjątkami), a na tym najbardziej mi zależy. Natomiast na obcym kościelnie terenie chcą mego malarstwa i tych prawosławnych wartości, które reprezentuję”.

W latach sześćdziesiątych powstaje ikonostas do cmentarnej cerkwi Wszystkich Świętych w Hajnówce (wciąż w niej obecny) i realizowany wspólnie z Adamem Stalony-Dobrzańskim wystrój cerkwi na Świętej Górze Grabarce. Nowosielski był głównym autorem partii figuratywnych, Stalony-Dobrzański ornamentów i liternictwa. Świątynia spłonęła w 1991 roku. Nowosielski zaproponował nowy jej kształt, zapadła jednak decyzja o rekonstrukcji. Odtworzono także, inną już ręką, dawną polichromię.

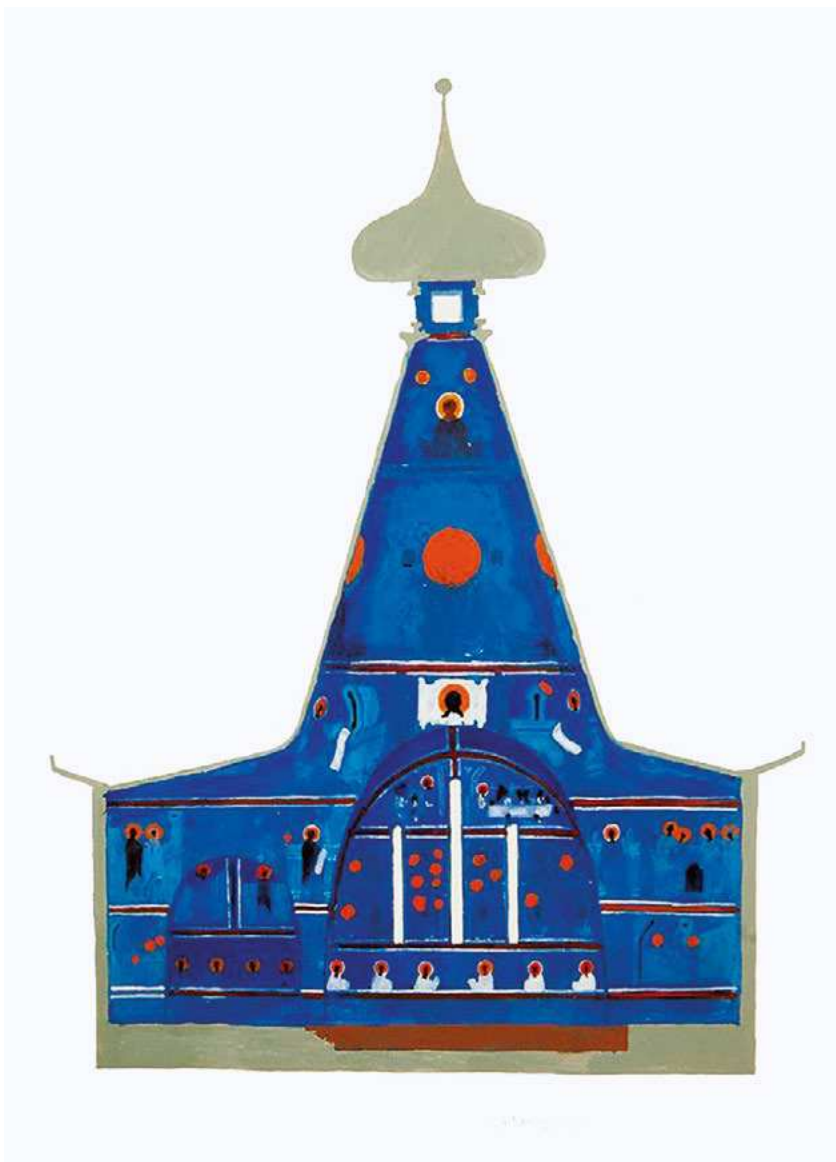
Potem, na długie lata, Nowosielski

Baptysterium w domu parafialnym cerkwi św. Michała w Bielsku Podlaskim

opuszcza Podlasie. O. Włodzimierz Doroszkiewicz, teraz już władyka Bazyli, biskup wrocławski i szczeciński, zaprasza go do pracy w swojej diecezji.

W latach siedemdziesiątych, znowu na sygnał od o. Leoncjusza, opracowuje plastyczną koncepcje mającego powstać w Hajnówce soboru Świętej Trójcy. Architektonicznie jego wizję rozpracowuje prof. **Aleksander Grygorowicz** z Poznania, który już wcześniej współpracował z Nowosiel-







skim. Wkład Nowosielskiego nie miał się jednak ograniczyć do architektury. Opracował on szczegółowe plany polichromii nie tylko wewnątrz świątyni, ale i na zewnętrznych ścianach. Tym razem parafianie niewiele mieli do powiedzenia. Zaprotestował proboszcz, o. **Antoni Dziewiatowski**.

Projekty zachowały się w prywatnych zbiorach innego artysty, prof. **Leona Tarasewicza**, wiemy więc, że cerkiew miała być intensywnie niebieska.

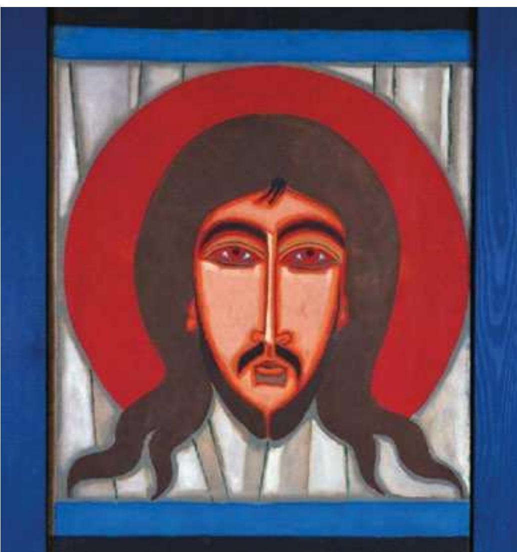
Wnętrze soboru w końcu lat osiemdziesiątych pokryły, nawiązujące do późnobizantyńskich wzorów okresu Paleologów, polichromie **Dymitriosa**

Na stronie obok wstępny projekt polichromii na zewnątrz soboru Świętej Trójcy i malarski projekt soboru
Niżej ikonostas z Orzeszkowa i jedna z ikon z tego ikonostasu

Andonopulosa z Grecji, dar malarza, deklaracje profesora, że gotów jest zrealizować projekt Nowosielskiego, pozostaną zatem niezrealizowane.

Profesor **Jerzy Uścinowicz**, architekt, z żalem mówi jednak o niespełnionej szansie. – Jeżdżę trochę po





świecie, oglądam cerkwie i kościoły i wiem, że drugiego takiego obiektu jak hajnowski nie ma. Wszystko co wiąże się ze strukturą archetypowo-symboliczną jest w nim klasyczne, zgodne z kanonami, natomiast uformowanie, wymodelowanie, na wskroś nowoczesne. Gdyby zrealizowano początkowy zamysł, powstałby fenomen na światowa skalę.

To na szczęście nie koniec kontaktów Nowosielskiego z Podlasiem. O. Leoncjusz Tofiluk, który w 1979 roku został proboszczem parafii św. Michała w Bielsku Podlaskim, postanowił wznieść nowy dom parafialny. Interesującą bryłę zaprojektował prof. Aleksander Grygorowicz, wewnątrz zaś znalazła się kaplica domowa – baptysterium św. Jana Chrzciciela, w pełni oryginalne dzieło krakowskiego artysty.

Jerzy Nowosielski niczego więcej w podlaskich świątyniach nie pozostawił, ale jego wpływ na sztukę cerkiewną w regionie się nie skończył.

To po pierwsze wpływ na odrodzenie w Polsce kanonicznej ikony, które jest dziełem o. Leoncjusza Tofiluka. Jeszcze w latach osiemdziesiątych zaczął on organizować obozy ikonograficzne na Świętej Górze Grabarce, z czasem przeniesione do Bielska, na których Jerzy Nowosielski – od dawna z o. Leoncjuszem zaprzyjaźniony i zgodny z nim w poglądach na sztukę cerkiewną – chętnie bywał.

O. Leoncjusz w 1991 roku otworzył w Bielsku Policealne Studium Ikonograficzne, które opuściło do tej pory pięćdziesięciu absolwentów. Tam również Nowosielski był częstym gościem.

Tym, którzy uczyli się trudnej sztuki pisania ikon starał się przekazać, że to nie tylko umiejętności techniczne, ograniczone do obrazu, a cała sfera kształtowania przestrzeni sakralnej, bowiem nic nie tkwi w pustce.

O sile jego oddziaływania na młodych adeptów przekonuje Leon Tarasewicz, który z Nowosielskim zetknął się na obozie ikonograficznym i na całe życie uznał za swego mistrza, z którym nawet półgodzinne rozmowy, na które specjalnie jechał do Krakowa, na długo „ładowały jego akumulatory".

O tym wszystkim, i o wielu innych, sprawach opowiada film **Piotra Łozowika** „Śladami mistrzów. Nowosielski na Podlasiu". O malarzu mówią m.in. Krystyna Czerni, o. **Henryk Paprocki**, **Jan Pawlicki**, Leon Tarasewicz, Jerzy Uścinowicz, **Ewa Zalewska**, **Anna Siemieniec**, **Magdalena Godlewska-Siewierska**. Zdjęcia robili **Stefan Parchanowicz**, **Kamil Cywoniuk** (lotnicze) i **Piotr Łozowik**, a wyprodukowało Stowarzyszenie Orthnet.

W tym roku sztuka Nowosielskiego gościła na Podlasiu zresztą parokrotnie. Latem supraskie Muzeum Ikon ściągnęło z Krakowa i udostępniło zwiedzającym ikonostas z Orzeszkowa i ikony z Klejnik, 20 października otwarto zaś (a 2 grudnia zamknięto) w Muzeum Rzeźby im. Karnego wystawę szkiców i rysunków Nowosielskiego, na ogół nigdy wcześniej nie pokazywanych. Jej kuratorem był Leon Tarasewicz.

Historia obecności Jerzego Nowosielskiego na Podlasiu jest złożona. To opowieść o zbliżaniu i odpychaniu, o nauczaniu i uczeniu się, o dojrzewaniu do dostrzegania i rozumienia nie tylko tego, co widoczne jest wprost. Dzieł mistrza raczej na Podlasiu nie przybędzie, ale jest szansa, że stopniowo wszyscy znajdziemy się bliżej Nowosielskiego.

Dorota Wysocka



Sekty i ich ofiary

Z ŻANETĄ DIKAŁOWĄ, zastępcą dyrektora Centrum Badań Nowych Ruchów Religijnych w Bułgarii rozmawia Anna Radziukiewicz

Anna Radziukiewicz: – Zajmujecie się problemem sekt religijnych. Czy to głównie młodzi stają się ich ofiarami?

Żaneta Dikałowa: – Szczęścia w nowych ruchach religijnych, często w zwyczajnych sektach, poszukują głównie ludzie w średnim wieku, materialnie ustabilizowani.

– Czyli jest stabilizacja, a dusza cierpi?

– Ta dusza niekoniecznie pragnie Boga. Wiele osób pociągają nie tyle kulty, ruchy religijne, ile systemy rozwoju osobowego, smodoskonalenia, z jogą, filozofia hinduską. To modne.

– To źle?

– Rozwija się w ten sposób kult ciała przede wszystkim. Ciało – piękne, wysportowane, odpowiednio odżywione – ach! ileż jest teraz modnych diet! – jest ubóstwiane. Za nim nie widać Boga. W Bułgarii są organizowane spotkania, festiwale, by skupić tych, których podstawową troską jest samodoskonalenie się. Jakże dużą różnorodność mamy wszelkich propozycji!

– W średniowieczu na terenie Bułgarii istniała silna sekta Bohomolców. To zapomniana historia?

– Ależ skąd. Sekta żyje. Tyle, że jej idee, podobnie jak i innych sekt, wykorzystuje się w duchu ezoterycznym. Jej wyznawcy przypisują sobie jakieś charyzmatyczne umiejętności.

– Gdzie je rozwijają?

– W komunach choćby. I takie u nas istnieją, choć głównie są związane z tak zwanym ekoosadnictwem. Członkowie takich sekt odrzucają wszelkie osiągnięcia cywilizacji, żyją w zamknięciu. Tam nawet kobiety rodzą same, w domowych warunkach. Niestety i dzieci wychowują w takich warunkach, skazując je na wypadanie z rytmu współczesnego świata. Mówią, że żyją zgodnie z naturą, choć jest to oczywista utopia. Do nich przyjeżdżają liderzy podobnych ruchów, głównie z Zachodu.

– Przychodzą do waszego Centrum rodzice, których dzieci trafiły do sekty?

– Tak. Błagają: „Pomożcie nam. Jesteśmy bezradni”. Mamy też gorącą linię. Przyjmujemy sygnały o problemach uzależnień od sekty, ale także narkotyków czy alkoholu.

– Dochodzi do tragedii?

– Jedna ze studentek uniwerstytetu trafiła do pewnego pseudohinduskiego ruchu. Jej ojciec był dyrektorem szkoły. Przez dwa lata pracowaliśmy z nim. To dzięki ojcu, którego uzbroiliśmy we wszelkie narzędzia i argumenty, córka po dwóch latach sektę opuściła. Ten przypadek bardzo pomógł innym, razem bowiem z ojcem pisaliśmy, jako Centrum, listy i petycje w sprawie tej sekty i innych, i ich szkodliwości, rozprzestrzeniając je w różnych instytucjach – ministerstwie edukacji, zdrowia, stowarzyszeniach obrony dzieci.

– O ile wiem, instytucje rządowe w Bułgarii starają się być politycznie poprawne, liberalne i nie naruszać przestrzeni indywidualnych wyborów swoich obywateli, nawet jeśli jest to wybór niebezpiecznych nowych ruchów religijnych.

– Zgadzam się. Państwo nie chce zająć wyrazistej pozycji w sprawie nowych ruchów religijnych, nieraz będących zwyczajnymi sektami, które jakże często przez internet „rozpracowują” młodzież, a nawet dzieci, koptując do siebie. Proponują choćby wirtualne gry, które są jak sidła dla młodego człowieka. Gra wprowadza człowieka w nierealną, wirtualną rzeczywistość. Uzależnia go. Sekty mają już swoje ofiary w Bułgarii w postaci samobójstw młodych ludzi. I mimo to parlamentarzyści czy urzędnicy ministerialni jakże często boją się wprowadzać ograniczenia prawne, jeśli chodzi o działalność nowych ruchów religijnych, by nie zarzucono im naruszania „świętych” praw demokracji, nieprzestrzegania wolności swobód obywatelskich.

– Dyrektorzy szkół zachowują się podobnie? Bo przecież w szkołach przede wszystkim trzeba upowszechniać wiedzę o niebezpieczeństwie sekt.

– Dyrektorzy szkół boją się często oficjanie mówić o tym problemie, bo nie chcą zostać zwolnieni z posady. Ale na szczęście problem rozumieją. I wielu wpuszcza nas, jako prelegentów, do szkół, pod pozorem, że nie muszą kontrolować, co mówią przedstawiciele oficjalnie zarejestrowanej organizacji.

– Trzeba więc nieraz użyć przebiegłości i chytrości?

– Tak, wykorzystać narzędzia przeciwnika. Jakże często w Bułgarii sekty rejestrują się jako stowarzyszenia, fundacje choćby samodoskonalenia, czy proekologiczne. Mając rejestrację w sądzie, konto bankowe, statut mniej lub bardziej zafałszowany, prowadzą zwyczajny werbunek do sekt.

– Jesteście świecką organizacją?

– Tak, współpracujemy z psychologami, socjologami, psychoterapeutami, ale także z duchownymi, teologami. Naszym duchowym opiekunem jest o. Konstantyn, mnich z monasteru Veliki Presław.

– Dziękuję za rozmowę.

O grzechu raskołu

30 listopada 2017 roku przejdzie do historii prawosławia na Ukrainie. W tym dniu, w Moskwie, w czasie obrad Soboru Biskupów Ruskiej Prawosławnej Cerkwi (RPC), odczytano skierowany do patriarchy **Kiryła** i wszystkich biskupów RPC list zwierzchnika tzw. Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi Kijowskiego Patriarchatu (UPC KP) **Filareta** (**Denysenki**). Pozbawiony za dokonanie *raskołu* „wszystkich duchowych godności" (czerwiec 1992 roku) i odłączony przez anatemę (wyklęcie) od Cerkwi (luty 1997 roku) Filaret zwrócił się o zdjęcie wszelkich „zakazów i odłączeń" i poprosił patriarchę i biskupów o przebaczenie „uczynionych słowem, uczynkami i wszystkimi moimi myślami grzechów".

„Pragnąc – czytamy w liście – zaprzestania podziałów i *raspri* (kłótni) między prawosławnymi, odnowienia eucharystycznego i modlitewnego obcowania, tak jak należy to czynić w Jednej Świętej Powszechnej i Apostolskiej Cerkwi, dla osiągnięcia Bogiem nakazanego pokoju pomiędzy jednej wiary prawosławnymi chrześcijanami i ustanowienia pokoju między narodami, proszę o przyjęcie stosownych decyzji, dzięki którym zakończą się istniejące obecnie pomiędzy nami przeciwieństwa". W liście nie ma wzmianki o autokefalii, a podpisujący go Filaret nie użył słowa „patriarcha", tylko „wasz sobrat".

Uczestnicy soboru przyjęli list „z radością" i jednomyślnie postanowili powołać specjalną komisję, mającą rozpocząć rozmowy z UPC KP, których celem będzie przezwyciężenie *raskołu* ukraińskiego prawosławia.

Już następnego dnia Filaret na specjalnie zwołanej konferencji prasowej wycofał się ze wszystkich zawartych w liście stwierdzeń. Oświadczył, że z jego strony żadnego *pokajanija*, które według ojców Cerkwi jest konieczne do zmycia grzechu *raskołu*, „nie było, nie ma i nie będzie". Oskarżył kanoniczną Ukraińską Prawosławną Cerkiew (UPC) i jej zwierzchnika, metropolitę **Onufrego**, o brak patriotyzmu, a utworzenie UPC KP uzasadnił powstaniem niepodległego ukraińskiego państwa.

Wysłanie listu, a następnie całkowita zmiana stanowiska i powrót do „wojennej" retoryki, wywołały lawinę komentarzy.

Wśród analizujących przyczyny wystosowania listu przeważa opinia, że była to próba, stojącego u kresu życia (Filaret ukończył 88 lat) człowieka, odejścia z tego świata bez wielkiego grzechu, który według ojców Cerkwi bez *pokajanija* nie zmywa nawet krew męczennika. Z pewnością na decyzję Filareta miała wpływ postawa części otaczającego go środowiska (w komentarzach ukraińskich ekspertów nazywanego frakcją „gołębi"), w którym dostrzegany jest brak perspektyw na uzyskanie przez UPC KP statusu kanonicznej Cerkwi. Powtarzane od lat obietnice, że już niebawem patriarcha Konstantynopola przyzna ich strukturze autokefalię, okazały się przysłowiowym budowaniem zamków na piasku. Dziś już nikt, z Filaretem włącznie, nie wierzy, że rozwiązanie problemu ukraińskiej autokefalii może nastąpić bez udziału UPC i zwierzchnika RPC, patriarchy Kiryła. Nie sprawdziły się też oczekiwania *raskolników* co do masowego przejścia parafii z „antyukraińskiej", ich zdaniem, UPC do ich „superpatriotycznego" patriarchatu. Z ponad dwunastu tysięcy parafii i dwustu monasterów, będących w jurysdykcji UPC, wspieranym przez bojówki ukraińskich nacjonalistów „filaretowcom" udało się przejąć około czterdziestu świątyń i żadnego monasteru. Stosowana przy tych „przejęciach" przemoc wywołała krytykę międzynarodowych, broniących praw człowieka, organizacji, w tym ONZ. Nie udało się, co także od lat obiecywano, połączenie UPC KP z inną, także niekanoniczną, prawosławną strukturą – Ukraińską Autokefaliczną Prawosławną Cerkwią. Rozwiały się też nadzieje na odgrywanie przez kijowski patriarchat roli „państwowej" Cerkwi. Tu poczynania *raskolników* zaniepokoiły pretendujących także do takiej roli grekokatolików.

Choć ciesząca się poparciem obecnych władz i radykalnych ukraińskich organizacji UPC KP uzyskała na krótką metę pewną przewagę, to jej strategiczna klęska nie ulega wątpliwości. Stąd też nieoczekiwana, podjęta przez Filareta i frakcję „gołębi", próba wyjścia z trudnych dla nich sytuacji.

Początkowe zaprzeczenia sekretarza UPC KP, „arcyb." **Jewstatija** (**Zori**), twierdzącego że żadnego listu nie było, świadczą, że nie wszyscy pełniący w tej strukturze ważne funkcje wiedzieli o inicjatywie Filareta.

Jego, zaprezentowane na konferencji prasowej, stanowisko komentatorzy tłumaczą „przejęciem nad nim kontroli" przez frakcję „jastrzębi", wykorzystujących Cerkiew do walki z „ruskim mirom" i „rosyjską agresją". Frakcja ta cieszy się zdecydowanym poparciem obecnej władzy i tym tłumaczy się nagłą zmianę Filareta.

Choć nie spełniły się nadzieje tych, którzy uwierzyli, że bliski jest dzień pojednania i zakończenia rozdzierającego Ukrainę *raskołu*, to proces, który zapewne będzie długi i bolesny, się rozpoczął. Obie strony – RPC poprzez powołanie komisji, a UPC KP w postanowieniu synodu tej struktury, w którym znalazły się stwierdzenia o gotowości do dialogu prowadzącego do „zaprzestania wrogości między prawosławnymi, ustanowienia modlitewnej i eucharystycznej wspólnoty, do przyznania przez RPC autokefalii UPC KP – pozostawiły może nie otwarte, ale uchylone drzwi do rozmów i do, o co prawosławni powinni prosić Boga, pojednania, kończącego tragedię ukraińskiego prawosławia.

Eugeniusz Czykwin



Prawosławie to całe życie

Anna **Kołos**, malarka, jest Białorusinką z urodzenia. Niemal od dzieciństwa mieszka w Anglii. Jej rodzice, mińszczanie, dwanaście lat pracowali w Szwajcarii, na Cyprze i w Wielkiej Brytanii, realizując różne międzynarodowe projekty. Teraz mieszkają w stolicy Białorusi. Anna jest prawosławna. Co niedziela chodzi z mężem, Anglikiem, który przyjął prawosławie, na Liturgię do cerkwi w dzielnicy Londynu, Kensington.

Anna mówi: – Prawosławie w Anglii się rozwija. Ono czuje patronat królewskiej rodziny. Książę **Filip**, pochodzący z greckiej rodziny królewskiej, zanim się ożenił, był prawosławny. Szczególnie opiekuje się monasterem w Essex. Królewska rodzina stara się rozwiązywać problemy, pojawiające się na linii Cerkiew-władza, szuka sponsorów dla parafii pozostających w potrzebie, pozostaje w bliskich kontaktach z patriarchatem moskiewskim i w ogóle prawosławnym światem. Teraz prawosławie staje się coraz powszechniejsze na Zachodzie, ponieważ proponuje o wiele głębszą duchowość niż wszystkie inne chrześcijańskie konfesje, o wiele trafniej odpowiada na duchowe, ale i wszystkie życiowe potrzeby człowieka. Współcześni ludzie na Zachodzie zwykli pojmować, że religia to budynek. Do niego, czyli świątyni, wchodzi się i wychodzi. Po wyjściu pozostawia się całe sacrum i wchodzi się w świat absolutnie świecki, który nie ma żadnych związków ani z Bogiem, ani sakralnością, rządząc się li tylko ludzkimi prawami. Taki człowiek nie rozumie, że chrześcijaństwo jest życiem, całym życiem, tak jak uczy tego Cerkiew, że nie kończy się na progu świątyni, że Boża energia otacza nas nieustannie, że bez niej nie postawilibyśmy nawet dwóch kroków, ani nie uczynilibyśmy jednego oddechu. Bardzo łatwo w świecie pieniędzy i nieustannej pogoni zapomnieć o Bogu. Ale należy robić wszystko, by łączyć się z Bogiem i jego energiami i pamiętać, że Bóg nieustannie cię widzi, kieruje tobą. Należy czuć siłę Jego opieki.

Anna Kołos pozostaje pod duchową opieką ojca **Epifanija** z monasteru w Essex. U niego się spowiada. To o. Epifanij błogosławił ją na ślub.

Anna mówi: – Długo nie mogłam się zdecydować na ten ślub. Zadawałam pytanie, jak miliony nawet moich rówieśników w Anglii i na Zachodzie – po co mi ślub? A może to tylko formalność? Ale wzięliśmy ślub w cerkwi. Czuję teraz, że to Bóg pobłogosławił nasz związek. Że to nie jest zwykła ludzka zgoda na pozostawanie razem. Małżeństwo stało się rzeczywistością duchową, wspólnotą. Nawet zwykłe pytania – dokąd idziesz, co robisz, czym się martwisz? – nabierają po ślubie w cerkwi innego wymiaru, bardziej wspólnotowego.

Anna Kołos przyjechała do Mińska ze swoimi obrazami na trzeci festiwal sztuki Białorusinów świata. Sfotografowałam ją na tle jej obrazu „Ślad anioła". **(ar)**

fot. **Anna Radziukiewicz**

Dostojno jest'

Podczas Liturgii, pod koniec *anafory*, po wzruszającej pieśni *Tiebie pojem*, kapłan, okadzając Święte Dary, donośnie wygłasza: *Izradno o Prieswiatiej, Prieczystiej, Priebłahosłowienniej, Sławniej Władyczyce naszej, Bohorodice, i Prisnodiewie Maryi*. Tymi słowami duchowny zachęca nas, abyśmy wychwalali nieustanną naszą Orędowniczkę przed tronem Bożym – Przenajświętszą Bogarodzicę. Chór śpiewa: *Dostojno jest' jako woistinu błażiti Tia Bohorodicu, Prisnobłażennuju i Prienieporocznuju i Matier Boha naszego. Czestniejszuju Chieruwim i Sławniejszuju biez srawnienija Sierafim, biez istlenija Boha Słowa rożdszuju, Suszczuju Bohorodicu, Tia wieliczajem*.

W tej pieśni Bogarodzica jest nazywana zawsze Błogosławioną, ponieważ, stając się godna zostania Matką Pana, stała się dla chrześcijan obiektem chwały. Matkę Bożą nazywamy Najczystszą za Jej duchową wolność od grzechu, Czcigodniejszą od cherubinów i bez porównania chwalebniejszą od serafinów, dlatego że jako Matka Boża bliższa jest Bogu niż najważniejsi aniołowie – cherubiny i serafiny. Najświętsza Dziewica Maria jest wychwalana jako Ta, która urodziła Boga-Słowo bez skazy w tym sensie, że na zawsze pozostała Dziewicą.

Tekst *Dostojno jest'* jest rozwiniętą Pochwałą Bogarodzicy i składa się z dwóch części, przypisywanych różnym hymnografom. Pierwszą częścią jest wychwalanie *Dostojno jest'*, drugą irmos *Czestniejszuju Chieruwim*. Zajmijmy się najpierw drugą, starszą częścią modlitwy. Autorstwo tego fragmentu tradycja cerkiewna przypisuje św. Kosmie z Maiumy (znanemu także pod imionami Kosma z Jerozolimy, Kosma Pieśniarz, Melodos). Już w IX wieku powszechnie wychwalano Bogarodzicę modlitwą, ułożoną



Ikona Bogarodzicy Dostojno Jest'

przez niego w VIII wieku. Ten tekst jest wykorzystywany i obecnie jako refren ewangelicznej pieśni Bogarodzicy *Wieliczit dusza Moja Hospoda*, wykonywanej na początku dziewiątej pieśni kanonu jutrzni w większości dni roku cerkiewnego. Jest też szeroko wykorzystywana jako samodzielna modlitwa. Jako ciekawostkę można podać, że św. Kosma był przyrodnim bratem św. Jana Damasceńskiego.

Autorem pierwszej części modlitwy jest – według przekazów – archanioł Gabriel. Otóż kiedyś w niewielkiej celi przy cerkwi w pobliżu Karies – centrum administracyjnego Atosu – zmagali się duchowo starzec i jego *posłusznik*. Pewnego razu starzec poszedł na niedzielne całonocne czuwanie do monasterskiej cerkwi Zaśnięcia Bogarodzicy w Karies. Podczas jego nieobecności celę odwiedził nieznany mnich. Przed świtem – gdy nowicjusz i gość odprawiali jutrznię – nadszedł czas, aby zaśpiewać, zgodnie z przyjętym porządkiem – *Czestniejszuju Chieruwim*. Stojąc przed ikoną Bogarodzicy Eleusa (*Umilenije*) nowicjusz zaczął śpiewać modlitwę napisaną przez Kosmę Pieśniarza. Jednak gość zatrzymał go, mówiąc: „U nas nie tak wychwalają Matkę Bożą" i zaśpiewał inny początek: *Dostojno jest', jako woistinu, błażiti Tia Bohorodicu, Prisnobałażennuju i Prenieporocznuju, i Matier Boha naszego*. A później do tego dodał *Czestniejszuju Chieruwim*... Na dźwięk jego słów ikona, przed którą się modlili, zajaśniała niezwykłym światłem. Działo się to 11 czerwca 980 roku.

Mnich nakazał nowicjuszowi tak właśnie wychwalać Najświętszą Bogarodzicę i zawsze śpiewać – w tym miejscu nabożeństwa – dopiero co usłyszaną pieśń. Polecił również nauczyć tego wszystkich chrześcijan. Nowicjusz, bojąc się że nie zapamięta słów tylko co usłyszanej modlitwy, poprosił gościa o ich zapisanie. Lecz w celi nie było ani papieru, ani atramentu. Wtedy gość zapisał słowa modlitwy palcem na kamiennej płycie, która pod jego ręką stała się nieoczekiwanie miękka jak wosk. Nowicjusz zdążył tylko zapytać gościa o imię, na co ten odpowiedział: „Gabriel" i szybko zniknął.

Wróciwszy ze świątyni starzec zdziwił się, usłyszawszy od nowicjusza słowa nowej modlitwy. Wysłuchawszy jednak jego opowieści o cudownym gościu i zobaczywszy zapisane słowa pieśni zrozumiał, że gościem był archanioł Gabriel. Z tego powodu modlitwę *Dostojno jest'* nazywa się również pieśnią archanielską.

O cudzie poinformowano starców zarządzającego Protatu – Świętej Wspólnoty, składającej się z dwudziestu członków reprezentujących wszystkie monastery Atosu. Ci przekazali wiadomość do stołecznego Konstantynopola. Atoscy mnisi odesłali również do Konstantynopola kamienną płytę z zapisaną na niej przez archanioła pieśnią do Bogarodzicy jako dowód prawdziwości przekazywanej przez nich nowiny. Działo się to w czasie panowania cesarza Bazylego II z dynastii Macedońskiej. Chociaż gwoli ścisłości należałoby wspomnieć, że współcesarzem był wtedy jego młodszy brat Konstantyn VIII.

Pod koniec dziesiątego wieku patriarcha konstantynopolitański Mikołaj II Chryzoberges postanowił dodać pieśń archanielską *Dostojno jest'* (gr. *Aξιόν έστιν – Axion Estin*) do modlitwy *Czestniejszuju Chieruwim*. Od tego czasu stała się ona nieodłączną częścią prawosławnych nabożeństw. Miejsce cudu otrzymało nazwę „miejsce śpiewu". Nawiasem mówiąc to za patriarchatu Mikołaja II dokonał się chrzest Rusi, a siostra Bazylego II, Anna, wyszła za mąż za wielkiego księcia kijowskiego Włodzimierza I.

Ikona, przed którą pojawił się archanioł, została przeniesiona do soboru Zaśnięcia Matki Bożej w Karies – centrum administracyjnego Góry Atos. Od tej pory nazywana jest *Dostojno jest'*.

Oryginalna ikona o wymiarach 70,4 x 44cm (bez srebrnej koszulki) przedstawia Bogarodzicę, trzymającą na prawej ręce Syna. Lewa ręka Młodzieńca przenika pod Jej szaty, w kierunku piersi i serca. To pokazuje zależność ludzkiej natury Chrystusa od Jego karmicielki Matki. W prawej ręce Zbawiciel trzyma zwój z tekstem proroctwa Izajasza *Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił...* (Iz 61,1).

Ikona *Dostojno jest'* opuszcza prezbiterium tylko pięć razy w roku i jest umieszczana na środku świątyni Zaśnięcia. Dzieje się tak na Boże Narodzenie, Paschę, w Niedzielę Ojców Świętej Góry, na Zaśnięcie Bogarodzicy i w dzień święta ikony 11 czerwca.

Ważnym wydarzeniem dla wszystkich mnichów i pielgrzymów jest procesja z ikoną w paschalny poniedziałek, która trwa około pięciu godzin. Według starej tradycji procesja z cudotwórczą ikoną przechodzi – po Liturgii – wokół Karies. Uczestniczą w tym przedstawiciele wszystkich atoskich monasterów, zaproszony władyka, duchowni i pielgrzymi. Na każdym przystanku czytany jest fragment Ewangelii i śpiewany troparion ku czci świętego, któremu poświęcona jest odwiedzana cela.

Aleksy Kordiukiewicz

Częstochowska Ikona Matki Bożej

Bajeczny świat ikony

Z WOJCIECHEM KURPIKIEM, konserwatorem dzieł sztuki, członkiem komisji odpowiedzialnej za opiekę nad Częstochowską Ikoną Matki Bożej, rozmawia Jerzy Morawski

– Podobno obraz Matki Bożej Jasnogórskiej został namalowany na stole…

– Tak jest zapisane w *translatio tabulae*, XV-wiecznym opisie dziejów obrazu, sporządzonym przez śląskiego księcia Władysława Opolczyka. Z posiadającego cechy legendy opisu dowiadujemy się, że ikona została napisana przez św. Łukasza Ewangelistę na deskach stołu, przy którym święta rodzina spożywała posiłki. Później cesarz rzymski Konstantyn zabrał ikonę z Jerozolimy do Konstantynopola.

Jak informuje nas książę Władysław Opolczyk, cesarz Konstantyn podarował ikonę swojemu żołnierzowi, ruskiemu księciu imieniem Lew. W ten sposób ikona trafiła ze stolicy Bizancjum na Ruś. W czasie walk na Rusi obraz został ukryty w zamku Bełz. Odnalazł go tam Władysław Opolczyk i przywiózł do Częstochowy. Historia opowiedziana przez księcia śląskiego i wciąż upowszechniana w wielu publikacjach jest jednak całkowicie nieprawdziwa. Na obrazie Częstochowskim Matka Boża ma bowiem włosy…

– Co to oznacza?

– … że ten obraz nie mógł być przywieziony do Polski z Rusi. Na wschodnich, prawosławnych ikonach wszystkie Madonny mają włosy schowane pod maforionem. W tym tkwi właśnie istota ikony – jest ona oknem na świat Boży, ukazuje nieziemską rzeczywistość, świat odrealniony. Taki realistyczny element u Maryi jak włosy zostałby potraktowany na Wschodzie jak herezja.

Natomiast włosy miały Madonny malowane w XIII i XIV wiekach przez włoskich malarzy. Malarstwo włoskie wyrastało z malarstwa ikonowego, było jednak bardziej naturalistyczne.

– Skąd w takim razie wzięła się w Polsce ta ikona? I czy nazywanie Częstochowskiego Obrazu Matki Bożej ikoną nie jest w ogóle błędem?

– Sprawa nie jest taka prosta. Obraz poddaliśmy badaniu rentgenem. Zobaczyliśmy u Maryi drugą parę oczu, trochę powyżej tej, która jest dla nas wszystkich dobrze widoczna. Okazuje się, że pod częstochowską Hodegetrią istnieje starszy, zbliżony wizerunek. Pewien nieznany nam z imienia włoski malarz namalował na wschodniej Hodegetrii własne dzieło w zachodnim stylu. Obraz jasnogórski jest zatem połączeniem prawosławnej ikony z zachodnim, sieneńskim malarstwem.

– A skąd w opowieści księcia Władysława Opolczyka wziął się ten stół?

– W średniowieczu wierzono, że Hodegetrie były malowane przez św. Łukasza Ewangelistę. To oczywiście było niemożliwe, gdyż ikoniczne wizerunki upowszechniły się w Bizancjum kilka wieków po Chrystusie. Sądzę, że Częstochowska Ikona Matki Bożej powstała w XIII wieku na terenie Serbii z myślą o konkretnej przegrodzie ołtarzowej, czyli tzw. ikonostasie, który oddziela ołtarz od przestrzeni przeznaczonej dla świeckich. I ta ikona została stamtąd wykradziona, być może przez Wenecjan podczas jednej z wypraw krzyżowych. Następnie trafiła do Budy, na dwór Andegawenów, a później znalazła się w Polsce.

– Zaczął Pan pracę na Jasnej Górze, gdyż już wcześniej był Pan znanym w Polsce konserwatorem ikon. Jak się zaczęła Pana przygoda z tym rodzajem sztuki sakralnej?

– Zainteresowanie i zamiłowanie źródło miało w domu rodzinnym. Zaraz po wojnie przywieziono do Krakowa odnaleziony ołtarz Wita Stwosza i oglądałem te figury – byłem chłopakiem jeszcze przed maturą – wówczas wszystko się we mnie kłębiło. Kiedy



na drugim roku moich studiów na ASP w Warszawie pojawiły się wykłady z konserwacji Bohdana Marconiego, już po pierwszym wykładzie wiedziałem: „będę konserwatorem”. Poza samą sztuką fascynowało mnie obcowanie z historią.

– Pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z ikoną?

– Moja koleżanka konserwowała wielką ikonę Sądu Ostatecznego. Kiedy stanąłem przed tym Sądem, wydał mi się on bajeczny. Zafascynowało mnie piekło. Rzeka ognista, którą diabły prowadzą grzeszników do otwartej paszczy smoka. Poszczególni grzesznicy są podpisani, np. nieuczciwa szynkarka, która oszukiwała chło-

pów, sprzedając rozcieńczoną wódkę. Powyżej anioły walczą z diabłami, a na szczycie znajduje się tron. W ręce Bożej jest waga. Anioły starają się obciążyć dobrą stronę, diabły przeważyć na przeciwną…

– I ikony Pana tak zachwyciły, że udał się Pan w Bieszczady…

– Byłem młodym naukowcem-konserwatorem i wykładałem na uniwersytecie w Toruniu, kiedy pod budynek wydziału podjechała zielona ciężarówka Star. Przyjechali nią Aleksander Rybicki, twórca i dyrektor skansenu w Sanoku, i Jerzy Tur, konserwator zabytków w Bieszczadach. Szukali człowieka, który stworzyłby dla nich pracownię renowacji ikon.

Rozpoczynałem w Toruniu karierę, ale oni bardzo mocno mnie namawiali. Popadłem w ostre kontrowersje z przyjaciółmi. Wybitny profesor Leonard Torwirt pytał: „Co on robi, po co się tam pcha?! Traci tu tyle!". Zachęcał mnie też do pozostania w Toruniu ówczesny dyrektor Pracowni Konserwacji Zabytków Tadeusz Polak, proponując konserwację starego, pięknego spichlerza. Jednak wyboru trzeba było dokonać i Sanok zwyciężył. Wziąłem rodzinę, spakowałem rzeczy i tym skansenowskim Starem pojechaliśmy na południe, do Sanoka. Myślałem, że pobędę tam dwa-trzy lata. Zostałem czternaście.

– Jak pan zapamiętał przyjazd w Bieszczady?

– Pierwszej zimy poszliśmy z żoną i dziećmi na mszę z okazji święta Jordanu. Mała gromadka starszych babcin podchodziła po kolei do przerębli i przemywała oczy. To jest wschodni obyczaj, związany ze świętem Trzech Króli. Bieszczadzki mróz był tak wielki, że zamarzła mi migawka w aparacie i nie mogłem zrobić zdjęć.

W skansenie sanockiego Muzeum Budownictwa Ludowego otwierały się przede mną wrota cudownego sezamu. Miałem tam wszystko, co mnie już kiedyś zachwyciło w Warszawie. Powitały mnie dziesiątki ikon. Większość miała ludowy charakter, czyli nie pasowały one do ortodoksyjnego kanonu. W XVII i XVIII wieku, w latach unii, upowszechniło się w cer-



kwiach w Polsce zachodnie malarstwo. Na przykład w ikonie klasycznej tłem jest zawsze złoto, natomiast malarz w Bieszczadach malował nieraz w tle niebo i chmurki.

Wszystkie ikony znajdowały się jednak w złym stanie. Leżały na podłogach, *licem* do góry. Gdyby je postawić, posypałyby się. Były zawilgocone, a pod wpływem wilgoci drewno pęcznieje i farba zaczyna odpadać. Dlatego stan tych obrazów wymagał gruntownej konserwacji podłoża drewnianego, osuszenia, odgrzybienia, uzupełnienia ubytków i wreszcie podklejenia warstwy malarskiej.

– Po zakończeniu wojny z Polski do ZSRR wysiedlono kilkaset tysięcy Ukraińców, zaraz potem władze zorganizowały Akcję Wisła, której celem było przesiedlenie pozostałych Ukraińców i Łemków na ziemie zachodnie…

– Na Podkarpaciu wojna nie skończyła się w 1945 roku, trwała jeszcze parę lat. Walki partyzanckie i mordy były na porządku dziennym. Cała miejscowa kultura, związana ze wschodnim obrządkiem, uległa zagładzie. Zostało po nich pełno pustych wsi i cerkwi.

I w takich okolicznościach, w połowie lat 50. do Sanoka powrócił z łagru Aleksander Rybicki, przed wojną pracownik sanockiego muzeum. W czasie wojny był kurierem Armii Krajowej, żona trafiła do Oświęcimia, a on wpadł w ręce NKWD i został zesłany do Workuty. Rybicki z niezwykłym oddaniem poświęcił się ratowaniu tamtejszego dziedzictwa materialnego. Zgromadził wokół siebie grupę etnografów, historyków i studentów, którzy wyruszali w teren i spisywali cerkwie, ich wyposażenie, a także różnego rodzaju rękodzieła. Rybicki założył skansen, dokąd część z tych rzeczy udało się przenieść.

I mnie właśnie przypadło zadanie zorganizowania przy tymże skansenie pracowni, która zajmie się konserwacją zebranych ikon. Tak zaczęła się moja wielka przygoda, która stała się treścią mojego życia.

– Z ponad sześciuset cerkwi na Podkarpaciu na początku lat 60. zostało już jedynie około trzystu…

– Dość często we wnętrzach cerkwi spotykałem się ze śladami po ogniskach i ikonami porąbanymi na opał. Widziałem raz zbitą z XVI-wiecznych ikon skrzynkę na ziemniaki. W niektórych cerkwiach urządzano magazyny, np. słomy albo sprzętu PGR-ów. Co pewien czas dochodziły nas informacje, że jakaś cerkiew stanęła w ogniu. Nie było wiadomo, czy to świeca przypadkiem się wywróciła, czy też to celowe podpalenie. A niechęć wobec Ukraińców i ich kultury była duża. Przywieźliśmy kiedyś ikonostas przed pracownię w Sanoku i jeden z przechodniów wołał: „A po co to ratować? Spalić wszystko". Wciąż widoczne były ślady niedawnego konfliktu. Pamiętam także małą ikonkę z siedemnastego wieku, która przedstawiała Zwiastowanie albo Chrzest w Jordanie. Zamarzła w kałuży przed cerkwią. Ikonostas został obrabowany i po drodze złodziejom wypadło kilka ikon z rzędu *prazdników*. Rozbiliśmy lód, na mrozie oczyściliśmy ikonę z brudu i wzięliśmy do pracowni, aby osuszyć.

– Zagrożeniem dla cerkwi i ikon byli także złodzieje i handlarze…

– Pewna Maryśka, Ukrainka, próbowała wyciągnąć swoje cielę, które wpadło do rowu przy drodze. Zeszła w dół, spojrzała, a tam leżały ikony z pobliskiej cerkwi, do której chodziła. W cieniu, na zakręcie szosy, stał samochód. Zdaje się, że złodzieje pilnowali tych prowizorycznie ukrytych obrazów do czasu przyjazdu jakiejś większej ciężarówki. Kiedy dziew-

czyna wezwała milicję, samochód z piskiem opon odjechał. Milicjanci złapali później sprawców. To byli prości ludzie, chyba dwoje z PGR-u. Przyznali, że ktoś wcześniej do nich przyszedł i obiecał kilkaset złotych za ikonostas.

– Okazuje się, że święte obrazy, prawie relikwie, które służyły kultowi religijnemu, stawały się zwykłym towarem handlowym, kupowanym w celach dekoracyjnych…

– Pisanie ikon w kulturze chrześcijańskiego Wschodu było zawsze czynnością religijną, modlitewną. W XVII wieku rolę klasztorów przejęły w dużym stopniu świeckie warsztaty. Miały charakter merkantylny, jednak zawsze tworzyły ikony z przeznaczeniem do kultu religijnego. Tymczasem po wojnie duża część z tych ikon została wyrwana z religijnego kontekstu i stała się przedmiotem handlu. Kiedy z synem poszedłem w Sanoku do lekarza, zobaczylem u niego całą ścianę w gabinecie obwieszoną ikonami. Jednak naprawdę wielki, nielegalny handel rozwinął się w Polsce w latach 70., kiedy na zachodzie Europy pojawiła się moda na wschodnie ikony.

– Czy dla Pana jako katolika konserwowanie ikon to również forma modlitwy?

– Dla mnie ikona była i jest przede wszystkim dziełem artystycznym i estetycznym oraz historycznym. Staram się rzetelnie wykonywać swoją pracę. Takie jest też zawsze oczekiwanie moich zwierzchników. Ojcowie paulini już na pierwszym spotkaniu na Jasnej Górze podkreślili, że co prawda cieszą się, że jestem katolikiem, ale oczekują ode mnie przede wszystkim profesjonalizmu.

– Jaki był rezultat Pana pracy w Sanoku?

– W pracowni, którą stworzyłem, wychowało się wielu laborantów i jeden konserwator, który po moim wyjeździe przejął kierowanie pracownią. Udało nam się odnowić kilkaset ikon. Wszystkie te dzieła – efekty naszej pracy – można dzisiaj podziwiać w muzeum historycznym na sanockim zamku.

– Dziękuję za rozmowę.

O języku

Który z języków jest doskonalszy – rosyjski, czy ukraiński? – tak nieoczekiwanie zapytano mnie 29 listopada podczas spotkania w Bibliotece Miejskiej w Sandomierzu. Może dlatego, że język staje się dziś niemal jedyną kategorią, rozróżniającą, czy wyróżniającą narody, kiedy nie różnią nas stroje, powozy, pieśni i przyśpiewki, a na całym niemal globie jemy potrawy z tych samych puszek i torebek i filmy te same oglądamy. Różni nas jeszcze język. Nie da się go ukryć, zwłaszcza gdy ktoś zna dobrze tylko ten, w którym wyrastał. A zdecydowana większość włada dobrze tylko jednym językiem. Język przestaje być jedynie środkiem porozumiewania się. Staje się kategorią polityczną. Język może nobilitować, może też stać się sposobem poniżania. Walczy się z nim – nawet zakazując jego używania albo ośmieszając go, mówiąc że nie jest nośnikiem cywilizacji i kultury. To broń w kulturze okrutna.

W Sandomierzu odpowiedziałam, że rosyjski jest bogatszy od ukraińskiego i białoruskiego.

Konsternacja. Jak można na szalę brać języki? Trzeba było wytłumaczyć. W Przeglądzie mogę to zrobić dużo obszerniej. Naturalnie, wyjaśniłam, najbliższy sercu jest język matczyny, ojczysty i powinniśmy go strzec i zachowywać. Jednak języki mają także funkcje poznawcze i znajomość tych „uniwersalnych" – w przeszłości była to greka i łacina, a obecnie obok angielskiego także francuski, niemiecki, rosyjski czy chiński – dla ludzi ciekawych świata jest konieczna. W naszym, słowiańsko-prawosławnym, świecie najpopularniejszy pozostaje wciąż język rosyjski, choć podejmowane są próby jego rugowania. Ostatnia to podpisana przez prezydenta Ukrainy **Petra Poroszenko** nowa ustawa oświatowa, zgodnie z którą język ukraiński staje się jedynym językiem wykładowym w szkołach. Dla mieszkających na Ukrainie mniejszości narodowych oznacza to zakaz nauczania w językach ojczystych, co w sposób oczywisty jest sprzeczne z obowiązującymi w Europie, dotyczącymi mniejszości, konwencjami i aktami międzynarodowego prawa. Przeciwko tym zmianom ostro zaprotestowały Węgry, Bułgaria, Rumunia i Rosja (około połowa ludności Ukrainy jest rosyjskojęzyczna). Polski MSZ zapowiedziało, że „będziemy uważnie obserwować proces zmian".

Jak jest więc z rosyjskim? Jak długą ma historię? Gdzie się rodził? Ile przyswoił słów z innych języków? Ile utworów lieratury pięknej w nim napisano? Ile przetłumaczono na ten język obcych literatur? Jakie chroni zasoby naukowe? Ile milionów ludzi go używa? To ważne pytania dla określenia rangi języka.

Po pierwsze prezydent Poroszenko powinien wiedzieć, że ten język wcale nie rodził się w Moskwie, tylko na jego rodzinnych ziemiach, w Kijowie i na zachodniej obecnie Ukrainie. Rodził się wtedy, gdy nie było jeszcze ani Moskali, ani Ukraińców, ani Białorusinów, ani *Kacapów*, ani *Chachłów* – jak prześmiewczo mówi nasz redakcyjny przyjaciel **Wasilij Anisimow**, dziennikarz z Kijowa, filolog, który dostarczył wielu argumentów do tego tematu. Ale był już Kijów „matką ruskich miast" i ruska ziemia była, i ruska wiara, i ruski język, o czym zaświadczył już na początku XII wieku mnich Kijowsko-Pieczerskiej Ławry Nestor Latopisiec w księdze „Powieść minionych lat". Były i ruskie latopisy, księgi i cała wielowiekowa kultura, która trwała do 1917 roku. Aż przyszli bolszewicy. Uważali, że budują nową epokę ludzkości i dlatego tysiącletnie duchowe i kulturowe dziedzictwo narodu zrzucili do lamusa

historii. Czego nie mogli schować do magazynów, burzyli. A nosicieli tamtej kultury wyganiali, wywozili na Sołowki. Sterylizowali historyczną świadomość narodu, tworząc „nowego człowieka”. Tamci „mojżesze” prowadzili do komunizmu – zauważa Anisimow – obecni do Europy. Obecni ograniczają używanie języka o tysiącletniej historii, piśmiennictwa i oświaty, języka Nestora Latopisca, arcybiskupa Teofana Prokopowicza, Bierdiajewa, Szestowa, Bułgakowa, Wiercińskiego, Wołoszyna, Erenburga, Niekrasowa, genialnego Gogola. Dla setek wspaniałych nazwisk był to ich język ojczysty. Jest to jednocześnie język kijowskiej duchownej akademii, Uniwersytetu Charkowskiego, gigantycznej duchowej kultury, naukowego dziedzictwa, stworzonego na terenie współczesnej Ukrainy. To także język Tarasa Szewczenki, który w tym także języku, a nie tylko po ukraińsku, pisał prozę, listy i co najbardziej osobiste – prowadził dzienniki. To był ich język ojczysty i nikt nie jeździł uczyć się go do Moskwy. Wszyscy uczyli się u miejscowych nauczycieli, *dziaczków*, w szkołach i gimnazjach.

Ekspansja kulturowa na Rusi szła akurat z zachodu na wschód, czyli z Kijowa do Moskwy, Włodzimierza, Suzdala, Riazania. A wraz z nią szedł język. Szedł razem z używającą go Cerkwią, z prawosławiem, jednoczącym naród, z wysoką kulturą, wcieloną w architekturę, teologię, obrzędy, pieśni, kazania.

Podstawy ruskiego języka tworzyły się akurat na zachodniej Rusi – w Kijowie, Wilnie, Ostrogu, Lwowie. W Wilnie wyszła w 1619 roku słynna „Gramatyka” Melecjusza Smotryckiego, która niepodzielnie panowała na ziemiach Rusi, także moskiewskiej, przez dwa stulecia, wielokrotnie wydawana. Na Wołyniu wyszła Biblia Ostrogska, w Kijowsko-Pieczerskiej Ławrze najbardziej czytana po Ewangelii księga, „Żywoty świętych” Dymitra Rostowskiego. W Ławrze archimandryta Innocenty Gizel stworzył w XVII wieku *Sinopsis ili kratkoje opisanie o naczale slowienskago naroda...*, który przez półtora stulecia pozostawał podręcznikiem do nauki historii. Symeon Połocki, absolwent kijowskiej Mohylanki, zorganizował w końcu XVII wieku w moskiewskim monasterze szkołę, a potem zainicjował stworzenie słowiańsko-grecko-łacińskiej akademii w Moskwie, kuźni kadr zarządzających. Do wykładania w niej zaproszono profesorów z Kijowa. Profesorowie nie mieli żadnych problemów językowych, by porozumieć się ze studentami z Moskwy i z całego rodzącego się Rosyjskiego Imperium. Zresztą to według kijowskich gramatyk – zauważa Anisimow – tworzono moskiewski język oficjalny.

Nawet reformy cara Piotra I znalazły nabardziej zagorzałych zwolenników i doradców wśród małoruskich, czyli zachodnich, oświecicieli. Jego najbliżsi doradcy to metropolita Stefan Jaworski, pochodzący z Galicji, i rektor Mohylanki abp Teofan Prokopowicz. Obaj popierali przebudowę kraju według europejskich porządków i byli gorącymi zwolennikami Piotrowej reformy językowej. Proces sprzyjał wzbogaceniu języka ruskiego/rosyjskiego za Piotrowych czasów aż o 4,5 tysiąca europejskich słów.

I mimo tego wzbogacenia język zachował ogromną warstwę cerkiewnosłowianizmów, jak żaden inny ze słowiańskich. Dlatego ci, którzy używają rosyjskiego, cerkiewnosłowiański rozumieją lepiej niż rozmawiający tylko po polsku, białorusku czy ukraińsku.

Ale Poroszenko chce rozerwać jedność wschodniosłowiańskich narodów, tkaną między innymi wspólnym językiem, dziś nazywanym rosyjskim/ruskim. To zabieg polityczny. Bo jakże można określić odrzucenie języka, kształtującego się przez tysiąc lat, głównie na obecnej ziemi ukraińskiej, jeśli nie gestem politycznej bezmyślności, dyktowanej nienawiścią, która jest zawsze złym doradcą.

Na miejsce rosyjskiego/ruskiego wprowadza się ukraiński. Nic nie mam przeciwko ukraińskiemu ani tym bardziej białoruskiemu – każdy język jest ogromną wartością kulturową – które do rangi języków literackich dojrzewały dopiero w drugiej połowie XIX wieku, z dialektów wynoszone. Także na Ukrainie było wiele dialektów, a jednemu z nich, z zachodniego obszaru Ukrainy, poszczęściło się – wyrósł do rangi oficjalnego, państwowego. Wyrastał na fali romantyzmu, który w końcu osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku zmieniał europejskie prądy estetyczne i filozoficzne. Oświecenie ceniło to co klasyczne, uniwersalne, zagraniczne. Romantyków fascynowało to co lokalne, a więc ustna ludowa twórczość, żywy ludowy język. Zaczęto zbierać podania, baśnie, mity, *byliny*, obrzędy, przysłowia, przypowieści oraz tworzyć słowniki żywego ludowego języka, także gramatyki takich języków. I tak Pawłowski stworzył gramatykę małorosyjskiego (ukraińskiego), jak napisał w słowie wstępnym, „zanikającego języka”. Romantyczna moda na ludowość nie ominęła ani Ukrainy, ani Białorusi. Tyle, że przyszła tu z pewnym opóźnieniem w stosunku do Niemiec. Zaowocowała kodyfikacją i nobilitacją języków, które dotychczas były gwarami. Oczywiście je też „czyszczono”, uszlachetniano, uzupełniano, czyli w oryginale one niemal nie występowały. I ten proces nie dotyczył tylko ukraińskiego czy białoruskiego. Trwał na całym obszarze Imperium Rosyjskiego, a potem Związku Radziekiego, kiedy jedynie na Syberii wydźwignięto do rangi literackich aż siedemdziesiąt lokalnych języków, czyli oszlifowano je, stworzono ich gramatyki, zaczęto w nich drukować. I nie robiono tego po to, by siać wrogość między małymi syberyjskimi narodami, dzielić je na tle językowym, ale by te języki chronić i rozwijać. I „uszlachetniając” miejscowe gwary i języki nie walczono z rosyjskim, nie ograniczono jego używania, jak to się robi na Ukrainie. Bo wiedziano, że będzie to odcinanie się od świata.

Po co walczyć na Ukrainie z rosyjskim, a są zwolennicy takiej walki i na Białorusi. Co wtedy traci taki naród?

Traci klucz. Tym kluczem jest język rosyjski. Otwiera on drzwi do kultury dawnej Rusi, Rosyjskiego Imperium i narodów Związku Radzieckiego,

ale także całej światowej cywilizacji. Cywilizacji? Tylko w kilku krajach na świecie przekładano na własny język dorobek światowej cywilizacji w skali, w jakiej czyniono to w Imperium Rosyjskim i, zwłaszcza po drugiej wojnie, w Związku Radzieckim. Ani na polski, ani na włoski, ani tym bardziej ukraiński czy białoruski nie przełożono, tak jak na rosyjski, około 700 tomów w ramach serii *Litieraturnyje pamiatniki*, 360 tomów, tworzących serię Literatury powszechnej, 150 tomów serii Filozoficzna spuścizna. Przełożono też na rosyjski najwybitniejsze dzieła – też w wielotomowych seriach – z zakresu myśli estetycznej, ekonomicznej, Dalekiego Wschodu i inne. Powstały tysiące przekładów, dokonanych przez profesjonalnych tłumaczy, o dobrym akademickim przygotowaniu, opatrzone komentarzami.

I tak oto, władając tym językiem, można dotknąć minionego ojczystego, ale i światowych źródeł myśli i słowa.

Powstaje pytanie – za ile, nie dziesięcioleci, ale raczej stuleci, takie państwo jak Ukraina czy Białoruś zdołają przełożyć na ukraiński czy białoruski tak ogromny światowy dorobek i swój własny, tysiącletni także?

I dlatego Wasilij Anisimow odrzucanie języka rosyjskiego nazywa głupotą, a zabranianie nauczania w nim w szkołach przestępstwem. Myślę, że są to przestępstwa intelektualne.

Na szczęście, choć dziś język jest zasadniczym wyróżnikiem narodu, to nie tylko on go spaja i określa. Jednoczy także wiara, dla zdecydowanej większości Ukraińców prawosławna, wspólni święci i bohaterowie, historyczna pamięć, wspólne tragedie i zwycięstwa.

Ukraina, państwo, które teraz traci średnio 400 tysięcy swoich obywateli rocznie (emigracja, wysoka śmiertelność, niski przyrost naturalny), ma upadającą gospodarkę, naukę w zastoju, potrzebuje pokoju i zgody. Potrzebuje jedności narodu, a tej – wspierając rozłamy w Cerkwi czy ograniczając prawa mniejszości narodowych – się nie zbuduje.

Anna Radziukiewicz

Piórkiem i talentem

„Bóg obdarzył Pana Władysława wyjątkowym talentem, który mozolnie i z zapałem pomnażał on w ciągu całego swojego życia. Tym samym pozostawia po sobie potomnym obszerne dziedzictwo, którego wartość jest nie do przecenienia” – napisał w słowie wstępnym do albumu „Cerkwie” Władysława Pietruka metropolita Sawa.

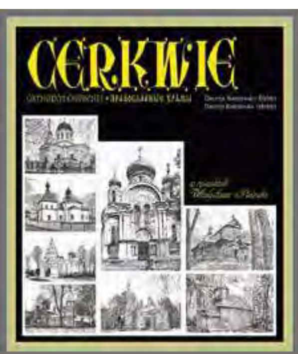
W istocie, talent Pietruka spotyka się z pracowitością, która jest nie z tej epoki. Jak teraz znaleźć ludzi, którzy z benedyktyńską cierpliwością, siedząc z piórkiem w ręku, z dnia na dzień, z roku na rok, przez po-



Kożany. Cerkiew Podwyższenia Krzyża Świętego



Uroczysko Piatienka. Kaplica Podwyższenia Krzyża Świętego



nad trzydzieści lat, odbijają otaczający świat na kartce papieru? Nie widzę takich. Nie widzę nowych rysowników o takim rozmachu twórczości.

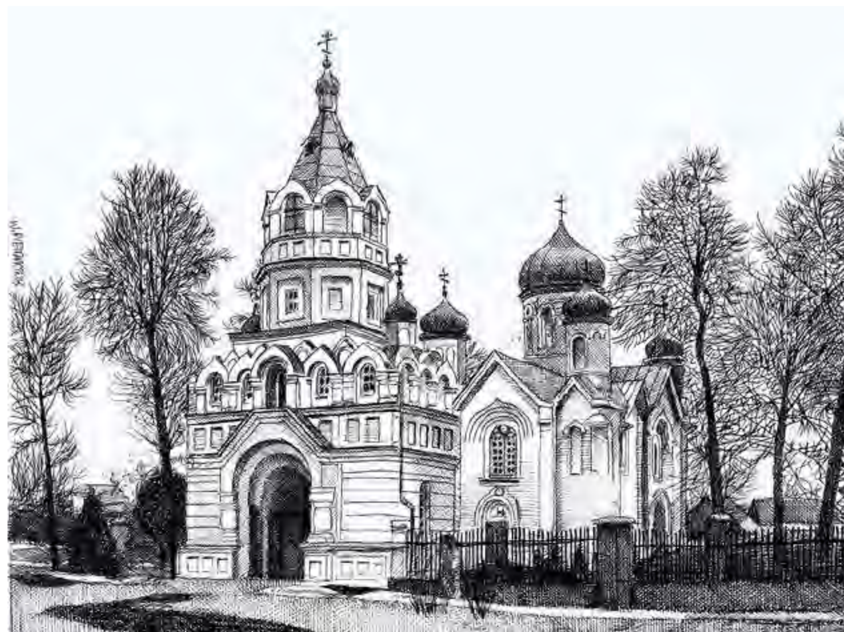
Powiedzą – a po co rysunek, jeśli mamy fotografię? Ona odbije wszystko. Ją można w dodatku retuszować, powielać w nieskończoność.

Właśnie, retuszować.

Władysław Pietruk nie retuszuje. Jeśli osypany tynk odsłania liszaje cegły, tak je rysuje. Jeśli betonowy słup dźwiga przewody elektryczne, „przecinając" domy czy kaplice, też się pojawi na rysunku. Jeśli twarz kobiety zaorało życie, taką pozostanie.



Saki. Przydrożna kapliczka



Wasilków. Cerkiew Świętych Piotra i Pawła

Ale jeśli w fotografii pokażemy niedoskonałości świata, widz ją odrzuci, bo pragnie estetyki, nazwałabym ją kurortowej, czyli pięknych krajobrazów, w których jak broszki tkwią dworki, pałace, fontanny. Nie chce „liszajów". Ale w rysunku je zaakceptuje, zobaczy nawet urok różnorodności świata, w którym domy, płoty, człowiek „opowiedzą" o swoim starzeniu się, odchodzeniu, zamieraniu.

A rysunek Pietruka wchłania wszystko, jakby każdą rzeczywistość unosząc do rangi piękna. Piszę tu o wszystkich pracach Władysława – przedstawiających stare białostockie Bojary, chaty w jego rodzinnych Narojkach, krzyże nie trzymające się pionu, *gumna* z zapadniętymi strzechami, bruk z głębokimi koleinami.

Oczywiście w najnowszym albumie nie ma tej „liszajowatej" rzeczywistości. Są świątynie. A te dają rysownikowi piękno jakby za darmo.

Rysunek jest innym rodzajem sztuki niż fotografia. Więcej w nim zamyka się osobowości twórcy, jego spojrzenia na świat. A poza tym jest teraz bardzo rzadkim rodzajem sztuki.

W rysunkach Pietruka bardzo cenię rzadką umiejętność oddawania nawet nie tyle faktury, ile struktury muru, dachu, kamienia, drzewa, nieba, a już szczególnie przesianego przez drzewa słońca. Takie przesiane słońce zamienia fotografię w tak zwaną kaszę, czyli zdjęcie do wyrzucenia, ale rysunek naszego artysty w piękny krajobraz, rozgrzany lipcem czy sierpniem. Cenię też kompozycję rysunków. Każdą cerkiew można fotografować i rysować z różnych stron, ale trzeba zawsze wybrać ten najlepszy punkt, gdzie współgra plan pierwszy z dalszym, gdzie autor pokazuje co jest najważniejsze. Władysław Pietruk to czyni.

Album ukazał się w wydawnictwie Warszawskiej Metropolii Prawosławnej. Na 232 stronach pokazano ponad trzysta rysunków – na wielu stronach po dwa. Po raz pierwszy album obrazuje jedynie prawosławne świątynie, tu z dwóch diecezji – warszawsko-bielskiej i białostocko-gdańskiej. Grafiki są podpisane w języku polskim, angielskim i rosyjskim. Myślę, że mało jest lokalnych Cerkwi, a może w ogóle ich nie ma, które by mogły poszczycić się tak unikalnym artystycznym dokumentem, jak album rysunków swoich świątyń. Będzie to dobry prezent zwłaszcza dla zagranicznych gości.

Rzecz jest dostępna w Składzie Metropolitalnym w Warszawie, siedzibie wydawnictwa (Białystok, ul. św. Mikołaja 5, tel./fax 847443646, wydawnictwo@orthodox.pl), Centrum Kultury Prawosławnej w Białymstoku, sklepiku Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Białymstoku oraz poprzez internet za pośrednictwem strony www.sklep.cerkiew.pl.

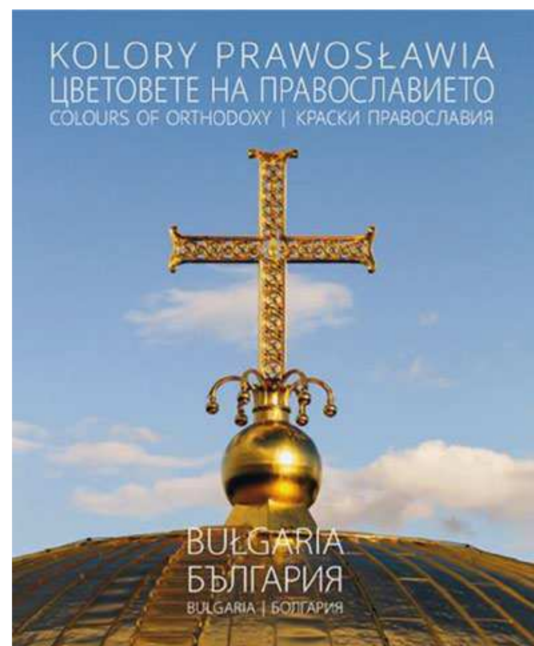
Anna Radziukiewicz
Rysunki **Władysława Pietruka**

Władysław Pietruk, *Cerkwie, kaplice, kapliczki. Orthodox churches. Православные храмы*, Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 2017, ss. 232.

Wnętrze metropolitalnego soboru św. Niedzieli w Sofii
Z prawej rosyjska cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy w Sofii

Piękno bułgarskiego prawosławia

U schyłku roku ukazał się kolejny album „Kolory Prawosławia”, serii poświęconej prawosławiau w różnych zakątkach świata. Prezentowano już odzwierciedlone na fotografiach piękno Cerkwi prawosławnej w Polsce, Rosji, Serbii, Gruzji i Rumunii. Tym razem album poświęcony jest Bułgarii.



We wprowadzeniu prof. **Aleksander Naumow**, znany slawista, przybliża złożone dzieje bułgarskiego prawosławia, przypominając że „Bułgaria jest słowiańskim krajem z najdłuższą historią, także Cerkiew bułgarska jest najstarszą spośród Cerkwi słowiańskich”.

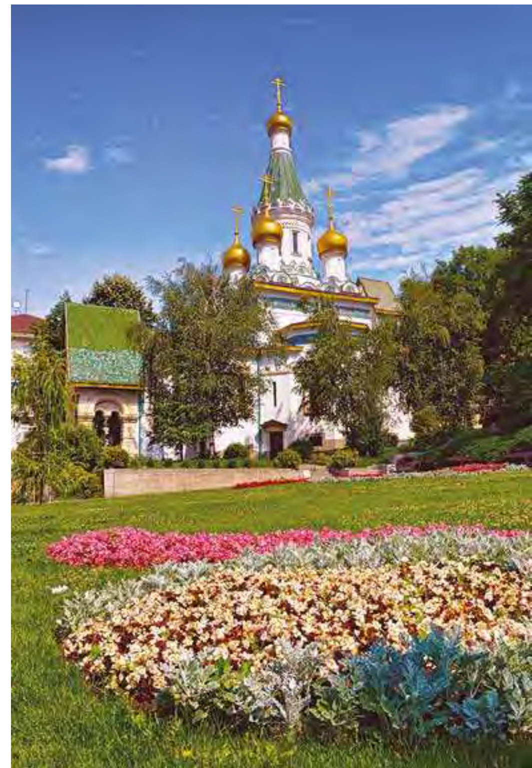
Autor swój tekst zamyka współczesnymi danymi statystycznymi: „Bułgarska Cerkiew Prawosławna jest dziś zorganizowana w 13 diecezjach w kraju i dwóch za granicą, ma też około 15 tytularnych biskupów. Liczba budowli sakralnych sięga ośmiu tysięcy, z czego niespełna połowa to cerkwie parafialne. Posiada ponad 120 monasterów. Prowadzi dwa seminaria i cztery wydziały teologiczne na uniwersytetach”. Podaje też, że „językiem liturgicznym jest zasadniczo cerkiewnosłowiański, lecz coraz częściej przechodzi się na współczesny język bułgarski. Dominuje muzyka bizantyńska, ale korzysta się też z wielogłosowego śpiewu rosyjskiego. W architekturze i ikonografii powraca styl bizantyński”.

Swój zarys prof. Naumow puentuje słowami: „Skomplikowane były losy bułgarskiego prawosławia, ale to ono przez wieki niewoli, przez czasy ucisku, gwałtu i odstępstwa, wierną służbą Bogu i narodowi, modlitwą, pracą i męczeństwem zapewniło Bułgarii historyczne przetrwanie i stało się obfitą skarbnicą duchowego piękna i dobra”.

W zasadniczej, fotograficznej, części albumu zaprezentowano ponad 150 zdjęć wykonanych przez dwudziestu siedmiu fotografików, głównie z Bułgarii, ale również z Polski i Niemiec. Pokazują znaczną część wielowiekowego, różnorodnego dziedzictwa Bułgarskiej Cerkwi Prawosławnej. Album przedstawia osiągnięcia architektury sakralnej i wnętrza bułgarskich cerkwi, ukazuje piękno krajobrazu.



„To jednak tylko jedna, statyczna, strona tego wydawnictwa” – pisze metropolita warszawski i całej Polski **Sawa** w słowie wstępnym do albumu. „Niniejszy album charakteryzuje również pewien dynamizm związany z uchwyconymi na zdjęciach ludźmi i sytuacjami, w których zostali oni sfotografowani. Na łamach książki zarejestrowane zostało również życie litur-



giczne i sakramentalne bułgarskiego prawosławia, w tym te ważniejsze i mniej ważne wydarzenia związane z życiem Cerkwi prawosławnej w Bułgarii. Reasumując, album stara się być fotograficznym odbiciem ducha prawosławia w tym kraju".

Album zawiera równoległe cztery wersje językowe – polską, bułgarską, angielską i rosyjską, co sprawia, że ma on szanse znaleźć odbiorców praktycznie na całym świecie.

W słowie wstępnym metropolita Sawa pisze też: „Kontakty wzajemne między Bułgarską Cerkwią Prawosławną a naszą Cerkwią na poziomie hierarchii i wiernych nie są zbyt ożywione. Mimo to relacje te są życzliwe i konstruktywne, napawające optymizmem, co stwarza dobrą perspektywę na przyszłość. Łączą nas trwale święci Cyryl i Metody, św. Paraskiewa-Petka Tyrnowska, pamiętamy o związkach pierwszych druków cyrylickich z Krakowa czy historii Monasteru Supraskiego z duchową tradycją ziem bułgarskich". Zwierzchnik naszej Cerkwi wyraża też nadzieję, że najnowszy album „zachęci do bliższych kontaktów nie tylko z tym krajem, ale i z bułgarskim prawosławiem, jego monasterami i świątyniami, które stanowią fundament kultury tego narodu".

W albumie zostały wykorzystane fotografie z portalu internetowego www.orthphoto.net. Powstał on w dużej mierze z inspiracji i pod patronatem honorowego konsula Republiki Bułgarii w Białymstoku **Witolda Karczewskiego**.

Album można nabyć m.in. w siedzibie wydawnictwa (Białystok, ul. św. Mikołaja 5, tel. / fax 847443646, wydawnictwo@orthodox.pl), Centrum Kultury Prawosławnej w Białymstoku, sklepiku Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Białymstoku oraz poprzez internet za pośrednictwem strony www.sklep.cerkiew.pl.

Jarosław Charkiewicz

Kolory Prawosławia. Bułgaria, Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 2017, ss. 192.

GRUZIN I ORMIANIN w jednym stali domku…

– Zaraz zacznie się piętnaście kilometrów piekła – oświadczył Hracz i widać było, że wcale mu nie do śmiechu. Właśnie przejechaliśmy granicę armeńsko-gruzińską drogą prowadzącą z Giumri do Borżomi i znaleźliśmy się w dziewiętnastym wieku. W porównaniu z tymi wioskami, w całości zamieszkanymi przez Ormian, duchoborców i mołokan, nawet najbardziej zapyziała osada w Polsce jawi się jako oaza dobrobytu. Jednocześnie zaś surowe piękno tego regionu dosłownie zapiera dech w piersiach.

Już samo przejście graniczne zapowiadało niespodzianki. Terminal ormiański – normalny, europejski, dwudziestopierwszowieczny. Za to gruziński… wielki betonowo-szklany kompleks, przeznaczony na kilkanaście stanowisk jednoczesnej odprawy granicznej. Wszystko pod dachem. I wszystko nieczynne, w początkowym stadium rozkładu. Dziurawa droga obok tego straszydła zawiodła nas do byle jakiego terminalu właściwego. A potem było jeszcze gorzej. Tak fatalnej drogi dawno już nie widziałem.

– Bo widzisz – to znowu **Hracz** – wjechaliśmy do tej najbiedniejszej części gruzińskiej Dżawachetii, którą zamieszkują gruzińscy Ormianie, nie licząc garstki *mołokan* i *duchoborców*, więc Gruzini mają to po prostu w nosie.

Gdybym nawet żył siedem razy, jak kot, takiego podejścia do sprawy nie zrozumiem. No bo nawet jeśli nie specjalnie kocha się sąsiada, to przecież o prestiż własnego kraju dbać się powinno. A tutaj pierwsze wrażenie jest po prostu katastrofalne. Telepaliśmy się więc po tych dziurach niemiłosiernie, a ja gapiłem się na te *duchoborsko-mołokańskie* wsie: Żdanowka, Jefremowka, Gorełowka, Orłowka. Czy aby na pewno jesteśmy w Gruzji?

Duchoborcy to osiemnastowieczna sekta rosyjska, negująca dogmaty, instytucję Cerkwi, duchowieństwo, ikony, krzyże, chrzest, Trójcę Świętą. Gdy okazało się, że nie uznają także władzy świeckiej i używania przemocy oraz opowiadają się za całkowitym pacyfizmem, zostali wygnani z Rosji. Za jedyne autorytety i źródło wiary uznają Biblię i Chrystusa. Oprócz tego wierzą w zaklęcia i przepowiednie, a psalmów i całych fragmentów Ewangelii uczą się na pamięć. Wierzą w naturalną dobroć ludzi, unikają używek, mięsa i nie udzielają się politycznie. *Mołokanie* zaś wyłonili się z duchoborców, więc i praktykowane przez nich zasady są niemalże identyczne. Swoją nazwę zawdzięczają używaniu mleka i nabiału w okresie Wielkiego Postu.

Był listopad, byliśmy na wysokości dwóch tysięcy metrów, byliśmy w tzw. gruzińskim Tybecie, najzimniejszym miejscu Kaukazu, w którym temperatura zimą spada nawet do -30 stopni. Nie było drzew – bo za wysoko, nie było ogrodów – bo już za zimno, nie było bydła – bo stało w śmiesznie niskich obórkach, w takich, by się zmieściło, z góry pokrytych ziemią i trawą, by było cieplej. Domy mieszkalne też niewiele lepsze, z surowego kamienia, którego tu wszędzie pełno, pobudowane byle jak, żeby tylko stały. Jakby u jakichś wiecznych nomadów, którzy tutaj przystanęli tylko na chwilę i zaraz wiosną ruszą dalej. Wszechobecna graciarnia, wszechobecne wielkie kupy siana przykryte kolorowymi plamami brezentu. Za to wszędzie były barany, bo im widać było wszystko jedno i gdzieniegdzie

Kanion Mtkvari
Niżej Poka – monaster męski



ludzie, bo nie można siedzieć przecież w domu, gdy na około tyle bajecznych gór, płaskowyży, jezior i strumieni.

Pomiędzy wsiami surowe piękno tego krajobrazu aż powalało. Gdyby nie te wsie, byłoby po prostu cudnie. Ale one były i uwierały jak kamień w bucie. No bo jak to możliwe, by w XXI wieku tak traktować ludzi? Wszędzie, i w Gruzji, i w Armenii, wciąż się słyszy o jedności tych dwóch bratnich narodów, które blisko 1700 lat mężnie opierały się najazdom wrogów, zawsze dążących do tego, by zniszczyć religię dwóch najstarszych chrześcijańskich krajów świata. Ale ja już zbyt długo jeżdżę po Kaukazie, by nie wiedzieć, że jest to sojusz tylko taktyczny, z konieczności wynikający, a tak naprawdę to oni niespecjalnie się kochają. A jeśli





już, to tak jak Paweł z Gawłem. No bo kiedy tylko Ormianin opowiada kawał, to zawsze jest on o tępym Gruzinie. Jeśli Gruzin, to tym mniej rozgarniętym jest zawsze Ormianin. I każdy obowiązkowo twierdzi, że to jego kraj jest najlepszy, naród najmądrzejszy i najszlachetniejszy, a tamci to tylko zawsze małpowali i w ogóle tylko dzięki nam...

A teraz miałem na to niezaprzeczalny dowód. Granicę, na której Gruzinom zupełnie nie zależało, więc i droga koszmarna, i bieda w ormiańskich wioskach aż piszczy, choć one do gruzińskiego państwa przecież należą. Bo łatwiej z tej części gruzińskiego kraju dostać się do Erewania niż do Tbilisi. Wiedziałem też, że po ormiańskiej stronie stosunek do przygranicznych osad gruzińskich jest taki sam. Ach, te granice! Najlepszy dowód ludzkiej głupoty i braku poszanowania sąsiada. No bo po co one w ogóle są!? Czego strzegą, gdy kilometr od oficjalnego przejścia można spokojnie je przekroczyć. I to nie tylko tu, na całym świecie przecież jest tak samo. Nie chronią ludzi przed niczym (nikim?), za to skutecznie dzielą, oszukują, wprowadzają nienawiść, zawziętość i agresję. Bo przecież u NAS, zawsze jest lepiej niż u NICH. Jeszcze przecież wcale nie tak dawno sam stałem w kilometrowych kolejkach na nieodległą od mego domu Słowację. I nagle znieśli granicę. I co? I nic. Życie potoczyło się swoim rytmem i nikt nikogo nie zjadł. A gdy razem z Ukrainą w 2012 robiliśmy piłkarskie Euro, to też formalności uproszczono do minimum. I wszyscy mieli nadzieję, że już tak zostanie. Ale po miesiącu znów wróciło stare i męczy do dziś. Nienawidzę granic, terminali i podziałów, i nic na to nie poradzę.

Takie właśnie myśli zaprzątały moją głowę, gdy dziury wreszcie się skończyły i wjechaliśmy do dużej wsi Ninocminda (gruz. Święta Nino). Gdzieś z początkiem IV wieku, tuż po cudownym uratowaniu z rzezi 37 dziewic, młodziutka Nino dotarła właśnie tutaj, po raz pierwszy stawiając swą









Vardzia – w centrum skalna cerkiew Uspieńska i freski zewętrznych ścian cerkwi Uspieńskiej
Po prawej – Dzveli Vardzia, monaster żeński

stopę na gruzińskiej ziemi. Kawałek zaś dalej, w roku 320, założyła pierwszą wspólnotę monastyczną w dziejach tego kraju. Wieś długo nazywała się Bogdanowka, ale w 1991, dla uczczenia pamięci o świętej, przemianowano ją na Ninocmindę. Charakterystyczny krzyż od tego momentu dumnie widnieje w herbie miasteczka. Szukam więc śladów Nino w tej Ninocmindzie, równie namiętnie co bezskutecznie. Miejscowość w zasadzie całkowicie ormiańska i żadnych śladów świętej nie znajduję. Szukam więc choćby cerkwi – może tam coś będą wiedzieć? Wreszcie jest, tyle że także ormiańska, dziewiętnastowieczna i o Nino nic niewiedząca. Trudno, w końcu, 28 kilometrow dalej, znajdują się dwa monastery pod wezwaniem naszej świętej.

my w kierunku największej stodoły. Jak się okaże… monasterskiej cerkwi sprzed tysiąca lat. Ale to widać dopiero z bliska. Wewnątrz surowość, asceza i wspaniałe mozaikowe ikony ikonostasu. Jest też kilka ikon napisanych specjalnie na Atosie. Stanowią największe świętości monasteru, wraz z cudotwórczym wizerunkiem *równoapostolnej* św. Nino oczywiście.

Założona w 1992 roku wspólnota, ku czci wstąpienia św. Nino na ziemię gruzińską, liczy tylko siedem zabieganych od rana do nocy sióstr. Pomimo tego znajdują czas na krótką rozmowę i wiodą nas do sklepiku. Znajdujemy w nim sławne na całą Gruzję ich monasterskie sery oraz herbaty, nalewki, czekolady i inne słodkości. Siostry same wszystko przygotowują i same



Jedziemy więc nad jezioro Paravani do wioski Poka. To właśnie tutaj Nino zatrzymała się na dłużej, skupiając wokół siebie pierwsze gruzińskie, nieoficjalne jeszcze, mniszki. Droga wspaniała, asfalt jak szklanka, widoki nieziemskie, surowe góry przyprószone pierwszym śniegiem, dwa turkusowe jeziorka w promieniach ukazującego się czasem słońca. Wreszcie i Poka. Drogowskaz wskazuje drogę. Jedziemy więc przez samiuśkie centrum ormiańskiej oczywiście jak wszędzie tutaj osady, by na koniec stanąć przed płotem. Tyle, że monasteru nie ma. Wszędzie tylko te małe kamienne domki oraz kryte darnią obórki. Idzie-

sprzedają nielicznym pielgrzymom. Dostać się tu przecież naprawdę nie jest łatwo i wszędzie stąd jest naprawdę daleko. Monaster słynie także ze swojej emalierskiej pracowni ikonograficznej, gabinetu lekarskiego, szkoły dla miejscowych dzieci, wakacyjnych obozów dla gruzińskiej młodzieży, działalności oświatowej i poligraficznej. Jak mniszki znajdują czas na to wszystko i w jaki sposób wytrzymują to fizycznie, zaczynając pierwszą służbę już o drugiej w nocy, pozostanie ich tajemnicą. Na koniec tłumaczą, jak dojechać do męskiego monasteru na samym końcu Poki.

Gdyby nie drogowskaz i obejrzane

przed wyjazdem w Internecie zdjęcia, nie trafilibyśmy. Bo monaster to dwa zwykłe budynki. W jednym jest cerkiew, w drugim się mieszka. Ale zanim się tam trafi, przejechać trzeba obok położonej nad samym jeziorem ni to czasowni, ni to… sam nie wiem, do czego to porównać. Proszę więc lepiej popatrzeć na załączoną do tego tekstu fotografię. Służy się w tym miejscu tylko raz w roku, 1 czerwca, gdy nie tylko z okolic kurortu Borżomi, ale nawet i z Tbilisi docierają pielgrzymi na *prazdnik* równej apostołom patronki swego kraju. Na co dzień zaś o. **Paisjusz**, namiestnik i jedyny stały mieszkaniec monasteru, służy w domowej, skromniutkiej cerkwi, w której szczególną uwagę zwraca srebrna ikona św. Jerzego. Ale nie jest tu sam. Zawsze jest ktoś na *posłuszaniju*.

Monaster męski założono wcześniej niż żeński, bo w roku 1989. Na początku był to maleńki domek, zakupiony i przekształcony w maleńki monaster przez patriarchę-katolikosa Gruzji **Eliasza II**. Obydwa pokskie monastery od samego początku ściśle ze sobą współpracowały w dziele oświaty i ewangelizacji miejscowej ludności. I tak pozostało do dziś. W zasadzie wszystkie przedsięwzięcia realizują wspólnie, z corocznymi obrzędami chrztu w wodach jeziora Paravani włącznie.

Gawędzimy więc chwilę, wypijamy przepyszną kawę i umawiamy się na przyjazd w przyszłym roku grupy polskich pielgrzymów. Na koniec idziemy raz jeszcze do położonej nad brzegiem jeziora czasowni i oderwać wzroku od otaczającego landszaftu nie możemy. Ojciec Paisij uśmiecha się tylko, bo przecież wie co czujemy – czuł to samo, gdy po raz pierwszy stanął w tym miejscu. Teraz i ja wiem, dlaczego zarówno on, jak i żyjące nieopodal mniszki zdecydowały się nieść swój *podwig* na wysokości 2100 metrów.

Wracamy do Ninocmindy i przez powiatowe Achalkalaki, również zamieszkane przez gruzińskich Ormian, podążamy w kierunku Vardzi – skalnego cudu, skalnego miasta i skalnego monasteru. Zanim jednak tam dotrzemy, wielokrotnie zatrzymujemy się,



trochę jadąc a trochę idąc zboczem kanionu rzeki Mtkwari. Swój początek bierze niedaleko stąd, w górach Turcji, do której w linii prostej tylko dwanaście kilometrów. Potem przepływa całą Gruzję i Azerbejdżan, by po ponad tysiącu kilometrów ujść do Morza Kaspijskiego. Długa jest – stąd jej grecka nazwa Kura – najdłuższa na Kaukazie. Ale tu przed Vardzią i ona, i jej kanion są po prostu zachwycające. Kawałek dalej, wysoko w górze, ruiny starożytnej twierdzy Tmogvi.

Aż wreszcie sama Vardzia, wyglądająca z daleka jak wielki plaster miodu. To „zasługa" potężnego trzęsienia ziemi z końca XIII wieku, które spowodowało oberwanie się i runięcie w koryto rzeki wielkiej części skały, w której żyli i mnisi, i świeccy. Było ich ponoć nawet 60 tysięcy i zamieszkiwali 600 jaskiń na dziewięciu poziomach. W czasach królowej **Tamar**, w XI wieku, była to prawdziwa potęga. Dwa wieki później miasto zniknęło, co dało początek jednej z największych turystycznych atrakcji dzisiejszej Gruzji (UNESCO).

Jednak nie wszyscy opuścili to miejsce. Nigdy bowiem, z wyjątkiem kilku dziesiątków komunistycznych lat, nie pozostawili go mnisi. Są więc i dziś, choć to kilku tylko ascetów. W ich życiu nic się nie zmieniło. Nadal zamieszkują skalne pieczary i jak zawsze modlą się w skalnej cerkwi *Uspieńskiej*. To główna cerkiew wspólnoty i jedyna ogólnodostępna. Cisza, majestat, asceza, bajeczne ośmiusetletnie freski – namodlenie niemalże namacalne, transcendencja wszechobecna. Tuż przed wejściem dzwonnica, wewnątrz labirynt korytarzy, co parę kroków nieużywane już cerkwie, w stanie niemalże idealnym lub też w szczątkowym. Wewnątrz monasterskiej skały życiodajne źródło z wodą, która uzdrowiła już niejedno

chore ciało i chorą duszę. Ciekawe, dlaczego zasłonięte plastikową szybą? Czyżby i tu ktoś próbował wrzucać pieniążki lub myć sobie nogi?

Jak dobrze, że to listopad. Puściutko, cichutko, modlitewnie. Nikt nie przeszkadza, nikt nie wrzeszczy. Oprócz nas w całym kompleksie tylko czwórka Azjatów z przewodnikiem. Chcąc nie chcąc, przysłuchuję się, gdy opowiada o cerkwi: historia, architektura, freski, itd. Ani słowa o Bogu, o religii. I co z tego, że niechrześcijanie? Czy to już wystarczający powód? Ale chyba trzeba powoli zacząć się do tego przyzwyczajać. Coraz częściej bowiem słyszę tutaj na Kaukazie polskich przewodników, którzy opowiadają turystom w ten sam sposób. Gdy pytam dlaczego, odpowiadają, że religia już chyba nikogo nie interesuje, że liczy się wyłącznie walor estetyczny. A poza tym wyjazdy mają przecież charakter świecki, więc na wszelki wypadek lepiej się nie wychylać.

Wiejska, dziurawa droga wiedzie nas w górę kanionu, na sam koniec świata, a już na pewno na koniec Gruzji. Po czterech kilometrach jazdy jesteśmy w następnym wąziutkim kanionie, w którym ulokował się żeński monaster Przenajświętszej Bogarodzicy. To Dzveli Vardzia, czyli Vardzia Vyżna. Prawie nikt tu nie dociera, więc pewnie dlatego 23 siostry właśnie tutaj zdecydowały się prowadzić swoją walkę duchową. Wysoko, surowo, bezdrzewnie, słońce dociera tylko na parę godzin w ciągu doby. Ale pomimo tego od razu widać kobiecą rękę: kwiatki, rabatki, firaneczki, domeczki. Jak one to robią? Nie wiem i tym razem także się nie dowiem, bo ihumenia akurat wyjechała, a pozostałe siostry tylko po gruzińsku.

Pomimo tego prowadzą nas do tysiącletniej cerkwi, ku czci Przenajświętszej Bogarodzicy oczywiście. Wchodzę do środka i od razu wiem, dlaczego zamieszkały właśnie tutaj. Każdy zostałby mnichem, gdyby miał takie cudo pod nosem. Nie, absolutnie żaden barok. Jak zwykle surowo i ascetycznie, ale jednocześnie tak pięknie i tak duchowo, że ująć w słowa tego nie potrafię. Największą czcią otacza się tu oczywiście św. Nino, a z ikon dwie: staroruską św. Mikołaja – przepięknej jubilerskiej roboty w srebrze oraz współczesną – Bogarodzicy z kiścią winogron. Ta memu sercu jest szczególnie bliska, gdyż od kilku lat posiadam jej kopię. Bogarodzica na niej naprawdę niezwykła – jedną ręką przytrzymuje Dzieciątko, w drugiej dzierży kiść soczystych winnych gron. Żebrzę więc tylko o zgodę na jedną fotkę, zapalam świeczki, całuję ikony i wycieram ukradkiem nie wiem skąd przybyłą łezkę zachwytu.

Kwadrans później nowiutka, bialutka, betonowa droga wiezie nas niemal pionowo w górę. Samochód piłuje na jedynce, silnik chce wyskoczyć przez maskę. Wreszcie jest płaska platforma-parking monasteru Vanis Kvabebi (w wolnym tłumaczeniu kamienna kotlina). Żeby tu dotrzeć, trzeba wiedzieć o jego istnieniu lub bacznie się rozglądać, by go zauważyć, jako że mieszkający w całkowicie atoskich warunkach asceci za nic w świecie nie chcą stać się obiektem takiej turystycznej inwazji, jak w sąsiedniej Vardzi. A mieszkają tu zdecydowanie dłużej od nich, bo od VIII wieku. Wtedy było tu ponad dwieście zamieszkałych pieczar aż na szesnastu poziomach. W XII wieku zaś mieszkały tu mniszki i kto wie, czy nie był to monaster charakteryzujący się najsroższym *ustawem* w całej Gruzji i daleko poza nią. Proszę sobie wyobrazić, że za nieposłuszeństwo siostra mogła nawet zostać strącona w przepaść.

Można powiedzieć, że oba monastery tworzą kompleks bliźniaczy, z tym że Vanis Kvabebi trochę mniejszy. Koniec świetności monasteru nadszedł podczas tego samego trzęsienia ziemi co u sąsiadów, choć gdy staję pod jego ogromną, półkoliście wygiętą pionową, ścianą, wcale nie mam uczucia, że był tu jakiś koniec. Za to skojarzenia z Atosem narzucają się samoistnie. Kiedyś mieszkało tu kilkuset mnichów, dzisiaj tylko kilku. Świadczą o tym wmurowane w wejścia do kilku pieczar drzwi oraz okienka. Ogromna reszta stoi pusta. Wzrok sam podąża ku białej cerkwi, przyczepionej niczym orle gniazdo do skalnego wyłomu, sterczącego wysoko, wysoko w górze. Nie jest to jednak cerkiew św. Jerzego, która przed wiekami stanowiła dumę *obiteli*. To „tylko” czasownia, ale i tak to właśnie ona stanowi współcześnie najbardziej charakterystyczny element tego miejsca. Niestety, nie zastajemy ojców. Gdzieś przepadli – świadczą o tym wszechobecne kłódki. Postanawiamy trochę poczekać, myszkując gdzie tylko się da. A da się naprawdę wiele – groty-*kielie*, dawne skalne cerkwie, te ze zdobieniami i te bez, wewnętrzne korytarze i zewnętrzne galerie. Podwórkowy Burek ze spokojem śledzi nas sprzed swojej budy. Ostatecznie ojców się nie doczekaliśmy. Skończyło się więc na cichej modlitwie oraz kontemplacji tego co mieliśmy wokół, przede wszystkim tych bajecznych widoków na cały kanion, w promieniach wieczornego słońca niezapomnianych.

Nieco ponad godzinę później mkniemy równiutkim jak stół asfaltem z Achalkalaki w kierunku granicy tureckiej. I tylko w tych miejscach, gdzie znów napotykamy biedniutkie, ledwie wystające ponad ziemię wioseczki ormiańskie, droga staje się gorsza, bo bardziej zużyta. Znowu te same minidomki i miniobórki, rachityczne płotki, przykryte kolorowym brezentem góry siana, gdzieniegdzie samotne topole, psy, kozy, owce i krowy. I tylko czasem za szybą przemknie postać spracowanego, steranego życiem wieśniaka. Nie widzę sklepów, nie widzę knajpek, nie widzę szkoły. Jest za to nieskończona przestrzeń, góry, ludzki mozół i niezwykłe dla polskich oczu piękno.

– Wiesz, zastanawiam się – wyrywa mnie z zadumy Hracz – jak to jest? Droga na granicę z Armenią tak dziurawa, że aż plomby w zębach dzwonią. Sam widziałeś. A przecież to granica pomiędzy dwoma najstarszymi chrześcijańskimi krajami świata. A tutaj, w drodze do islamskiej przecież Turcji – równo jak po stole. No więc, jak?

No właśnie – jak?!

„Paweł i Gaweł, w jednym stali domku…”.

Paweł Krysa, fot. **autor**

Gotycka świątynia w Wiślicy w podziemiach kryje pozostałości wcześniejszej, romańskiej

Gdzie kończy się Europa

Europa kończy się tam, gdzie kończą się romańskie kościoły – powiedział dr hab. Robert T. Ptaszek, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, do uczestników debaty Polskiego Towarzystwa Filozoficznego Oddział w Siedlcach na temat: Czy wciąż żyjemy w Europie?

Spotkanie odbywało się w murach Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego. Profesor starał się wykazać, że współczesna Unia Europejska jest antychrześcijańska, przez co Europie grozi los rośliny pozbawionej korzeni. Dziś ten kwiat może jeszcze jest piękny – porównywał – ale jutro kultura europejska zwiędnie, bo nie będzie czerpać ze swoich chrześcijańskich źródeł.

Polemizując z wykładowcą na temat kulturowych korzeni Europy powołałam się na klasyczną już pracę **Karola Modzelewskiego** „Barbarzyńska Europa" (wyd. Iskry, Warszawa 2004). W jej zakończeniu autor napisał: „Barbarzyńskie dziedzictwo kulturowe jest, obok rzymskiego i bizantyńskiego, istotnym składnikiem złożonej europejskiej tożsamości" (s. 464). Zdanie to podsumowuje wiedzę zawartą w części dotyczącej korzeni cywilizacji europejskiej, które są wcześniejsze niż historia chrześcijaństwa. A składają się na nią także dzieje chrześcijaństwa wschodniego i zachodniego.

Ten drugi fakt jest tak oczywisty dla mieszkańców Podlasia, że prowadząca debatę pracownik naukowy UPH na wiadomość, gdzie rzekomo kończy się Europa, zakrzyknęła spontanicznie: – A cerkwie?! Nie otrzymała odpowiedzi…

I ja napisałam zaraz po spotkaniu do moich prawosławnych przyjaciół takie zdanie: Witajcie w Azji, ale zabierzcie mnie tam ze sobą! Zresztą, nie trzeba jechać na północne Podlasie, by zobaczyć krańce Europy. W Siedlcach Europa kończy się przy ulicy Brzeskiej, w Lublinie (w którym naucza prof. **Robert T. Ptaszek**) przy ul. Ruskiej, a w nieodległej od Siedlec Białej Podlaskiej – przy ul. Terebelskiej... Bowiem Europa – jak należy sądzić na podstawie wykładu prof. Ptaszka – kończy się zawsze i wszędzie tam, gdzie widać złote kopuły cerkwi.

Właściwie do roku 1939 (czasami i dłużej) zachodni Europejczycy uważali, że cywilizacja sięga do ówczesnej granicy niemiecko-polskiej (dalej to już tylko białe niedźwiedzie). Jednak my, współcześni Polacy, jesteśmy dumni z naszej kulturowej przynależności do Europy, a już na pewno chętnie korzystamy z pomocy Unii Europejskiej. Jeśli zatem przedstawiciel nauki sugeruje, że tylko należący do kulturowej sfery Kościołów romańskich mogą czuć się Europejczykami (przecież kultura to ludzie, a nie budowle), to rodzi się pytanie o przyczyny i intencje takiego właśnie dzielenia społeczeństwa.



W poszukiwaniu odpowiedzi sięgnęłam do pracy **Jana Sowy** „Inna Rzeczpospolita jest możliwa! Widma przeszłości, wizje przyszłości" (wyd. WAB, Warszawa 2015). Autor jest teoretykiem kultury i socjologiem (profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego), a więc obszar jego zainteresowań pokrywa się częściowo z tym, jaki zadeklarował prof. Ptaszek, przedstawiając się jako filozof religii i kultury.

We wstępnym rozdziale przywołanej pracy prof. Sowa napisał, że Polska jest krajem okaleczonym przez wiek XX brakiem jakichkolwiek mniejszości i zatrważającą homogenizacją kulturową (s. 11). Wobec nieobecności tzw. innego (czyli wroga) – argumentuje autor – są ludzie i środowiska, którym zależy na jego wykreowaniu. Po co? By móc go obwiniać o zło, jakiego doświadczamy, a także (jeśli stworzy się odpowiednią atmosferę) nienawidzić i zwalczać. To pragnienie wpłynęło na pojawienie się w obiegowej polszczyźnie, wydawałoby się bardziej opisowych niż deprecjonujących określeń, jak „lemingi" czy „słoiki". Pozornie. Bo tuż za nimi są używane tak stygmatyzujące epitety, jak: „zdrajcy sprawy narodowej" i „nieprawdziwi Polacy". Stąd histeria, jaką rozpętano wokół tzw. sekt oraz nieustające straszenie (poprzez manipulowanie) terminem gender (mówi się wręcz o genderyzmie, jakby to była jakaś ideologia, co właśnie czynił – wyśmiewając – prof. Ptaszek).

Profesor Sowa w cytowanej książce napisał: „Kościół katolicki również robi, co może, aby wobec braku innych religii i mniejszości wyznaniowych wystarczająco silnych, aby konfrontować się z katolicyzmem, wygenerować sytuację wojny religijnej…" (s. 12).

Pogląd profesora katolickiej uczelni, że Europa sięga tak daleko jak kościoły romańskie – w moim przekonaniu – wpisuje się w owo gorącz-

kowe poszukiwanie innego, by móc wskazać go jako wroga. W domyśle: „gorszego od nas, wszystkich prawdziwych Polaków – katolików oraz Europejczyków”. Opinie wygłoszone przez prof. Ptaszka i nieprzypadkowy chyba brak odpowiedzi na konkretne pytania odbieram jako programowe wykluczanie niekatolików (nie tylko osób wyznających prawosławie) z prawa do czucia się członkami wspólnoty Europejczyków. Jest to zabieg mający na celu odmawianie i im, i ich przodkom zasług w tworzeniu kultury europejskiej.

Nie godzę się na dzielenie ludzi na „lepszych” i „gorszych” („gorszy sort” – skąd my to znamy?). Na stojących kulturowo „wyżej” (tych, co wypatrują dachów i wież kościołów tradycji romańskiej) i całą resztę, niebędącą rzekomo Europejczykami, a jedynie uzurpującą sobie prawo do bycia nimi.

Wreszcie, słowa prof. Ptaszka traktuję jako wyraz mrzonek o kulturowo-wyznaniowej uniformizacji Polski i Polaków. A przecież był już czas, gdy starano się je realizować, co przyniosło pożałowania godne efekty (o czym także pisze Jan Sowa). Wolno mi jednak zakładać, że krzewiciele owych mrzonek śnią i o tym, by ideologicznie zuniformizować całą Europę. Może nie tylko nasz kontynent…

Wykład, który skłonił mnie do napisania tej refleksji, postrzegam jako okazję do wdrukowania w mentalność słuchaczy, pozornie mimochodem, haseł wprost wiodących ku dzieleniu naszego społeczeństwa, wykluczaniu z kręgu współbraci tych, co nie pasują do zadanego wzorca. Do wskazania im miejsca w szeregu i dowiedzenia („ponad wszelką wątpliwość”), że są li tylko tzw. innymi – czytaj obcymi, którym „my – prawdziwi Polacy” pozwalamy (jeszcze) mieszkać na obszarze należącym wyłącznie do nas.

Stawiam więc pytanie: Co taka postawa ma wspólnego z ideą miłości bliźniego i generalnie chrześcijaństwem, o którego obecność w Europie upominał się prelegent?

Hanna Świeszczakowska
fot. **Anna Radziukiewicz**

Przeciw stereotypom

Stereotyp – czytamy w Słowniku Języka Polskiego – to funkcjonujący w świadomości społecznej i niełatwo zmieniający się uproszczony obraz kogoś lub czegoś, zwykle oparty na częściowo fałszywych sądach.

Przykładem może być wciąż obecny w myśleniu dużej części polskiego społeczeństwa stereotyp „Polak to katolik”. Przekonanie, że przynależność do polskiego narodu uzależniona jest od wiary katolickiej, kształtowane było już w XVII wieku, w czasach kontrreformacji. Ideał Polaka katolika utrwalił się na dobre w czasach zaborów w wyniku oporu wobec „prawosławnej” Rosji i „protestanckich” Prus. O tym, że blisko połowa ludności I Rzeczypospolitej w czasach jej największej potęgi wyznawała prawosławie, szybko zapomniano.

Decydującą rolę w upowszechnianiu poglądu, że „prawdziwy Polak to katolik” odegrała głoszona przez porozbiorową emigrację filozofia religijnego mesjanizmu, zgodnie z którą Polska jako „przedmurze chrześcijaństwa” miała być narodem wybranym, Mesjaszem narodów, któremu została powierzona szczególna rola w historii ludzkości.

W okresie międzywojennym stereotyp Polaka katolika wykorzystywany był przez prawicowo-nacjonalistyczne organizacje i ruchy społeczne, łączące go z hasłem „Polska dla Polaków”. **Józef Piłsudski** takie przekonania uważał za antypatriotyczne, gdyż wykluczające trzecią część, rozumianego jako wspólnota polityczna, narodu polskiego, a więc szkodliwe dla Polski.

Choć w powojennych granicach Polska, zarówno pod względem narodowym, jak i wyznaniowym, jest państwem wyjątkowo homogenicznym (jednorodnym), to przejawy ksenofobii (niechęci, wręcz wrogości) wobec rasowo, narodowo czy religijnie „obcych” wciąż mają miejsce, przy czym ich źródłem jest często utożsamianie narodowości, w naszym przypadku polskiej, z obywatelstwem. Przykładem takiego myślenia był wpis na portalu wPolityce.pl posłanki Prawa i Sprawiedliwości **Beaty Mateusiak-Pieluchy**, która – komentując wydarzenia wokół filmu „Wołyń” – stwierdziła: „Powinniśmy wymagać od ateistów, prawosławnych czy muzułmanów oświadczeń, że znają i zobowiązują się w pełni respektować polską Konstytucję i wartości uznawane w Polsce za ważne. Niespełnienie tych wymogów powinno być jednoznacznym powodem do deportacji”. Po fali krytyki posłanka stwierdziła, że jej słowa nie odnosiły się do polskich obywateli, a do imigrantów, i zostały wyrwane z kontekstu.

Zapewne imigrantów mieli także na myśli uczestnicy Marszu Niepodległości, który 11 listopada na ulicach Warszawy skandował: „Nie islamska, nie laicka, tylko Polska katolicka”. Niesiono też transparenty: „Biała Europa białych narodów”, „Nacjonalizm naszą drogą”. Tegorocznym hasłem marszu było „My chcemy Boga”.

Rodzi się pytanie, dlaczego część, w szczególności młodych, Polaków, deklarujących się jako ludzie wierzący, skłonna jest uznać za swoje hasła i poglądy, nie mające nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Jedną z przyczyn kształtowania się radykalnych, nie tylko wśród młodych Polaków, postaw, jest posiadana przez nich wiedza o otaczającej nas rzeczywistości, o złożoności świata, jego narodowym i religijnym zróżnicowaniu, o rzeczywistej, a nie zafałszowanej historii własnego i otaczających nas narodów. W tym kontekście ważne są źródła pozyskiwanej wiedzy. Ponieważ większa część społeczeństwa nie czyta książek (według raportu Biblioteki Narodowej, w 2015 roku 63 proc. Polaków nie przeczytało żadnej książki), podstawowym źródłem wiedzy dla większości, prócz szkoły, są media, w pierwszej kolejności telewizja.

Obserwując, naturalnie w telewizji, Marsz Niepodległości w Warszawie, zadałem sobie pytanie: a gdybym miał możliwość wpływania na realizowane przez TV programy, to jakie audycje powinny powstawać. O kim i o czym





August Agbola O'Brown i jego odrestaurowany grób na cmentarzu w Wielkiej Brytanii

należałoby w nich mówić, by skłonić młodych ludzi, przekonanych, że „tylko Polska katolicka", do refleksji i być może zmiany sposobu myślenia o ludziach innego wyznania, innej narodowości czy różniących się od nas kolorem skóry.

Z pewnością, pomyślałem, należałoby podjąć próbę zmiany zakorzenionych w świadomości dużej części Polaków stereotypów, dotyczących naszej historii. Jednym z nich jest przekonanie, że potęgę sięgającej „od morza do morza" I Rzeczypospolitej tworzyli wyłącznie należący do Kościoła rzymskokatolickiego Polacy. Dziś bardzo niewielu Polaków wie, że w państwe Jagiellonów obok polsko-katolickiego składnika był obecny, i to w porównywalnym stopniu, jego rusko-prawosławny komponent i że jego odrzucenie przez ówczesne polskie elity nie tylko zubożyło jego kulturę, ale stało się też jedną z głównych przyczyn upadku I Rzeczypospolitej.

To prawda, że oparte na fałszywej i niedostatecznej wiedzy stereotypy są trwałe, ale do ich zmiany można wykorzystywać działania, nie wymagające szczególnych zabiegów i środków.

Dla przykładu, w październiku 2017 roku na Zamku Lubelskim ministrowie Polski, Litwy i Ukrainy podpisali trójstronne porozumienie o nadaniu Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygadzie, która „ma działać na rzecz bezpieczeństwa Europy Środkowej", imienia hetmana Konstantego Ostrogskiego. O tym zdarzeniu poinformowały chyba wszystkie serwisy informacyjne, przy czym jedyną informacją o nowym patronie Brygady było przypomnienie, że „był dowódcą połączonych wojsk polsko-litewskich w wojnie z Rosją, której kulminacją była zwycięska bitwa pod Orszą w 1514 roku".

Gdyby w relacjach z uroczystości pojawiło się choć kilka zdań o tym, że hetman Konstanty Ostrogski, obok wielu zwycięstw nad Tatarami i wojskami Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, był także opiekunem i obrońcą prawosławia, że ufundował wiele cerkwi, m.in w Wilnie, że mówił tylko po rusku, a „litewską" część jego wojska pod Orszą w zdecydowanej większości stanowili Rusini „starożytnej wiary greckiej" – tak wówczas określano prawosławnych – to być może u części odbiorców zrodziłaby się refleksja na temat mitu „Polska przedmurzem chrześcijaństwa".

Nie wiem, czy w Marszu Niepodległości uczestniczyli absolwenci i uczniowie Liceum im. Króla Władysława IV w Warszawie. Jeśli tak, to raczej nie przyłączali się do skandujących hasła o „tylko Polsce katolickiej". Przed wojną ich szkołę ukończyli trzej bracia **Aleksander**, **Wiaczesław** i **Orest Fedorońko**. Ich ojciec, protoprezbiter **Szymon Fedorońko**, od połowy lat 30. był naczelnym kapelanem prawosławnym Wojska Polskiego (w 1939 roku co siódmy żołnierz WP był wyznania prawosławnego). O. Szymon zginął w Katyniu. Jego najstarszy syn Aleksander, który przedostał się do armii polskiej na Zachodzie, służył w dywizjonie bombowym nr 300 RAF-u. Zginął 25 kwietnia 1944 roku podczas bombardowania niemieckiego Mannheimu. Orest i Wiaczesław walczyli i zginęli w Powstaniu Warszawskim. Orest (ps. „Fort") pierwszego dnia powstania, Wiaczesław (ps. „Sławek") 18 sierpnia. Po wojnie matuszka **Olga** odnalazła ciała dwóch młodszych synów i przeniosła je na prawosławny cmentarz na Woli. 8 listopada 2008 roku przy Alei Solidarności, naprzeciw IV Liceum, córka Wiaczesława, **Aleksandra Fedorońko-Adamczewska**, i prezydent RP **Lech Kaczyński** odsłonili obelisk, upamiętniający kapelana Szymona Fedorońkę i jego synów – obelisk poświęcili metropolita **Sawa**, arcybiskup **Miron** i biskup **Jerzy**.

Odpowiadając na zarzuty o rasistowskiej wymowie transparentów z hasłami o „Białej Europie" rzecznik Młodzieży Wszechpolskiej, pytany przez dziennikarza „do Rzeczy": „Czy według Państwa ktoś o innym kolorze skóry może być Polakiem?", odpowiedział: „Uważamy, że ważne są trzy czynniki – wspólnie czynnik kulturowy i religijny, czynnik polityczny i etniczny... Uważamy, że osoba czarnoskóra nie jest Polakiem".

W Powstaniu Warszawskim, o czym przypomniała **Małgorzata Brama**, realizująca na zlecenie Związku Powstańców Warszawy film „Cudzoziemcy w Powstaniu Warszawskim", obok Polaków walczyli Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, byli Belgowie, Czesi, był nawet Australijczyk. Więcej uwagi realizatorka poświęciła walczącemu w powstaniu czarnoskóremu **Augustowi Agboli O'Brown** (ps. „Ali"), który przez Anglię przybył do Polski w 1922 roku z Nigerii. Mieszkał w Warszawie, ożenił się z Polką, z którą miał dwóch synów. Był perkusistą jazzowym.

W 1939 roku brał udział w obronie Warszawy, a w powstaniu walczył w batalionie „Iwo" na terenie Śródmieścia. Po wojnie, w 1958 roku, wyemigrował z rodziną do Wielkiej Brytanii. Jego grób na Hampstead Cemetery w Londynie odnaleźli ostatnio członkowie klubu „Idź Pod Prąd". Prawdziwą sensacją okazał się fakt, że August Agbola O'Brown był prawosławny.

W książce „Afryka w Warszawie", w rozdziale na temat „Alego", historyk, dr **Zbigniew Osiński**, napisał: „Życiorys Agboli to historia człowieka, który uznał Polskę za swą drugą ojczyznę (nie jest to chyba zbytni patos) i czuł się jej pełnoprawnym obywatelem".

Ciekawe za kogo czarnoskórego, prawosławnego powstańca uznaliby dziś maszerujący po ulicach Warszawy „prawdziwi" Polacy.

Eugeniusz Czykwin

Komu i do czego służą media.

■ Rzeczpospolita. Plus Minus: „... Duża część mediów, walcząc o uwagę odbiorców, zorientowała się, że najważniejszym towarem nie są wcale informacje ale emocje. Zestaw uporządkowanych emocji politycznych przekładał się zaś na wyrazistą tozsamość. Zamiast zajmować się podawaniem newsów, stacje informacyjne powoli zaczęły się przekształcać w programy quasi-religijne, które zaspokajały potrzeby tożsamościowe coraz bardziej spolaryzowanych wyborców. Tożsamość – polityczna, ideowa, kulturowa, a niekiedy konfesyjna – stała się towarem. Prawda przestała być istotna. Dyskusja, która wybuchła po wyborach w USA na temat fake newsów, była tylko logiczną konsekwencją tej przemiany. Prawdziwość informacji pozostawała zupełnie wtórna wobec ich słuszności, która miała wzmacniać polityczną tożsamość".

■ Przegląd: „Serwisy takie jak Twitter oraz Facebook, będące dla wielu podstawowym lub jedynym źródłem informacji, to szyte na miarę komory echa. Wszystko za sprawą sposobów prezentowania przez nie treści. Są one bowiem starannie filtrowane przez komputerowe algorytmy i dobierane tak, by wzbudzić jak największe zainteresowanie odbiorców. Kiedy raz polubimy jakąś informację, następnym razem otrzymamy podobną. Jeżeli jakąś zignorujemy, to niczego podobnego już nie zobaczymy. A ludzie w Internecie nie tylko znacznie częściej reagują na wiadomości, które im odpowiadają, ale także unikają informacji, które im się nie podobają. Badania Pew Research pokazują, że 83 proc. internautów decyduje się ignorować te drugie, a około 30 proc. aktywnie blokuje materiały ze źródeł, które nie odpowiadają ich wyobrażeniu o świecie. W efekcie większość z nas już po krótkim czasie zaczyna otrzymywać jedynie przekazy, które potwierdzają – i wzmacniają – nasz światopogląd".

■ Ksiądz z Katolickiego Kościoła Asyryjskiego w Teheranie, w „Myśli Polskiej": „Media atakują nasz kraj na wiele sposobów, dlatego rozsądniej będzie przyjrzeć się temu specyficznemu zjawisku szerzej, nie tylko w kontekście mniejszości wyznaniowych. Jeśli spojrzymy na media np. w Polsce i porównamy ich przekaz z mediami z innych krajów, to zobaczymy, że powielają one to samo wyobrażenie o Iranie. Myślę, że jest pewien wpływ i oddziaływanie jednych mediów na drugie. Amerykańskie i europejskie media mają dokładnie te same zależności i zasoby. Jeśli chce się podzielić jakiś kraj, zniszczyć jakiś system czy politykę, to media, które są pod wpływem np. Stanów Zjednoczonych, zaczynają głosić te same idee i opinie, a następnie starają się je zaakceptować bez zadawania pytań: co? jak? dlaczego? Myślę, że to jest nierozsądne".

■ Prof. **Bronisław Łagowski** w tygodniku Przegląd: „Duża część Polaków jest znużona podniecanym przez rząd i media oczekiwaniem na to, jak Ruscy na nas napadną i jak my ich pokonamy uzbrojeniem, jakie dla nas wyprodukuje amerykański przemysł. Polskie rządy prowadzą taką politykę wschodnią, jakiej Amerykanie od nas żądają, nikt się nie może temu sprzeciwić pod groźbą zniknięcia z życia publicznego. Nawet dyskutować o tym nie można, choć formalnie nie jest to zabronione. Dwa najbiedniejsze i najbardziej zacofane kraje Europy, Polska i Rumunia, dają sobie sprzedać najdroższe amerykańskie uzbrojenie. Może to jest rzeczywiście zgodne z planami Kremla – zaczęła mi się podobać ta „argumentacja" – bo im więcej biedny kraj wydaje na zbrojenia, tym jego bieda jest bardziej gwarantowana, co Putina może tylko cieszyć. Podczas manewrów wojsk rosyjskich i białoruskich dużo pisano o ćwiczeniu napaści na Polskę, nawet o atomowym bombardowaniu Warszawy".

■ Prof. **Tadeusz Klementewicz**, politolog i socjolog w Instytucie Nauk Politycznych UW: „Kapitalizm jest w fazie interregnum, czyli w fazie stagnacji, w której pięcioprocentowa rentowność i wzrost gospodarczy, wynoszący 3 procent, będą coraz trudniejsze do uzyskania. Dlatego szuka w świadomości ludzkiej obejścia tego faktu. To obejście jest możliwe dzięki przeniesieniu akcentu na sprawy tożsamości, wspólnoty narodowej, itp. A z drugiej strony utrzymuje się wiarę, że gdyby jeszcze poluzować tzw. mechanizmy rynkowe, czyli znieść wszelkie granice eksploatacji przyrody i pracy, kapitalizm rozwiązałby nam wszystkie problemy. Gdyby do świadomości ludzi dotarło, co jest istotą ich kłopotów, rozwijałyby się ruchy protestu, artykułowane byłyby postulaty zmniejszenia władzy korporacji, innych zasad redystrybucji nadwyżki wypracowanej w sektorze przemysłowym, itd. Cała walka świadomościowa toczy się o zablokowanie tej diagnozy. Zamiast niej mamy rozbudowane wojny kulturowe, w których pojawia się kwestia rasizmu, wyznawców innych religii, itd.".

■ Z felietonu **Romana Kurkiewicza** „Pałac ofiarny": „Kiedy rządzący, nie tylko z PiS, nie bardzo wiedzą, co powiedzieć, wyciągają z kapelusza zabawę w burzenie Pałacu Kultury i Nauki. Bo Stalin, bo brzydki, bo niefunkcjonalny, bo w złym miejscu, bo dźga legendarne polskie poczucie estetyki i gwałci patriotyczną, faszyzującą duszyczkę. (...) Zabawa w symboliczne akcje likwidacyjne (czy to dotyczy skandalicznych decyzji wojewody mazowieckiego, lustrującego nazwy warszawskich ulic, czy pomników, czy w końcu przebąkiwania antypałacowego) jest ulubioną grą prawicowych formacji politycznych. Do tego dochodzą pomysły cmentarne i te dotyczące żywych – zbiorowe cięcia po emeryturach. Oczywiście moglibyśmy używać argumentów logicznych, domagając się spójności w rozumowaniu i konsekwencji, ale to daremny trud. Logika wynikania jednego z drugiego tu nie obowiązuje. (...) Pałac wzniesiony w niedobrym czasie, nie z taką intencją, nie przez tych, co trzeba (a kto miał wznosić – Amerykanie?). A setki tysięcy innych budynków wówczas zbudowanych, cała odbudowana Warszawa, od dwóch dekad złodziejsko rozgrabiana? A tysiące szkół? Może zacznijcie rozbiórkę od kościołów pobudowanych w latach 1945-1989? Czasu nie wystarczy".

Ikona i cząsteczka moszczy św. Matrony
Przy ikonie św. Matrony w Pokrowskim Monasterze

ATOS

Wezwanie do powrotu do kanonicznej Cerkwi

Do przezwyciężenia *raskołu* i powrotu „wszystkich naszych braci" na łono kanonicznej Cerkwi wezwał ihumen monasteru Watopedi, archimandryta **Efrem**.

Na pytanie, czym jest Kościół Powszechny, atoski ihumen odparł, że to ciało Chrystusa, w którym człowiek stara się osiągnąć świętość. – *Jeśli człowiek znajduje się poza Cerkwią, jakby się nie starał, świętości nie osiągnie* – podkreślił. – *Ci, którzy odeszli w raskoł, powinni zrozumieć, że znajdują się poza Cerkwią.*

Archimandryta Efrem zauważył, że *raskoł* to podział, który rozcina niczym nożycami Ciało Chrystusa. – *My tutaj, na Świętej Górze Atos, jesteśmy bardzo smutni z powodu raskołu, którego dokonal Filaret*. I dodał: – *Zwracamy się do naszych ukraińskich braci, którzy odeszli z kanonicznej Cerkwi, i prosimy, żeby do niej wrócili.*

Wezwał też prawosławnych, żeby nigdy nie tracili nadziei, żeby zawsze z pokorą zwracali się do Chrystusa, który w ostatnim momencie obowiązkowo nam pomoże, jeśli oczywiście sami zechcemy zbawienia. – *Jestem w głębokim smutku, kiedy słyszę, że na Ukrainie trwa wojna. Z ogromnym bólem modlimy się za wszystkie ofiary. I zwracam się do naszych braci Ukraińców: problemów nie rozwiązuje się poprzez ogień i broń, tylko z pomocą modlitwy i w szczerym dialogu. Christos Woskresie!*

BELGIA

Czerwony Krzyż bez krzyża?

Belgijskie oddziały Czerwonego Krzyża poinformowano, że powinny usunąć czerwone krzyże ze ścian budynków i innych zewnętrznych nośników, żeby nie drażnić niechrześcijan, zwłaszcza muzułmanów, powiedział **Andre Rouffar**, przewodniczący Czerwonego Krzyża w Vervier.

Czerwony Krzyż został założony w XIX wieku przez chrześcijanina, pisarza i dziennikarza **Henri Dunanta**.



Dzisiaj międzynarodowa Federacja Czerwonego Krzyża deklaruje, że niesie pomoc potrzebującym i chorym, niezależnie od narodowości, rasy, przekonań religijnych, klasowych i politycznych, podkreślając że postępuje zgodnie z zasadą neutralności, która zabrania „wchodzić w spory polityczne, rasowe, o charakterze religijnym albo politycznym".

Wielu belgijskim wolontariuszom i członkom Czerwonego Krzyża prośba o usunięcie symboliki się nie spodobała. – *Niech wszystko zostanie tak jak było* – postulowali. – *Wcześniej mówiliśmy ferie bożonarodzeniowe, a teraz zimowe, zaś jarmark bożonarodzeniowy zaczęliśmy nazywać jarmarkiem zimowych przyjemności.*

ROSJA

W Moskwie stanie cerkiew św. Matrony

Budowana w północnej części Moskwy cerkiew św. Matrony zostanie wyświęcona w 2018 roku, poinformował deputowany do Dumy i kurator miejskiego programu budownictwa nowych cerkwi **Władimir Resin**. – *To jeden z piękniejszych kompleksów świątynnych, już praktycznie gotowy w stanie surowym* – powiedział. – Prace nad wystrojem świątyni, z ustawieniem ikonostasu włącznie, zostaną wykonane w pierwszej połowie 2018 roku, a jesienią odbędzie się jej wyświęcenie.



Pięciokopułowa cerkiew, z uwzględnieniem jej dwóch poziomów, górnej i dolnej, pomieści co najmniej osiemset osób. W tej chwili front budowli jest gotowy, zostały ukończone też prace wykończeniowe dolnej świątyni. Górna cerkiew jest już otynkowana, położono w niej elektryczność, zamówiono granitową posadzkę. Zamówiony jest też w pracowni w Petersburgu ceramiczny *prestoł*, *żertwiennik* i ikonostas.

W świątyni w nowym relikwiarzu


Pokrowski Monaster w Moskwie

znajduje się cząsteczka relikwii św. Matrony z Pokrowskiego Monasteru.

Są już szkice ściennej polichromii, elementy dekoracji kolumn. Wykonawcami projektu będą najlepsi absolwenci szkoły ikonopisania Troicko-Siergijewskiej Ławry. Dolną i górną cerkiew połączy specjalna winda, przystosowana do przewozu ludzi z ograniczonymi możliwościami poruszania się. Przy cerkwi jest już plac zabaw i fontanna. Na wiosnę ma być gotowy parking – już dzisiaj widać, że cały kompleks stanie się ważnym miejscem dla wielu okolicznych mieszkańców. Przy cerkwi otwarta jest kawiarnia – muzeum, gdzie można zjeść posiłek, a jednocześnie obejrzeć przedmioty sztuki użytkowej.

Patriarcha **Kirył** niejednokrotnie podkreślał niebywałą popularność błogosławionej Matrony w Rosji. – *Do kogo z tych wielkich, silnych i sławnych codziennie przychodzi tyle narodu, ilu do ślepej staricy Matrony, która całe życie przeleżała w łóżku? Do żadnego z rządzących na świecie nie ma codziennie wielotysięcznego tłumu pielgrzymów, nikt w nocy nie stoi, żeby dotknąć grobu* – powiedział hierarcha w maju 2017 roku po Liturgii w Pokrowskim Monasterze w Moskwie, której przewodniczył z okazji 65 rocznicy śmierci św. Matrony.

Św. Matrona urodziła się w 1885 roku w tulskiej guberni. Od urodzenia była nie tylko niewidoma, w ogóle nie miała oczu, ale posiadała dar duchowego widzenia. Od najmłodszych lat znała nie tylko ludzkie grzechy, przestępstwa, ale i myśli. Czuła zbliżające się niebezpieczeństwo, przewidywała klęski naturalne i niepokoje społeczne. Dzięki jej modlitwom ludzie otrzymywali uzdrowienie i pocieszenie w nieszczęściach.

W 1925 roku Matrona dotarła do Moskwy, tam 2 maja 1952 roku odeszła do Pana. „Wszyscy, wszyscy przychodźcie do mnie, opowiadajcie jak żywej o swoich nieszczęściach, a ja będę was widzieć i słyszeć i wam pomagać” – mówiła przed śmiercią.

Matrona przepowiadała, że po śmierci na jej mogiłę mało kto będzie chodzić, ale po wielu latach to się zmieni – pospieszą do niej całe tłumy z prośbą o pomoc w nieszczęściach i modlitwę.

Relikwie błogosławionej Matrony zostały odnalezione 8 marca 1998 roku na Cmentarzu Daniłowskim w Moskwie. 1 maja tego samego roku grób z jej relikwiami został przeniesiony do Pokrowskiego Monasteru. Jej kanonizacja odbyła się w 2004 roku.

Cerkiew w życiu społecznym

Dzisiaj widać wyraźnie, że część społeczeństwa będzie negatywnie reagować na to, co dzieje się w Cerkwi, co odbije się także w mediach – podkreślił patriarcha **Kirył**, występując z referatem na soborze biskupów 29 listopada 2017 roku.

– *Cerkiew nie jest neutralna wobec zjawisk społecznego życia. Kiedy takie zjawiska są sprzeczne z nakazami Ewangelii, Cerkiew przypomina, że wybierana przez ludzi droga nie jest błogosławiona przez Boga. I to wywołuje irytację ze strony części społeczeństwa* – powiedział. – *Oczywiście negatywna reakcja nasila się w związku z niedostatkami, nieostrożnymi słowami czy działaniami niektórych duchownych. Niestety, zdarzają się duchowni, którzy dają powód szukającym powodu* (por. 2 Kor 11,12). *Konflikty, skandale rozpowszechniają się błyskawicznie i w przeciwieństwie do pozytywnych publikacji żyją w informacyjnej przestrzeni długo. Jesteśmy powołani, by być dla świata światłem. Język kazania Zbawiciela i apostołów, a także naszego kazania – to język miłości. Uczestnicząc w społecznej działalności, musimy świadczyć o Prawdzie. Smutne, że to świadectwo jest odrzucane tylko dlatego, że wybraliśmy nieprawidłowy ton czy nieodpowiednią formę. Głosząc albo broniąc ewangelicznych prawd, powinniśmy być ostrożni w doborze słów. Trzeba piętnować grzech, ale nie poniżać człowieka. Przypominając o żałosnych konsekwencjach pomijania Bożej woli, nie powinniśmy poprzez swoją nieostrożność popychać ludzi na skraj przepaści* – powiedział zwierzchnik ruskiej Cerkwi. – *Niech nasze słowo, skierowane do społeczeństwa także poprzez media, będzie szczere a nie napuszone albo obłudne, treściwe a nie deklaratywne i puste, dodające odwagi a nie mentorskie i potępiające. Żebyśmy, nawet przypominając o zakazach, w pierwszym rzędzie troszczyli się o skierowanie ludzi w stronę Bożej miłości* – podkreślił.

TAJLANDIA

Nowa cerkiew

Pierwszą prawosławną cerkiew na wyspie Phangan wyświęcił przebywający z arcypasterską wizytą w Tajlandii biskup zwienogorodski **Antoni**. Jednokopułową świątynię św. Serafima Sarowskiego zbudowano w ciągu półtora roku ze środków wiernych. Na

Montrealska Iwerska Ikona Matki Bożej

wyspie stale mieszka około czterystu wiernych rosyjskojęzycznej diaspory. W sezonie turystycznym, który przypada na naszą zimę, ich liczba wzrasta do 2-2,5 tysięcy.

W Tajlandii, gdzie ponad 90 procent ludności wyznaje buddyzm, w ciągu ostatnich lat otwarto już dziesięć cerkwi, a wśród parafian jest niemało miejscowych. W kurorcie Pattaya, gdzie prawosławna wspólnota reprezentowana jest najliczniej, istnieją już dwie parafie. Prawosławne cerkwie są także na wyspach Phuket, Samui i Chang, w prowincji Ratchaburi męski monaster. Ponad trzy lata temu w Bangkoku otwarto sobór św. Mikołaja.

USA

Pomagają imigrantom

Przytułek dla bezdomnych w Nowym Jorku otworzyła blisko współpracująca z parafiami moskiewskiego patriarchatu i Amerykańską Prawosławną Cerkwią fundacja charytatywna St. John Give Hope. Placówkę wyświęcił duchowny rosyjskiego soboru św. Mikołaja, ihumen **Nikodem** (**Bajasnikow**).

– *Człowiek czasami nie ma prawa do opieki medycznej, przebywa w USA z nieaktualną wizą, a czasami po prostu boi się zwrócić do przychodni czy poradni rehabilitacyjnej. I za to nam wszystkim powinno być wstyd. Za to, że obok nas ludzie żyją i umierają na ulicy* – skomentował o. Nikodem.

Jego zdaniem przedstawiciele innych wspólnot dużo bardziej troszczą się o swoich rodaków, wspólnota rosyjskojęzyczna dopiero rozpoczyna. – *Często widzimy ludzi leżących na ulicy, którzy być może nie mają środków na wyjazd do ojczyzny, chociaż chcieliby tam wrócić. I te problemy także pragniemy rozwiązywać, będziemy finansowo i prawnie pomagać w powrocie tym, którzy widzą w tym wyjście ze swojej trudnej sytuacji. Nie należy tego rozumieć, że wszystkich po kolei będziemy wywozić do Rosji, nic podobnego. Zawsze jesteśmy gotowi okazać indywidualną pomoc. Znaleźć pracę, nakarmić, umożliwić kąpiel i pranie odzieży* – podsumował ihumen.

W Internecie został opublikowany poruszający tekst o pierwszym podopiecznym Domu Pracy.

„Na fotografii mocno trzyma krzyż starszy brat Domu Pracy, Gieorgij. Znaleźliśmy go w ubogim namiocie niedaleko trasy na lotnisko. Kiedyś dużo pił, bo nie wytrzymał obojętności otoczenia na trudne warunki swego życia. Mówi, że był porażony obojętnością wierzących chrześcijan, załamał się i zaczął pić. Teraz, pracując w Domu Pracy, wykonał krok ku spotkaniu z Bogiem. Przed powrotem z życia na ulicy zapytał nas z nadzieją: „Czyż Bóg podniesie nas z popiołów? Jestem z wami!”.

Fotografia został wykonana po pierwszej modlitwie wieczornej w Domu Pracy. Gieorgij przeżył na ulicy 15 lat, ale nie przeszkodziło mu to w zdaniu niezbędnych egzaminów i otrzymaniu obywatelstwa USA.

– *W końcu mamy dom, w którym można wszystkich pomieścić* – mówi skarbnik Fundacji, **Julia Manin**. – *Jednak do pełnej realizacji naszych planów jest jeszcze daleko. Już teraz wiemy, jak ma wyglądać nasz przytułek. Stale dyżurować w nim będą zmieniający się psychologowie. To pod ich kontrolą bezdomny będzie mógł spędzić noc i otrzymać niezbędne konsultacje, moralne i duchowe wsparcie. Od tej chwili będziemy też mogli zwracać się do różnych organów władzy i stowarzyszeń w sposób oficjalny*.

O Montrealskiej Iwerskiej Ikonie Matki Bożej

35 rocznicę wysławienia Montrealskiej Iwerskiej Ikony Matki Bożej, jednej z głównych świętości rosyjskiej zagranicy, obchodzili wierni w Waszyngtonie. Liturgię, upamiętniającą to wydarzenie, odprawiono w rosyjskiej Cerkwi św. Jana Chrzciciela.

Montrealska ikona zaczęła toczyć *mirro* 24 listopada 1982 roku w Montrealu, w domu prawosławnego Chilijczyka, **Józefa Muniosa Corteza**. Toczyła je przez piętnaście lat.

Brat Józef został zamordowany 31 października 1997 roku w Atenach, wtedy też urwał się ślad po ikonie.



Prawdopodobnie właściciel przekazał ją przyjaciołom na dzień przed swoją śmiercią. Wierni uważają, że ikona wróciła na Atos, gdzie została napisana, i skąd przywiózł ją Józef.

Cerkiew św. Jana Chrzciciela była pierwszą świątynią poza granicami Kanady, którą w 1982 roku odwiedziła ikona.

– *To szczególny wizerunek* – mówił podczas kazania biskup Manhattanu **Mikołaj**. – *Znało ją wielu, to cud Boży*.

Liturgię odprawiono w obecności jeszcze jednego cudownego wizerunku – Kurskiej Korzennej Ikony Matki Bożej, przewodniczki rosyjskiego *zarubieżja*. – *Ta ikona od stu lat duchowo wspiera rosyjskie zarubieżje i cały prawosławny świat. I chociaż na stałe przebywa w Nowym Jorku, cały czas jest w rozjazdach* – powiedział władyka. – *W tym roku Kurska Ikona przebywała w cerkwiach Niemiec, Wielkiej Brytanii, wschodnioeuropejskich diecezjach rosyjskiej zarubieżnej Cerkwi. We wrześniu, zgodnie z tradycją, odwiedziła Kursk. Dziesiątki tysięcy ludzi na kurskiej ziemi przyszło pokłonić się tej wielkiej świętości*.

Na podstawie pravoslavie.ru
i sedmitza.ru
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /110/ styczeń 2018

Ważną rolę w życiu naszych przodków pełniły pieczywo i potrawy obrzędowe. Miały one długą, sięgającą zamierzchłych czasów, tradycję. Łączyły się z rocznym cyklem agrarnym i wierzeniami ludowymi charakterystycznymi dla kultury tradycyjnej. Niektóre z tych wypieków i potraw wpisały się w chrześcijański kalendarz liturgiczny i były nieodzowne w celebrowaniu uroczystości rodzinnych, wesel, pogrzebów, narodzin.



Na Wigilię i Nowy Rok

Jedną z najważniejszych, przygotowywanych do dziś, potraw obrzędowych była *kutia*, która łączyła dwa światy – świat żywych i świat zmarłych. *Kutia to* danie wigilijne i rytualne, powiązane z pogrzebem, cyklem pominkowym i kultem przodków. Uosabiała symbolikę ziarna, mającego moc życiodajną, pomnażania i rozmnażania, wskazując na siłę witalną i życiodajną drzemiącą w ziarnach. Nawiązywała do opartego na odradzaniu się przyrody rocznego cyklu agrarnego. Ziarno i jajko postrzegano jako namacalne dowody nowego życia, zmartwychwstania.

Kutia to główna potrawa wigilijna, którą dzielili się biesiadnicy, rozpoczynając wieczerzę. Znana jest w prawosławnej tradycji wschodniej, a na Podlasiu również i w środowisku rzymskokatolickim, jako wynik przenikania kultur. Zygmunt Gloger pisał w 1900 roku o *kucyji* jako daniu wigilijnym na Podlasiu tykocińskim. Przyrządzano ją z gotowanych ziaren pszenicy bądź pęcaku – gruboziarnistej kaszy jęczmiennej, rzadziej gryczanej. Potrawę dosładzano miodem, potem cukrem, co miało zapewnić bogactwo, (w chłopskim rozumowaniu – urodzaj), dodawano mak, który miał własną symbolikę. W ubiegłym wieku kasze rodzime zaczęto zastępować delikatniejszym w smaku gotowanym ryżem z dodatkiem bakalii, głównie rodzynek, jednak podstawowym składnikiem do dziś pozostają ziarna.

Kutia była potrawą symboliczną, pojawiała się na stole w wyjątkowy wieczór, przypominając o tych, którzy odeszli. Podobną symbolikę nosił ustawiany na *pokuti* (pokąciu) – *died* (snopek żyta). Nazwa nie jest przypadkowa, w tradycji białoruskiej terminem *dziady* określano wszystkich zmarłych przodków.

W zwyczajach wigilijnych wyraźnie widoczny był kult zmarłych. Stąd w domach prawosławnych na Podlasiu gospodynie nigdy nie sprzątały resztek z wigilijnej wieczerzy, pozostawiając je do rana. Wierzono, że tej nocy, kiedy domownicy udają się na odpoczynek, domostwo nawiedzają dusze zmarłych przodków, zasiadają do stołu, aby skosztować *kutii*. To między innymi dlatego potrawa ta pojawiała się na wigilijnym stole.

Na Boże Narodzenie zapobiegliwe gospodynie resztkami *kutii* karmiły domowy drób, kładąc je do obręczy po starej beczce, cebrzyku, czy w kabłąk od koszyka. Zjedzenie *kutii* miało sprawić, że kury będą pilnowały się własnego podwórka i obficie nieść jajka.

Uroczystości pogrzebowe i *pominkowe* miały także swoją potrawę obrzędową. *Kutia* to przede wszystkim potrawa żałobna, spożywana na stypach oraz obiadach cyklu *pominkowego* w czterdzieści dni i rok po pogrzebie zmarłego (tzw. *sorokowyje, rokowyje*) oraz w dni poświęcone pamięci zmarłych – tzw. *pominalne soboty*. W pierwszym przypadku gospodyni niosła *kutię* do świątyni i stawiała na *zaupokojny anałoj*, kładła także inne produkty spożywcze, w zależności od lokalnej tradycji. Do naczynia z *kutią* wstawiano zapaloną świecę. Na koniec panichidy kapłan święcił *kutię*, którą gospodyni zabierała do domu. Po odmówieniu modlitw, od dzielenia się *kutią* i prosforą rozpoczynano posiłek w domu (zwyczaj

ten praktykowany jest do dziś). *Kutia* ma specyficzne znaczenie, jest swoistym łącznikiem dwóch światów, symbolizuje obecność zmarłych i nierozerwalną z nimi więź duchową, stając się jednocześnie symbolicznym pokarmem żywych i zmarłych.

W ubiegłym wieku w niektórych wsiach *kutię* gotowano w *soboty pominalne* (Gorodczyno – *dmitriewska sobota*, Stary Kornin – *michajłowska*), z tą tylko różnicą, że *kutii* wtedy nie niesiono do cerkwi, ale tak samo od dzielenia się tą potrawą rodzina rozpoczynała posiłek. *Kutii pominkowej* nie słodzono i nie wzbogacano dodatkami, tak jak wigilijnej. Przyrządzana z ziaren *kutia*, jak wierzono, miała moc magiczną, gwarantowała siłę witalną, drzemiącą w ziarnach i moc życiodajną, łącząc nadzieję na zmartwychwstanie.

Kolejnym świętem w cyklu obrzędowym był Nowy Rok, na wigilię którego, zwaną na Podlasiu *bohatoju* bądź *tłustoju koladoju*, *szczodruchoju*, przygotowywano rytualne potrawy. Pieczono, suto okraszaną tłuszczem, krwistą kiszkę, aby rok był tłusty (urodzajny) i przygotowywano pszenne, drożdżowe placki. Wierzono, że pieczone tego dnia placki zapewnią obfity plon na nadchodzące lato, stąd zawsze przygotowywano ich dużo. Potrawa ta łączyła się z archaiczną, sięgającą zamierzchłych czasów, tradycją *hohotania*. Nastoletnie dziewczęta chodziły wieczorem po domach i składały gospodarzom noworoczne życzenia – zdrowia i dobrych plonów na nadchodzący rok. Panny śpiewały prastarą pieśń *Wasilowa mati poszła hohotati*, która w zależności od terenu miała różne wersje. W Trześciance (gmina Narew) śpiewano:

Wasilowa mati,
poszła hohotati,
hohotuszka (2 razy)

Ne tak hohotati,
Jak Boha prositi
hohotuszka (2 razy)

Rodi Bože žyto
na druhoje lieto,
hohotuszka (2 razy)

W Koszkach (gmina Orla) piosenka miała zmieniony tekst, ale intencja pozostawała ta sama.

Wasylowi maty
Poszła hohotatay.
Na nowoje l'ieto
Rody Bože, žyto.
Korcz – korczysty,
A z odnoho kołosoczka
Bude žyta boczka.

Dziewczęta, wchodząc do chałupy, starały się ukraść niepostrzeżenie placek, który nabierał mocy magicznej podczas wróżb matrymonialnych, praktykowanych tego wieczoru. W związku z tym noworocznych kolędników traktowano na Podlasiu jak natrętów, niekiedy nie wpuszczając nawet do domu. Zwyczaj *hohotania* zaczął zanikać w okresie międzywojennym. **cdn**

Irena Matus

W STYCZNIU ZAPRASZAMY NA:

– Hajnowskie Spotkania z Kolędą Prawosławną, Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce, Dekanalny Instytut Kultury Prawosławnej w Hajnówce, Hajnowski Dom Kultury

– koncert kolęd i pastorałek „Na styku kultur", o narodzeniu Chrystusa opowiadają pieśni wykonywane po cerkiewnosłowiańsku, białorusku, rosyjsku, ukraińsku i polsku, Sokółka, kino „Sokół", Sokólski Ośrodek Kultury, tel. 85 / 711 24 35, poczta@sok.org.pl

– Перегляд колядничих ґруп / Przegląd kolędniczych grup, Stowarzyszenie Ruska Bursa w Gorlicach, www.lem.fm, natalia@lem.fm

– VIII Siemiatycki Przegląd Kolęd Wschodniosłowiańskich, Dekanalny Instytut Kultury Prawosławnej w Siemiatyczach, Siemiatycki Ośrodek Kultury, www.instytut.siemiatycze.org

– (między 10 a 17) XXIV Swiatyje Wieczera, Białystok, RSKO, tel. 608 268 295, rsko_zswb-stoku@wp.pl , rsko@tlen.pl

Художество

Хмурое зимнее утро. На гладкой и блестящей по верхности речки Быстрянки, коегде посыпанной снегом, стоят два мужика: куцый Сережка и церковный сторож Матвей. Сережка, малый лет тридцати, коротконогий, оборванный, весь облезлый, сердито глядит на лед. Из его поношенного полушубка, словно на линяющем псе, отвисают клочья шерсти. В руках он держит циркуль, сделанный из двух длинных спиц. Матвей, благообразный старик, в новом тулупе и валенках, глядит кроткими голубыми глазами наверх, где на высоком отлогом берегу живописно ютится село. В руках у него тяжелый лом.

— Что ж, это мы до вечера так будем стоять, сложа руки? — прерывает молчание Сережка, вскидывая свои сердитые глаза на Матвея. — Ты стоять сюда пришел, старый шут, или работать?

— Так ты тово... показывай... — бормочет Матвей, кротко мигая глазами...

— Показывай... Всё я: я и показывай, я и делай. У самих ума нет! Мерять чиркулем, вот нужно что! Не вымерямши, нельзя лед ломать. Меряй! Бери чиркуль!

Матвей берет из рук Сережки циркуль и неумело, топчась на одном месте и тыча во все стороны локтями, начинает выводить на льду окружность. Сережка презрительно щурит глаза и, видимо, наслаждается его застенчивостью и невежеством.

— Э-э-э! — сердится он. — И того уж не можешь! Сказано, мужик глупый, деревенщина! Тебе гусей пасти, а не Иордань делать! Дай сюда чиркуль! Дай сюда, тебе говорю!

Сережка рвет из рук вспотевшего Матвея циркуль и в одно мгновение, молодцевато повер-

нувшись на одном каблуке, чертит на льду окружность. Границы для будущей

Иордани уже готовы; теперь остается только колоть лед...

Но прежде чем приступить к работе, Сережка долго еще ломается, капризничает, попрекает:

— Я не обязан на вас работать! Ты при церкви служишь, ты и делай!



Картина Теодора Аксентовича «Православное крещение», конец XIX века

Константин Станюкович: Рождественская ночь

Он, видимо, наслаждается своим обособленным положением, в какое поставила его теперь судьба, давшая ему редкий талант — удивлять раз в год весь мир своим искусством. Бедному, кроткому Матвею приходится выслушать от него много ядовитых, презрительных слов. Принимается Сережка за дело с досадой, с сердцем. Ему лень. Не успел он начертить окружность, как его уже тянет наверх в село пить чай, шататься, пустословить.

— Я сейчас приду... — говорит он, закуривая. — А ты тут пока, чем так стоять и считать ворон, принес бы на чем сесть, да подмети.

Матвей остается один. Воздух сер и неласков, но тих. Из-за разбросанных по берегу изб приветливо выглядывает белая церковь. Около ее золотых крестов, не переставая, кружатся галки. В сторону от села, где берег обрывается и становится крутым, над самой кручей стоит спутанная лошадь неподвижно, как каменная, — должно быть, спит или задумалась.

Матвей стоит тоже неподвижно, как статуя, и терпеливо ждет. Задумчиво-сонный вид реки, круженье галок и лошадь нагоняют на него дремоту. Проходит час, другой, а Сережки всё нет. Давно уже река подметена и принесен ящик, чтоб сидеть, а пьянчуга не показывается. Матвей ждет и только позевывает. Чувство скуки ему незнакомо. Прикажут ему стоять на реке день, месяц, год, и он будет стоять.

Наконец Сережка показывается из-за изб. Он идет вразвалку, еле ступая. Идти далеко, лень, и он спускается не по дороге, а выбирает короткий путь, сверху вниз по прямой линии, и при этом вязнет в снегу, цепляется за кусты, ползет на спине — и всё это медленно, с остановками.

— Ты что же это? — набрасывается он на Матвея. — Что без дела стоишь? Когда же колоть лед?

Матвей крестится, берет в обе руки лом и начинает колоть лед, строго придерживаясь начерченной окружности.

Сережка садится на ящик и следит за тяжелыми, неуклюжими движениями своего помощника.

— Легче у краев! Легче! — командует он. — Не умеешь, так не берись, а коли взялся, так делай. Ты!

Наверху собирается толпа. Сережка, при виде зрителей, еще больше волнуется.

— Возьму и не стану делать... — говорит он, закуривая вонючую папиросу и сплевывая. — Погляжу, как вы без меня тут. В прошлом годе в Костюкове Степка Гульков взялся по-моему Иордань строить. И что ж? Смех один вышел. Костюковские к нам же и пришли — видимо-невидимо! Изо всех деревень народу навалило.

— Потому окроме нас нигде настоящей Иордани...

— Работай, некогда разговаривать... Да, дед... Во всей губернии другой такой Иордани не найдешь. Солдаты сказывают, поди-ка поищи, в городах даже хуже. Легче, легче! <...>

Но самая настоящая работа начинается со следующего дня. Тут Сережка являет себя перед невежественный Матвеем во всем величии своего таланта. Его болтовне, попрекам, капризам и прихотям нет конца. Сколачивает Матвей из двух больших бревен высокий крест, он недоволен и велит переделывать. Стоит Матвей, Сережка сердится, отчего он не идет; он идет, Сережка кричит ему, чтобы он не шел, а работал. Не удовлетворяют его ни инструменты, ни погода, ни собственный талант; ничто не нравится.

Матвей выпиливает большой кусок льда для аналоя.

— Зачем же ты уголок отшиб? — кричит Сережка и злобно таращит на него глаза. — Зачем

же ты, я тебя спрашиваю, уголок отшиб?

— Прости, Христа ради.

Николай Лесков: Жемчужное ожерелье

— Делай сызнова!

Матвей пилит снова... и нет конца его мукам! Около проруби, покрытой изукрашенным кругом, должен стоять аналой; на аналое нужно выточить крест и раскрытое Евангелие. Но это не всё. За аналоем будет стоять высокий крест, видимый всей толпе и играющий на солнце, как осыпанный алмазами и рубинами. На кресте голубь, выточенный из льда. Путь от церкви к Иордани будет посыпан елками и можжевельником. Такова задача.

Прежде всего Сережка принимается за аналой. Работает он терпугом, долотом и шилом. Крест на аналое, Евангелие и епитрахиль, спускающаяся с аналоя, удаются ему вполне. Затем приступает к голубю. Пока он старается выточить на лице голубя кротость и смиренномудрие, Матвей, поворачиваясь как медведь, обделывает крест, сколоченный из бревен. Он берет крест и окунает его в прорубь. Дождавшись, когда вода замерзнет на кресте, он окунает его в другой раз, и так до тех пор, пока бревна не покроются густым слоем льда... Работа не легкая, требующая и избытка сил и терпения. <...>

Настает крещенское утро. Церковная ограда и оба берега на далеком пространстве кишат народом. Всё, что составляет Иордань, старательно скрыто под новыми рогожами. Сережка смирно ходит около рогож и старается побороть волнение. Он видит тысячи народа: тут много и из чужих приходов; все эти люди в мороз, по снегу прошли не мало верст пешком только затем, чтобы увидеть его знаменитую Иордань. Матвей, который кончил свое чернорабочее, медвежье дело, уже опять в церкви; его не видно, не слышно; про него уже забыли... Погода прекрасная... На небе ни облачка. Солнце светит ослепительно.

Ганс Христиан Андерсен: Девочка со спичками

Наверху раздается благовест... Тысячи голов обнажаются, движутся тысячи рук, — тысячи крестных знамений!

И Сережка не знает, куда деваться от нетерпения. Но вот, наконец, звонят к «Достойно»; затем, полчаса спустя, на колокольне и в толпе заметно какое-то волнение. Из церкви одну за другою выносят хоругви, раздается бойкий, спешащий трезвон. Сережка дрожащей рукой сдергивает рогожи... и народ видит нечто необычайное. Аналой, деревянный круг, колышки и крест на льду переливают тысячами красок. Крест и голубь испускают из себя такие лучи, что смотреть больно... Боже милостивый, как хорошо! В толпе пробегает гул удивления и восторга; трезвон делается еще громче, день еще яснее.

Хоругви колышатся и двигаются над толпой, точно по волнам. Крестный ход, сияя ризами икон и духовенства, медленно сходит вниз по дороге и направляется к Иордани. Машут колокольне руками, чтобы там перестали звонить, и водосвятие начинается. Служат долго, медленно, видимо стараясь продлить торжество и радость общей народной молитвы. Тишина.

Но вот погружают крест, и воздух оглашается необыкновенным гулом. Пальба из ружей, трезвон, громкие выражения восторга, крики и давка в погоне за колышками. Сережка прислушивается к этому гулу, видит тысячи устремленных на него глаз, и душа лентяя наполняется чувством славы и торжества.

Отрывок из рассказа
Антона Чехова
«Художество»

Адкуль узяліся ў полі васількі

Даўно, даўно, калі людзі яшчэ бяды не зналі, калі шчасце было штдзённым госцем пад кожнай страхою, калі звер чалавеку быў сябрам, а чалавек чалавеку братам, у адной з тысяч амаль аднолькавых, саломай крытых хатак, якія невядомая сіла прыгаршнямі, як белыя грыбы, параскідала сярод непраходных лясоў, жыла сям'я — бацька і маці. Не бедныя яны былі і не багатыя. Ды і навошта было ім багацце? Родная краіна па-мацярынску шчодра адносілася ў тыя часы да сваіх дзяцей. Карміў і лес, і рэчка, багатая рыбай. А невялічкая лапінка ўзоранай зямлі адудзячвалася за кожную кроплю зрасіўшага яе поту то збожжам, то гароднінай, снапамі ільну, які ўмелыя рукі гаспадыні ператваралі ў палосы белага палатна. Не ведалі б яны ні тугі, ні суму, калі б не тое, што не было ў іх дзяцей. Зайздрасна паглядалі яны на пару чырванадзюбых буслоў, гняздо якіх было на страсе іх хаты. Буслы штогод акуратна выводзілі буслянят.

Аж раптам у адзін прыгожы веснавы дзень нарадзіўся ў іх сын, шустры, сінявокі хлапец. І назвалі яны яго Васільком. Весела клекаталі буслы на страсе. Радасна ўсміхаліся бацькі, гледзячы, як брыкае ножкамі малы Васілёк. Соладка ўздыхала цёплым ветрыкам цяжарная ўраджаем зямля. Калыхаліся лагодна вяршыні магутных дубоў і стройных бярозак, напяваючы малому з першых дзён чароўную песню пушчы — гэту калыханку нашых прадзедаў.

Непрыкметна прабягалі дні і месяцы. Лета змянялася восенню. Пасля надыходзіла зіма.

І зноў вясна. І так праходзіў год за годам. Ціха і спакойна. Штогод падрасталі новыя бусляняты, а з імі разам падрастаў і Васілёк.

А зямля, нягледзячы на цяжар стагоддзяў, сустракала сямейку кожнай вясною ўсё маладзейшай усмешкай. Васільку ішоў ужо дванаццаты годзік. Не ведаў ён, што надыходзіць вялікая бура, што страшэнная небяспека павісла над самлелай ад шчасця і спакою краінай. Галоднымі ваўкамі краліся да яе лютыя ворагі, каб крывёю заліць яе сённяшні дзень, дымам пажараў прысланіць гераічную мінуўшчыну, цяжкім крыжам прываліць усю будучыню, звонам мячоў глушыць родныя песні. Здзіўлена глядзеў Васілёк на першых веснікаў злога — вогненныя віці, склікаўшых на смяротны бой за радзіму. Задзіраў галоўку на стаі груганоў, якія зляталіся і усіх бакоў, чуючы спажыву. Шырока раскрытымі блакітныш вочкамі глядзеў на гурты барадатых вояў, узброеных цяжкімі паліцамі і пікамі. Яны ішлі на захад, каб супрацьставіць уласныя грудзі варожаму жалезу. Назад адтуль чамусьці ніхто не вяртаўся. Урэшце і бацька, забраўшы жалезную сякеру, рушыў услед за іншымі. Васілёк не плакаў, хоць маці аблівалася слязьмі. Ён яшчэ не ведаў, у чым справа. І толькі тады, калі паявіліся, папярэджаныя цяжкім пахам гару і крыві, закутыя ў жалеза, чужыя людзі, калі полымя ахапіла родную страху, калі ўскрыкнула паваленая варожым мячом маці, засланяючы ўласным целам яго, Васілька, калі ўвесь свет прысланіў яму пакрыты іржавымі плямамі белы плашч з чорным крыжам, ён зразумеў, затрапятаў, як птушка і, не бачачы ратунку, заплакаў.



Раптам нешта падхапіла яго з абодвух бакоў пад рукі і ўзняло ўгору. Агледзеўшыся, ён убачыў, што ляжыць на спінах двух дужых буслоў, а зямля застаецца недзе далёка-далёка ўнізе.

— Клёк, клёк. Трымайся моцна за нашыя шыі, — заклекатаў адзін з буслоў. — Нам трэба спяшацца.

— Куды? Куды вы мяне нясеце? — закрычаў Васілёк. — Я не магу. Я баюся. Я да мамы хачу.

— Клё, клё, клё. Няма ўжо ў цябе бацькоў. Адзін ты застаўся на свеце, — заклекатаў другі бусел. — А нас табе няма чаго баяцца. Сябры мы табе. На вашай страсе выгадаваліся. Не маглі ж мы цябе, клё, клё, аднаго ў бядзе пакінуць.

— Куды ж мы ляцім? — меў яшчэ сілы спытацца Васілёк.

— Клё, клё. За мора. Клё, клё, у цёплыя краіны. Клё, клё, далёка. Спяшацца трэба, спяшацца. Клё, клё, клё, — дружна адказалі буслы.

Больш Васілёк не гаварыў нічога. Дзве пары магутных бусліных крылаў згодна рассякалі паветра. Вецер шумеў у вушах. А ён усё маўчаў і пільна ўглядаўся на мільгаючыя ўнізе лясы, рэчкі, азёры, на спаленыя дёлы, стоптаныя палі. Ён развітаўся з роднай краінай, якую не ведаў, калі зноў убачыць. Пра яго пачуцці гаварылі толькі сплываючыя па шчоках ручаінкі слёз.

Доўга працягвалася падарожжа. Паступова абсохлі слёзы. Ужо новыя ўражанні не давалі волі ўспамінам. Усё было такое новае, незвычайнае. Здалёк цудоўнае, як казка. Замест адвечных пушчаў, роўна пастрыжаныя паркі. Палацы замест прывычных воку саломай крытых хат. Мора, на якім як цацкі плавалі караблікі ў белых ветразях. Чужыя, у дзівосных вопратках людзі. Рознакаляровыя гарады прыкоўвалі позірк. Здавалася Васільку, што вось тут бы толькі і жыць, у гэтай казачнай краіне.

Не паспеў ён пра гэта падумаць, як убачыў, што зямля ўсё бліжэй і бліжэй. І праз хвіліну ягоныя крылатыя сябры спыніліся разам з Васільком сярод незнаёмага горада.

— Клё, клё, — цяжка ўздыхнуў адзін з іх. — Вось тут мы з табою развітаемся.

— Як жа ж гэта? — спалохана спытаў Васілёк. — Я ж тут нічога не ведаю. Дзе я дзенуся?

— Даруй, нам нельга інакай, — адказаў другі бусел. — Не данесці нам цябе да гарачых афрыканскіх берагоў. Пралічыліся мы, брацік наш, з сіламі. Цяжкая і небяспечная дарога перад намі. А

час асенніх бураў набліжаецца. Прыдзецца табе застацца тут.

— Буслікі даражэнькія, буслікі родненькія, — узмаліўся Васілёк. — Не пакідайце мяне. Застаньцеся са мною.

— Нельга! Нельга! — пакруціў галавою першы бусел. — Мы ляцім на адвечны зоў. Нас кліча мутны Ніл. Гэты закон мацнейшы за хаценні. Мы мусім, мусім падпарадкавацца. Не сумуй аднак. Мы вернемся з першымі праменнямі веснавога сонца. Мы вернемся да цябе, летучы дахаты. Вернемся. Вернемся. Клё, клё, клё, клё, - і буслы, кіўнуўшы дзюбамі, узняліся пад хмары.

Так апынуўся Васілёк адзін ноччу на чужыне. Змучаны падарожжам, прыгнечаны перажытым, лёг ён на зямлю, накрыўся світкаю і заснуў.

Ачнуўшыся, Васілёк убачыў, што ляжыць на плошчы вялікага горада, а вакол тоўпіцца народ, разглядаючы яго як нейкае дзіва. Ды і што гэта былі за людзі! Такіх ён яшчэ ніколі не бачыў. Рознакаляровыя дзіўныя вопраткі, шапкі, капелюшы у некаторых — бліскучыя, жоўтыя, як янтар, ланцугі на шыях і каштоўная зброя, незразумелая мова гучыць навокал, — усё| чужое, незнаёмае.

Раптам пачуліся крыкі, натоўп расступіўся, узброеныя людзі падхапілі Васілька пад рукі і павялі ў каралеўскі палац. Там толькі напалоханаму хлапчуку сяк-так растлумачылі, што шчаслівы лёс яго закінуў у багацейшы з гарадоў Чужынаград і што будзе ён з гэтата дня служыць самаму знатнаму сярод каралёў, вялікаму Экзылію, які па сваёй міласці ўзяў яго пад апеку.

Дні нізаліся адзін за другім, як пацеркі на нітку. Міналі нядзелі і месяцы. Васілёк прывык да новых абставін, вывучыў незнаёмую мову, пазбыўся страху, перастаў дзівіцца. Ён ужо ведаў, што не яго аднаго сюды доля закінула. Шмат іх штодзень садзілася за каралеўскі стол. Ведаў і тое, чаму адным падаюць есці на драўляных, а іншым на залатых талерках. О! Золата! Колькі яму пра яго нарасказвалі. Золата — гэта багацце, гэта праўда, пашана, гэта шчасце, зачараванае ў поўныя жоўтыя кружочкі, якія называюць грашыма. Так кажуць амаль усе. Яго звонам жыве Чужынаград. Аднак не кожнаму яно даецца. Штомесяц усіх слуг вялікага Экзылія збіраюць у аудыенц-зале. Некаторым міласціва дазволена пацалаваць панскую руку. І толькі ў іх падстаўленыя далоні сыплецца гэтае дзіва, гэтыя грошы. Іншыя толькі здалёк аглядаюць міласцівае аблічча. Сярод іх і Васілёк. З яго ўсе насміхаюцца. Дзівак. Не хоча змяніць даматканай світкі на модную вопратку. Кажа, што гэта свая, хатняя. Ну, гэта яшчэ паўбяды. У свабодным Чужынаградзе кожны мае права апранацца, як хоча. Ды і тое, што мовы сваёй не забываецца, не так страшна: вядома, тупагаловы, карысці сваёй не бачыць. Горш за ўсё, што гэты балван дадому хоча вяртацца. Падумаць толькі, з самога Чужынаграда, пупа свету і сусветнай культуры, у нейкія лясы і пушчы. З каралеўскіх пакояў у халопскую хату. Ды і чорт яговедае, ці там яшчэ камень на камені застаўся. Звар'яцеў хлопец. А тлумачаць жа ж яму: пакарыся, кінь свае мары. Не пееш аглядзецца, як чалавекам станеш. Раз-другі да каралеўскай рукі прыгнешся і тады толькі надстаўляй кішэнь. Золата! Ці ты разумееш? Золата! Самое гэта слова звініць. Ідзі, браток, там, дзе яно.

Цяжка Васільку. Што рабіць, не ведае. Мо людзі і праўду кажуць? Чужа яму аднак у палацы. Праўда, кормяць добра. Не скажаш, багата тут людзі жывуць. Ды і дамы тут якія і ўся абстаноўка! А аднак чужа. Увесь час адчуваеш, што ты тут не свой — адным словам, Чужынаград. Ох! Пачуць



бы зноў пах роднае нівы. Пасядзець ля дубровы. Салавейку паслухаць. Праўда, салаўі і тут ёсць. Аднак і тыя, хоць у залатых, а ў клетках. А да вясны далёка. Не хутка буслы прыляцяць. А мо пайсці яшчэ ў якую другою старонку? Пашукаць шчасце. Бо золата шчасця не дасць. Гэта ён, Васілёк, ведае. Яму калісьці таксама далі кавалак. Ён яго мае і носіць заўсёды з сабою і разглядае гадзінамі. У яго толькі колер цёплы. Такі, як спелай пшаніцы. А само яно халоднае і нейкае варожае. Сталь меча таксама халодная, а аднак дадае мужчыне бадзёрасці, адвагі. А гэты холад марозіць. Як быць? Як быць? Панурыўшы галаву, блытаецца Васілёк туды-сюды па Чужынаградзе. Успаміны, як цеста ў дзежцы, бушуюць, растуць, не даюць спакою. Цягне, цягне, цягне яго дамоў. Куды аднак ісці?

Хто дарогу пакажа? Няма, няма жыцця на чужыне.

Раптам яго аклікнулі.

— Сынок! Сыночак! Памажы. Пашкадуй мяне бедную.

Аглянуўшыся, Васілёк убачыў старэнькую бабулю, згорбленую пад цяжарам вялізнага клунка. Сабою бабуля невялічкая, худзенькая. У руках кіёк. Твар зморшчаны. Валасы сівыя-сівыя.

Адно вочы, здаецца, як два вугалькі сярод твару бліскаюць, на Васілька паглядаюць.

— Памажы. Памажы, сынок, дахаты клунак данесці, сіл не хапае, — просіць.

Устрапянуўся хлапец. Да старэнькай падскочыў. Цяжар сабе на плячо закінуў. Самую яе пад руку ўзяў.

— Хадзем, — кажа. — Дарогу адно паказвайце.

Ідзе Васілёк вуліцамі Чужынаграда. Побач з ім бабулька стукстук, кійком пастуквае.

Выйшлі за горад — ідуць полем. Перайшлі поле — уваходзяць у лес. Спыніліся ўрэшце. Хоць дзе тут хата, невядома. Страха, здаецца, адна, мохам павісшая, з зямлі тырчыць.

Бабулька адчыніла дзверы. Заходзіць Васілёк, назад клунак ставіць. Глядзіць навокал. Неяк тут дзіўна. У печы трэскае агонь, а чорны кот паленні дакладае. На пліце гаршкоў, гаршэчкаў нейкіх. Усё булькае, кіпіць. Сава вялізнай ценню пільнуе варыва. То зіркне тут, то там, то лыжкай шум здымае. Усюды, куды не глянеш, пучкі зелля, траваў нейкіх. І дзіўны пах, духмяны, таямнічы. Аж рот раззявіў, бедны, ад здзіўлення.

— Што ж, дзякуй табе, мілы. Замарыўся пэўна. Прысядзь вось, — бабуля прысоўвае лаўку. — Цяпер кажы, якой узнагароды хочаш. Пашкадаваў мяне. Дык і я не паскуплюся.

Апамятаўся Васілёк. З лаўкі ўскочыў.

— Што вы, што вы, — аднекваецца. — Няма за што. Я ж з ахвотаю. Вяртацца вось мне трэба. Вечарэе ўжо. А ісці кавалак дарогі.

— Ты сядай, сядай, сыночак. Не спяшайся, — усміхнулася бабулька. — Слухай мяне, старую. Нездарма мяне ў ваколіцы ўсе ведзьмай клічуць. Я шмат магу. Працi. Не бойся, — голас у бабулі быў лагодны, добры. Васілёк жа адзін на чужыне. Не было яму нават перад кім пажаліцца. Таму, нягледзячы на незвычайныя абставіны, ён пасмялеў і выказаў усе свае думкі, мары ды турботы.

Задумалася бабуля. Пагладзіла хлапца па галаве, падыйшла да пліты, зняла адзін са стаяўшых там чыгуноў і паставіла яго сярод хаты. Чорную хустку на плечы накінула.

— Я, — гаворыць, — сынок, варажыць буду, а ты тым часам прыляж, паспі.

Прылёг Васілёк на лаўку, не варушыцца. Са старэнькай вачэй не зводзіць. А ў чыгун тым часам усё ліецца, сыплецца нешта і дзіўныя словы гудуць у вуглах.

— Варажба. Варажба. Варажба. Што было, што ёсць, што будзе, выяві-пакажы. На мёртвы свет маладзіка, смяротны ўдар перуна, на гук савы, выццё ваўка, змяіны яд, на вечны шум святых дубоў — заклінаю, заклінаю, заклінаю. Хмельнае брагі чарпак. Сатлеўшых касцей сыпнем жменю. Са спаленай хаты вуглёў. Чароўных дакінем карэнняў. Размесім крылом гругана. Варажба. Варажба. Варажба.

Забулькала, захадзіла варыва ў чыгуне. Бабульку, якая над ім схілілася, клубы пары ахуталі.

Усё кругом памутнела, пачало расплывацца. Невядома калі вочы заплюшчыліся. Хлапец заснуў. Прачнуўся Васілёк на світанні. «А дзе ж гэта я?» — думае. Убачыў бабульку, усё ўспомніў. Бабулька за стол пасадзіла хлапца, а потым і кажа:

— Не ведаю нават, што рабіць, сынок. Дзіўныя мары тваея дзіўнай варажба была. Не разлікам, а сэрцам ты кіруешся. І замест выгаднага жыцця, цяжкі шлях выбраць хочаш. Толькі моцны здолее па ім ісці. Адно смелы перашкодаў не баіцца. Той толькі дойдзе, хто больш за ўсё край свой кахае. Затое аднак, што мне ты памог, дам я табе параду: на нішто не глядзі, адно сэрца слухайся. Заўсёды наперад ідзі, не палохайся. Калі б цяжка прыйшлося, родным словам аказвайся.

Вывела бабуля Васілька з хаты.

— Вось сюдою і ідзі наўпросткі, — рукою паказала і згінула.

Згінуў і лес, і хатка. Застаўся Васілёк на невядомай дарозе, якая бегла палямі і хавалася недзе за небасхілам.

Дарога сцелецца. Ногі тупаюць. Ідзе Васілёк, куды вочы вядуць. Сонца даўно за паўнеба перавалілася. У жываце бурчыць. Есці хочацца.

Аж тут, глянь, невядома адкуль, стол пры дарозе стаіць, абрусом каштоўным накрыты. На стале ж ежа ўсялякая. Тут і каўбасы, і вяндліна, печанае парася з паўміска ўтору лычык узносіць. А булак, булгачак і пячэння розная! З віном бутэлькі, як салдаты, сярод усячыны то тут, то там трымаюць варту. Адразу хлапцу слінка пацякла. Здаецца, так і ўгрызся б у што папала. А стол аж зззяе. Здаецца, сам прысесці просіць. Выпадкова ўбок глянуў: ад стала недалёка белы ручнік на траве разасланы. На ім жа скромная хатняга хлеба буханка, ды гладышка, расою пакрытая, мусіць з кіслым малаком стаіць. Побач нож, талерачка з соллю. На хлеб глянуў — вачэй ад яго адвесці не можа. Здаецца, ён дома. Маці ў дзежцы цеста замясіла. Чакаючы, пакуль падыйдзе, яго, Васілька, які пад нагамі круціцца, ад гарачай печкі адганяе. А потым з той печы выкладвае на стол адзін за другім пухкія, румяныя буханкі. Аж прыжмурыўся, бедны. Пацягнуў носам. Па ўсім наваколлі, здаецца, свежым хлебам запахла. І ўжо Васілёк ля ручніка. Ужо лусту добрую адрэзаў. Першы кус адкусіў. З гладышкі малако папівае.

Раптам загуло навокал. Вецер невядома адкуль узяўся, пяску, пылу хмару ўзняў угору. Глядзіць, няма стала, ні смакаў ніякіх. Усё згінула. Адна луста хлеба, якая

ў руках засталася, даводзіла, што гэта яму не сон прысніўся. Зразумеў хлапец, што небяспеку шчасліва абмінуць здолеў. Далей рушыў.

Зноў сцелецца дарога. Ногі, хоць змучаныя, тупаюць бадзёра. Уперад далёка выбягаюць думкі. Змарыўся ўрэшце. Той прылёг бы, паспаў бы гадзін пару. Сонца і тое, пачырванеўшае ад стомы, апошнімі праменнямі пазірае. За небасхілам шукае адпачынку. А навокал пуста. Нідзе ні кусцікаў, ні траўкі. Раптам, адкуль ні вазьміся, пры дарозе ложак стаіць. Дый што і ложак! Шырокі, як возера. Белым лебедзем плыве па ім пярына. Снежныя падушкі, нібы гусі, збіліся ў стада. Нырнуў бы ў яго, здаецца, і выплыў аж недзе над раннем. Так і маніць. Так і маніць. Вападкова ўбок глянуў. Ад ложка недалёка сена стаіць капіца. Ля яе — дыван хатні саматканы. Падушачка невялічкая, у каляровыя ўзоры вышываная. На сена глянуў — вачэй ад яго адвесці не можа. Здаецца, ён дома. З бацькам, мацерай на сенажаць выйшлі. Дзінь, дзінь, дзінь — у бацькавых руках каса звоніць. Шась, шась, пакос за пакосам кладзецца. Падсохшае, разам згартаюць у капіцу. Пацягнуў носам. Ва ўсім наваколі, здаецца, свежым сенам запахла. І ўжо Васілёк ля капіцы. І сена разгортвае. Дзяружкай накрывае. Ужо лёг. Ужо заплюшчвае вочы. Аж раптам стукат-грукат нейкі пачуўся навокал. Глядзіць, на месцы, дзе ложак стаяў, вялізная яма. Агонь з яе бухнуў раз і другі, і згінула ўсё. Толькі сена, на якім ён ляжаў, даказвала, што не сон прысніўся. Шчасліва хлапцу другой небяспекі пазбегнуць удалося. Лёг ён і да раніцы праспаў на тым сене.

І зноў ён ідзе. Крок за крокам мераюць ногі. Колькі разам усіх крокаў — не злічыш. Поле ўжо скончылася. Дарога перайшла ў ледзь прыкметную сцежку, якая бегла сярэдзінай вялізнага балота. А Васілёк ідзе. Усё наперад. Усё наперад. Дамоў. Бачыць раптам — ажыло балота. Адкуль ні вазьміся, вужакоў поўна. Клубамі круцяцца, прайсці не даюць.

— Шшш, шшш, — шыпяць проста ў твар. — Ты куды? Ты куды? Шшш, шшш. Ужо няма і быць не можа той зямлі. Шшш, шшш. Цэлы мужных абаронцаў раздзяўблі груганы. Шшш, шшш. Ужо ніхто цяпер не беліць кужаль ля вады.

Шшш, шшш. Ужо няма і быць не можа той зямлі, шшш. Выракліся роднай мовы яе сыны. Шшш, шшш.ньса тут. Па што? Па што табе туды? Шшш, шшш, шш!

Жудасна Васільку. Вужакі халоднымі бізунамі труцца і шыпяць усё сваё, „шшш, шшш, шшш, не йдзі, згінеш, не йдзі". А ён усё ж ідзе. Ідзе наперад. Усё наперад. Дамоў.

Так і выйшаў з гнілога балота. Разгледзеўся. У краявідзе ўжо нешта знаёмае воку. Не тая раўніна. Тут узгорак за ўзгорам. Кусцік тут, кусцік там. Пару белых бярозак. А наперадзе недзе далёка мурам чарнее лес. Шпарка, шпарка панеслі яг ногі. Здаецца, ішоў бы без сну і адпачынку. Сцямнела аднак. Дарогі не ўгледзіш. Прылёг на ўзгорачку. Світкаю накрыўся. Заснуў.

Прачнуўся Васілёк сярод ночы. «Што за шум? Што такое?» Глядзіць: адкуль тут столькі людзей? І што за яны? У шкурах і світках, а ёсць і пры зброі. У каго паліца, лук. У каго піка ці меч. У круг пасядалі. Гавораць. Смяюцца. А словы знаёмыя. Прыслухаўся лепей. Браты. Адзін кажа:

— Як штогод, у гэту ноч мы сабраліся тут. Дзеці розных вякоў. Адной долі сыны. Ці ў той бітве, ці ў іншай, які б вораг не быў, кожны з нас за айчыну. Гасцей заўсёды шчыра мы віталі. Былі і хлеб і соль. І мёд і піва. Хто ворагам прыйшоў, той мур грудзей тут сустракаў. Лілася кроў. Было для смерці жніва. З усіх нас, што тут, ніхто не адступіў. У перамешку нашы косці пад курганам. Сёння нашая ноч. Час сустрэчы, размоў. Потым зноў мы на год засыпаны.

Сказаўшы гэта, ён павярнуўся, і Васілёк угледзеў, што замест рук у яго тырчаць косці, а замест твару бялее голы чэрап. Лепей прыгледзеўся. Бачыць, што гэта мёртвыя сабраліся на сходку. Перапалохаўся хлопец. Паварушыўся неасцярожна. Шум зрабіўся навокал. Кінуліся да яго з'явы.

— Хто тут? Хто тут? — пытаюць. — Мы чуем чалавечы дух. Той, хто на наш з'явіўся сход, з намі застацца мусіць.

Усё бліжэй да Васілька падыходзяць. Касцямі ляскаюць, зубы шчэрацць.

— Маманька, родная, ратуй! Людзі добрыя, не чапайце мяне. Я толькі дадому, дахаты хачу вярнуцца, — закрычаў Васілёк на роднай мове.

Супыніліся з'явы.

— Гэта што? Гэта ж свой. Гэй, браты. Гэта ж праўнук, нашчадак.

У тую хвіліну бліснуў першы прамень сонца. Задрыжала зямля. Ускалыхнуўся ўзгорак, і ўсё згінула. Толькі іржавы меч, які застаўся ў траве, даказваў, што гэта Васільку не сон прысніўся. Не паспеў хлопец адумацца, як чуе:

— Клё, клё. Клё, клё. Васілёк! Ужо вясна. Клё, клё, клё. Гэта мы. І мы ўжо вярнуліся дахаты.

Глядзіць, а над ім, весела ківаючы дзюбамі, лётаюць два добра знаёмыя буслы.

І зноў Васілёк на бусліных спінах. І зноў ляціць над роднай зямлёю. І зноў ён плача.

Слёзы радасці капаюць з сініх вачэй. Дзе ўпала сляза, там і вырасла кветка. Шмат іх, шмат іх сініх, як вочы хлапца. Хочаце верце, або не верце, васількамі называюць іх ад таго Васілька.

Юрка Геніюш
фото **Міры Лукшы**

Filimon Waszkiewicz prezentuje sposób posługiwania się leziwem

Legenda białowieskiego bartnictwa

Nie znacie Filimona? Ho, ho! To człowiek mądry, „puszczański". Niewielkiego wzrostu, gęsto zarośnięty na ogorzałej twarzy, z łagodnymi oczami dziecka. Ma swoje zdanie o każdej rzeczy, ma swój własny i zawsze trafny sąd. Nie narzuca się nikomu, jeżeli jednak ktoś chce zasięgnąć rady, poradzi dobrze. Wszystko pamięta – i to, co sam przeżył i widział, i to, co słyszał od ojca i dziada, i to, co opowiadali sąsiedzi, znajomi oraz przygodnie spotkani ludzie. A puszczę zna jak żaden inny człowiek. Nie tylko zna, ale i kocha. Z dala od niej umarłby już na pewno z tęsknoty. Lubi wspominać dawne dzieje – trzeba tylko umieć „wywołać wilka z lasu".

Tak przedstawił **Filimona Waszkiewicza** na łamach swojej książki „W prastarej puszczy" (Warszawa 1955) **Jan Jerzy Karpiński** – wieloletni dyrektor Białowieskiego Parku Narodowego.



Kim był Filimon? Jeszcze pół wieku temu w Białowieży wiedzieli o nim prawie wszyscy, dzisiaj już tylko niektórzy pszczelarze. Filimon to ostatni mieszkaniec tej miejscowości, który znał się na bartnictwie, choć możliwości uprawiania tego zawodu nie miał – już w latach jego młodości był on na tym terenie tylko wspomnieniem.

Jak się poznali dyrektor Parku Narodowego i miejscowy znawca bartnictwa? Swego czasu w Białowieży krążyła na ten temat zabawna anegdota. Opowiedział mi ją pod koniec lat siedemdziesiątych **Mikołaj Buszko** – nieżyjący już preparator w miejscowym muzeum przyrodniczym. Otóż dawniej mieszkańcy puszczy wykonywali łapcie z łyka, które pozyskiwali z młodych lip. W tym celu penetrowali nawet obszar Parku Narodowego, co było zabronione i karalne. Pewnego razu do parku wybrał się po łyko Filimon Waszkiewicz. Nadarł go już tyle, ile było trzeba na jedną parę łapci i zamierzał wracać do domu, gdy nagle zza krzaków wychynął sam dyrektor Karpiński. Przyłapany na kradzieży Filimon, by odwrócić od siebie uwagę, powiedział dyrektorowi, że za pobliskimi zaroślami jego sąsiad nadarł łyka znacznie więcej i jeszcze drze. Karpiński ruszył w tamtą stronę, a Filimon, wykorzystując sytuację, pospiesznie oddalił się w przeciwnym kierunku. Nie zastawszy nikogo we wskazanym miejscu, dyrektor zrozumiał, że po prostu dał się nabrać. Doceniając spryt i przebiegłość nieznanego mu dotąd mieszkańca Białowieży, postanowił go bliżej poznać. Znajomość zawarta z Filimonem przyniosła im obopólną korzyść.

Filimon Waszkiewicz przyszedł na świat 13 lipca 1879 roku. W jego rodzinie od pokoleń zajmowano się bartnictwem. Filimon także zainteresował się tym zawodem. Tajniki bartnictwa przekazywał mu dziadek **Omelian**. Ojciec **Józef** też, choć uprawiać tego zawodu już nie mógł, gdyż władze carskie akurat w tym czasie zlikwidowały tę gałąź gospodarki w Puszczy Białowieskiej.

Filimon założył więc przy domu i prowadził razem z ojcem własną, rodzinną pasiekę, złożoną z uli kłodowych. Wkrótce się ożenił. Doczekał się potomstwa – syna **Włodzimierza** i córek – **Nadziei**, **Justyny**, **Anastazji** i **Aleksandry**. W latach trzydziestych był już osobą na tyle znaną i szanowaną w Białowieży, że został wybrany radnym gminnym.

W 1944 roku pasieka Waszkiewiczów liczyła 45 kłód leżących i stojących, z których zasiedlonych było około dwudziestu, oraz 3-4 ule warszawskie, które miały z tyłu szybkę, umożliwiającą obserwację pszczół. Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych Filimon pozyskiwał jeszcze dodatkowo miód z niektórych czynnych barci na terenie rezerwatu ścisłego. Dziadek i ojciec w tym czasie już nie żyli.

Sam Waszkiewicz także miał swoje lata – w 1944 roku był już daleko po sześćdziesiątce. I to właśnie w tym roku na jego rodzinę spadł dotkliwy cios. Na froncie zginął syn Włodzimierz, w którym Filimon widział kontynuatora rodzinnej tradycji pszczelarskiej. Stary bartnik załamał się i sukcesywnie zmniejszał pasiekę, przestała ona istnieć około 1958 roku.

Dyrektor Karpiński postanowił wykorzystać wiedzę i umiejętności Filimona w zakresie bartnictwa. Tuż

Bardzo stara barć, tzw. dwojnica (dwie komory obok siebie), być może z XVIII wieku

po wojnie zlecił mu odtworzenie dla Muzeum Przyrodniczo-Leśnego Białowieskiego Parku Narodowego sprzętu bartniczego, zniszczonego przez okupanta niemieckiego. Z Filimonem nawiązało współpracę także Muzeum Etnograficzne w Warszawie, dla którego wykonał on niektóre elementy sprzętu bartniczego (m.in. kompletne leziwo) oraz karmnik dla zwierzyny według dawnych wzorów.

Całą posiadaną wiedzę o bartnictwie i spostrzeżenia z życia puszczańskiej przyrody Waszkiewicz chętnie przekazywał dyrektorowi Parku Narodowego. Karpiński uwiecznił jego postać w szeregu opowiadań przyrodniczych, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży. Wykonał też serię zdjęć, na których Filimon przedstawia etapy wchodzenia na drzewo bartne przy użyciu leziwa. Zdjęcia te trafiły do szeregu publikacji prasowych i książek poświęconych bartnictwu i pszczelarstwu.

W jesieni 1957 roku ekipa nowojorskiej wytwórni filmowej Fox Movietone News nakręciła materiał o Filimonie Waszkiewiczu, który wszedł do długometrażowego, barwnego filmu o Polsce. Film ten był prezentowany najpierw w amerykańskich kinach, później pokazywano go również w telewizji. Bartnik z Białowieży doczekał się także audycji radiowej o sobie. Zrealizowała ją dla I programu Polskiego Radia Wanda Odolska.

Będąc postacią niezwykle barwną, do tego obdarzoną talentem gawędziarskim, Filimon przyciągał zainteresowanie licznych dziennikarzy prasowych.

J. K. Maciejewski tak go przedstawił w tygodniku „Stolica" (nr 5/1949): „…stary Filimon, zatrącający z białoruska, nie tylko zna dzieje każdej strugi i każdego zagłębienia w Parku Narodowym. Filimon przede wszystkim jest chodzącą kroniką bartną. Pochodzi z rodu bartników, choć już ojciec jego nie uprawiał tego szlachetnego rzemiosła. Zna je jednak z żywej tradycji rodzinnej. Potrafi wskazać w Parku ocalałe jeszcze drzewa z wydłubanymi w nich barciami. Ze strychu chałupy ojcowskiej wydostał od dawien dawna nieużywany sprzęt bartniczy i ofiarował go Muzeum. Filimon ma to wszystko „w jednym palcu". Wie jak się urządzało barć i jak się do niej po prostopadłym pniu wdrapywało. Gdy tak objaśnia – słuchasz tego, człowieku, jak zamierzchłej klechdy i patrzysz na Filimona jak na przedstawiciela innej epoki. Bo jest nim w rzeczywistości ten brodaty i wąsaty chłop w samodziałowej kapocie i z głosem cerkiewnego diaka. Nie można go sobie wyobrazić, przeniesionego na bruk miejski…".

Filimon Waszkiewicz miał okazję poznać wielu znanych ludzi, z niektórymi nawet się zaprzyjaźnił. Do takich osób należał między innymi polski przyrodnik, fotografik i filmowiec **Włodzimierz Puchalski**. Podobno spotkali się już w 1938 roku, gdy młody lwowski przyrodnik przyjechał po raz pierwszy do puszczy, by sfotografować uczestników rządowych polowań, organizowanych przez prezydenta RP **Ignacego Mościckiego**. Po wojnie Puchalski miał sportretować Filimona przy pracy bartniczej, a także w jego przydomowej pasiece na Tropince, lecz zdjęć tych nie udało się odszukać. Białowieski znawca bartnictwa był konsultantem Włodzimierza Puchalskiego w tym zakresie przy realizacji w 1963 roku filmu dokumentalnego „Puszcza Białowieska". Przy tej okazji przekazał mu na własność stupę, radno i szereg innych rzeczy związanych z bartnictwem.

Jeden ul kłodowy z pasieki Filimona, z inicjatywy dra **Jerzego L. Olszewskiego**, trafił w 1977 roku do Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży. Ustawiono go na podwórzu, w pobliżu głównego gmachu, gdzie dość długo zwracał uwagę wszystkich odwiedzających tę placówkę naukową. Obecnie postać ostatniego białowieskiego



bartnika przypomina turystom jego duży fotogram, umieszczony w dziale bartnictwa Muzeum Przyrodniczo-Leśnego Białowieskiego Parku Narodowego.

Filimon utrzymywał się głównie z ponadpięciohektarowego gospodarstwa. Będąc już w starszym wieku i nie mogąc uprawiać roli, pozostał bez należytych środków do życia. Na otrzymanie emerytury nie mógł liczyć, gdyż nie miał stałego zatrudnienia. Wynajmowano go okazjonalnie do wożenia po puszczy własnym żeleźniakiem gości Parku Narodowego – fotografików, naukowców. W podzięce za jego trud przy odtwarzaniu sprzętu bartniczego i pielęgnowaniu tradycji bartniczej, profesorowie Jan J. Karpiński i **Franciszek Szkiłłądź** oraz docent **Stefan Graniczny** wystarali się dla niego o niewielką rentę z Ligi Ochrony Przyrody. Filimon otrzymywał ją kwartalnie.

Białowieski bartnik odszedł z tego świata 14 lutego 1964 roku, w wieku 84 lat. Został pochowany na cmentarzu w rodzinnej Białowieży.

Piotr Bajko
fot. **archiwum Białowieskiego Parku Narodowego i ze strony http://puszcza-bialowieska.blogspot.com**

Надіея Момлік (сідіт друга з правуй) з односельчанамі з Залесся

Слово Надзеі з Залесся

В сіетым рокові вышов другі поэтычны зборнік **Надзеі Момлік** з Дывіна коло Кобрыня, пуод назвою “Арабінавы смак”, посвяшчоны дiетям і внукам. Своіе вершы поэтка пішэ на белорускуй і російскуй мові, а таксамо мові вёскі Залессе коло Тэвлюв. Тут в 1950 р. народіласе, тут ходіла до сэрэднюй Рынковскуй школы. Посля закунчыла Брэсцкі дэржавны педагогічны інстытут імя А. С. Пушкіна. Своіе професійнэ жыце злучыла з Сэрэднёю школою в Дывіні, дэ учыла в молуодшых клясах і была наместніком дырэктора.

З Надіеёй Івановной прышлося мне познаёмітіся остатнім, вераснёвым днём сёго року в ейі руоднуй вёсці Залессе. Тут вжэ сёмы раз, на пудвуорку **Александра** і **Ларысы Быцко** проходілі артыстычны сустрэчы пуод назвою “Вераснёвым днём ў Рэўню”. За Быцковою клунёю, в гожым урочыску, которэ Рэвнём звэтця, зобраліся мастакі, музыканты, спевакі, фольклорысты, поэты (споткав тут тожэ **Антоніну Хатэнка** і **Алеся Камоцкого** з Мінска), а таксамо жытелі і выходцы з вёскі. Всіех отуліла сэрдэчность господаруов, которы належат до головных аніматорув белорускуй - полескуй культуры Бэрэстіейшыны (про засновану імі артыстычну седзібу “Стулы” пісалі мы в прошлым рокові).

Вершы Надзеі Момлік, которы пропонуем чытачам, напісаны на мові ейі руоднуй вёскі Залессе.

Дорофей Фіонік, фото **Даніла Савчука**



НЭБО

Нэбо – схованка казочных марув,
Чаровало в дытынствы мынэ,
Бо тогды сэрцэ білю нэ знало
І ны відало як быда гнэ.

Облака, як той ліс, шчо стыною:
То мыдвідь появлявся, то вовк.
Воны гралысь, як діты зо мною…
Так йшов чяс за пасіннем коров.

А потом ны було ужэ чясу
Назыраты ігру облаків.
Мое жытте плыло в тэмпы вальсу
І крутыв мынэ лёс як хотів.

А тыпэр вжэ спокою мні трэба,
Свою біль ны схаваты ныгдэ.
По ночях углядаюся в нэбо:
Може зорка на шчясце впадэ.

27.02.2017

НАВЫСНІ

Налылася вжэ соком быроза,
Роспустыла вырба котахы
І мої, пэвно, высохнуть слёзы,
І покынуть ночныі страхы.

І вычэрнёго жалю ны будэ,
Сум покынэ мынэ навыснi,
Бо вжэ ранкы знов клёкотом будять
У край рідный вырнувшысь бусні.

28.02.2017

ВЫЛЫКДЭНЬ

Усё мні тут і любо так, і мыло…
Я помню чяс далэкый, дорогый,
Як мама мні под Паску платте шыла,
Под ручныком парілы пырогы.

Дытячы нашы радості, забавы
На самэ главнэ свято на Зымлі.
Ёго мы завжды тэрпэлыво ждалы,
Лычылы дні в своім коліндарі.

Всю вэсну мы готовылысь до свята:
Вылыкдэнь – вэльмэ радосна пора.
І мы так шчіро вымывалы хату,
Всё чыстылы в горідчыках, в дворах.

А яйца у цыбулнику красылы,
Шчэ краскою онучнык торговав.
Тряпкы нычогы до ёго носылы,
Коб він за іх хорошу краску дав.

І з горкы біглы крашанкы качяты:
Була колысь на Паску в нас ігра.
У Рэвэнь йшлы і хлопцы і дывчята,
Збыгалася сюды вся дітвора.

А посля мы по гулыцы ходылы,
Обновкамы хвалылысь всім подряд,
Бо тылько раз у рік обновку шылы –
Із сітчыку у квыточкы наряд.

Вжэ выраслы і мы, і нашы діты…
Прогрэс дывуе гэтый новыні,
Шчо у Заліссі, як ныгдэ у світы,
Выртанне е у тыі давні дні.

ШЧЭ ЖЫВАЯ НАША ХАТА

Вжэ осэнь блудыть у гаях
І роскыдае павутынне.
Вступыла знов в свої права
*Посля жныва і посля Сплiння.**

І я ступаю на мосток,
Дэ вітром вэрбы колыхало.
Тут мій покынутый куток…
А рідных вжэ давно ны стало.

Тых вэрбув вітёр вжэ ны гнэ,
Ныхто ны варыть мні вычэры,
Ны прывічяють вжэ мынэ
На засовку закрыты двэры.

Алэ ж фіранкы, як колысь,
І шчэ жывэ, красуе хата,
Бо у дворі, дэ ны дывысь,
Всё зробляно рукамы брата.

Горідчык в полымні аргінь,
Шчо шчіро садыть братовая.
Хоть одыйшлы господарі,
А хата, дякуй Бог, жывая.

А чяс од чясу гомон тут
І сміх дытячый коло хаты,
То прыїзджяют в рідный кут
Мої плімяннікы внучяты.

Город доглэджяный стоїть,
Руплыво дбайнымы рукамы.
І сэрцэ мні ны так болыть:
Здаецца, шчо дэсь ходыть мама.

* СПЛІННЕ – Успение Пресвятой Богородицы

ПО МАМЫНЫХ СЛЫДАХ
Памяты моеі мамы

Вжэ мныго вэснув пролытіло
З тэі бысконцыі быды.
Сюды вырнулась, бо хотілось
Шукаты мамыны слыды.

Поріг самотою встрычяе,
Дожджямы вымытэ окно…
І біль засмучяного маю
Не гыне, хоть було давно.

В горідчыку цвытэ барвінок,
Розносыть пановія пах.
А мні всё бачыцца картіна:
Аргіня в мамыных руках.

І я доткнуся до лысточкув,
Хоть мныго чясу утыкло,
Одчую в мылому куточку
Од рідных, добрых рук тыпло.

І знов высна бушуе маём,
Чяруе цвітом у садах.
А я задумлыво ступаю,
Ходжу по мамыных слыдах.

Кодэркі з Орлі

Вывучаюць англійскую мову ды пазнаюць сакрэты камп'ютэрнага праграмавання. У Гміннай публічнай бібліятэцы ў Орлі ўжо ад двух гадоў дзейнічае Мяцовы Клуб Камп–ютэрнай Кадоўкі. Яго ўдзельнікі гэта старэйшыя людзі, якія хочуць пазнаёміцца з камп'ютэрам.

– У нас ёсць дзве групы –гаворыць **Карына Ярашэвіч** з бібліятэкі ў Орлі. Група старэйшая і малодшая. Вучымся, як праграмаваць, гуляем у розныя кампютэрныя гульні, вывучаем англійскую мову. Сустракаемся кожную пятніцу ў бібліятэцы. Гэта нагода не толькі працы з камп'ютарам але і размовы, супольна праведзены час. Мае жанчыны, як іх называем „кодеркі", многа ўжо навучыліся. І зараз, як прыязджаюць да іх унукі, могуць супольна гуляць, разумеюць камп'ютарны жаргон.

– Мы ужо старэйшыя жанчыны, не кожная з нас мае ў хаце камп'ютар і такія майстаркласы даюць нам магчымасць працы з ім – падкрэсліваюць удзельнікі. У бібліятэцы можам сустрэцца, навучыцца многаму, пасмяяцца ды супольна правесці час. Зараз вучымся, як праграмаваць, м.ін. зрабілі і гулялі з роботам „Finch", было многа смеху пры гэтым, пазнаем гульню Minecraft так, што можам гуляць ужо з нашымі ўнукамі. Ведаем, як зрабіць банкаўскі пераклад, як вышукваць патрэбныя інфармацыі. Для нас гэта вельмі карысна.

„Кодеркі" змабілізавалі сваю настаўніцу да ўдзелу ў конкурсе імя Olgi Rok для бібліятэкараў. Карына Ярашэвіч перамагла ў конкурсе. Камісія дацаніла яе за здольнасць мабілізаваць сябе і іншых у пошуках новых рашэнняў для пераадольвання стэрэатыпаў.

Сёння яе чытачы гавораць „бібліятекар – душы лекар", а невялікая бібліятэка стала кафэ, сталовай дыскатэкай, канцэртнай залай, спартыўнай залай, кангрэс-навуковай пляцоўкай для дзяцей і дарослых, месцам сустрэчы для ўсіх, незалежна ад узросту.

Анна Пятроўская
фота **аўтарка**





Przechody w 1915 r. Ogród wypoczynkowy przy kwaterze oddziałów armii niemieckiej. Pocztówka wysłana 29.07.1915 r., autor fotografii nieznany, ze zbiorów Stanisława Niedziółko

Na przedpolu Twierdzy Osowiec

Tam gdie miru koniec stoit kriepost' Osowiec, tam strasznieszyje bołota, Niemcom liezt' w nich nieochota – śpiewali obrońcy położonej w odległości 55 km od Białegostoku, w zwężeniu bagien biebrzańskich, rosyjskiej twierdzy w Osowcu, która, nigdy nie zdobyta, bywa nazywana wschodnim Verdun. Ale że znajdowała się nie opodal, bo zaledwie 23 km od pruskiej granicy, jej nie najliczniejszy garnizon musiał stawić czoła wojskom niemieckim już we wrześniu 1914 roku. Po kilku dniach ciężkich walk z udziałem czterdziestu batalionów niemieckiej piechoty, wspartej sześćdziesięcioma ciężkimi działami kalibru do 203 mm, Niemcy musieli odstąpić. Oblężenie twierdzy rozpoczęło się w styczniu 1915 roku, szturm czterdziestu batalionów piechoty, wsparty ogniem 68 dział, 3 lutego. W połowie miesiąca optymizm Niemców wciąż nie opuszczał, ogromne nadzieje pokładali w „grubych Bertach", olbrzymich moździerzach kalibru 420 mm. Siały ogromne zniszczenie – jeden 800-kilogramowy pocisk „grubej Berty" pozostawiał wyrwę o głębokości 4-5 i średnicy 12-15 metrów. Wydawało się, że przy takim ostrzale Rosjanie poddadzą się po dobie, góra dwóch. O przetrzymanie chociażby 48 godzin prosi ich sztab generalny. Bo to, że twierdza wytrzyma jeszcze pół roku, nikomu nie mieści się w głowie. A jednak.

Gdy obrońcom udaje się zniszczyć aż dwie „Berty", Niemcy pozostałe wycofują. Wkrótce dochodzą katastroficzne wieści z innych pól walki. Armia rosyjska ponosi klęskę zarówno w Prusach, jak i w Galicji. Osowiec wciąż trwa.

6 sierpnia 1915 roku Niemcy przepuszczają trzeci atak, z użyciem gazu. Ciemnozielona mieszanka chloru i bromu o wysokości 12-15 metrów i szerokości ośmiu kilometrów przemierzyła prawie 20 kilometrów. Masek gazowych obrońcy nie mieli.

Ale mimo dużych strat żołnierze armii rosyjskiej się nie poddali. Niemcy odstępują od twierdzy. Ale jej dalsza obrona, po przerwaniu linii frontu, staje się też bezsensowna. W drugiej połowie sierpnia rozpoczyna się ewakuacja garnizonu. Część broni udaje się wywieźć do Białegostoku, ale wkrótce to połączenie zostaje przerwane. W końcu sierpnia saperzy wysadzają resztę uzbrojenia w powietrze.

O ile sama twierdza i przebieg walk zostały dokładnie zbadane i opisane (tu wymienić należy dwie polskie monografie – Anatola Wapy „Twierdza Osowiec" i Bogusława Perzyka „Twierdza Osowiec 1882 -1915), o tyle na przedpola twierdzy archeologowie weszli kilka lat temu po raz pierwszy. Projekt finansowany był przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Komisję Europejską w ramach programu Heritage Plus.

A o efektach pracy archeologów opowiedział na spotkaniu z członkami Stowarzyszenia Ruś dr hab. **Maciej Karczewski** z Uniwersytetu w Białymstoku. Podkreślił, że przedpole twierdzy pełne jest śladów po I wojnie światowej. To dobrze już znany system okopów, ślady umocnień polowych, odkryte zaplecze logistyczne, miejsca pamięci – cmentarze, mogiły wojenne i pomniki.

Niemcy, przygotowując się do oblężenia twierdzy, położyli tory, którymi dostarczali nie tylko jedzenie i broń (w tym także składane już w Osowcu „grube Berty"), ale też np. kafle do pieców instalowanych w ziemiankach. Zdawali sobie bowiem sprawę, że oblężenie twierdzy potrwa, żołnierze musieli więc gdzieś mieszkać. Dowództwo zajmowało opuszczone już jesienią 1914 roku całe wioski, a w lasach między Sośnią, Sojczynkiem, Białaszewem i Wólką Brzozową wybudowało specjalne kwatery, tzw. Leśne miasto, z ziemiankami dla żołnierzy i kadry oficerskiej, studniami artezyjskimi, ogrodami wypoczynkowymi czy kasynami oficerskimi. Żołnierze swoje ziemianki dowcipnie nazywali willami, nadawali nazwy placom (był więc Kaiser - Wilhelm Platz) czy ulicom

Włodzimierzowi Koperkiewiczowi odznaczenie wręcza konsul Julia Rabtsun

(Hindenburgstrase). Domy, w których mieściły się sztaby, przyozdabiano. W sumie archeologom udało się zlokalizować pozostałości po kilku tysiącach leśnych budynków.

Podczas walk związanych z oblężeniem Twierdzy Osowiec grzebaniem poległych żołnierzy zajmowały się obie strony – zabierały je z ziemi niczyjej w czasie przerw w działaniach zbrojnych. Pierwsze groby wojenne pojawiły się tutaj już we wrześniu 1914 roku.

Armia rosyjska grzebała swoich żołnierzy na cmentarzu garnizonowym pod wsią Hornostaje, oraz, prawdopodobnie, na cmentarzu garnizonowym, założonym na południowy wschód od Fortu Szwedzkiego.

Po wycofaniu się wojsk rosyjskich Niemcy rozpoczęli dobrze zorganizowaną akcję ekshumacji i komasacji pochówków na starannie zaplanowanych cmentarzach. Prawdopodobnie każdy cmentarz, powstający na terenie państwa niemieckiego, posiadał dokumentację projektową albo przynajmniej szkice. Szczegółowe instrukcje informowały o wyglądzie i rozplanowaniu miejsc spoczynku, nagrobków, pomników, drobnej architekury, zieleni wysokiej i niskiej. Opisywano nawet krój czcionki zalecanej do wykonywania inskrypcji, wielkość liter oraz narzędzia, którymi powinny być wykonywane napisy.

Cmentarze armii niemieckiej w okolicach nadbiebrzańskich zakładane były na planie prostokąta, którego przestrzeń wypełniały groby pojedyncze albo długie i wąskie mogiły, kryjące szczątki poległych, ułożone „ramię w ramię”.

Żołnierzy armii rosyjskiej Niemcy grzebali w zbiorowych mogiłach przykrytych wysokim kopcem – w tumulusach. Na ich szczycie stawiali prawosławne krzyże z napisami w języku niemieckim. Żołnierze wielonarodowej armii rosyjskiej spoczywają na terenie twierdzy Osowiec, także na cmentarzach w Hornostajach, Białogrądach i Białaszewie, Sośnie, żołnierze też wielonarodowej armii niemieckiej – na cmentarzach w Rudzie, Ciemnoszyjach, Lipińskich, Białaszewie, Sojczynku, Grajewie.

Losy tych miejsc pamięci to losy pamięci o Wielkiej Wojnie. Dokładniej przeczytać o nich można w rzetelnej, napisanej w sposób przystępny, książce **Małgorzaty** i **Macieja Karczewskich** „Pro Patria. Miejsca pamięci I wojny światowej na przedpolu Twierdzy Osowiec” (Białystok 2015).

– To bardzo dobrze, że nasi historycy zainteresowali się tym, co działo się tutaj, na naszych ziemiach – powiedział prof. **Anatol Odzijewicz**, przewodniczący Stowarzyszenia Ruś, serdecznie dziękując za spotkanie.

Ałła Matreńczyk
fot. **z książki Małgorzaty i Macieja Karczewskich** ***Pro Patria. Miejsca pamięci I wojny światowej na przedpolu Twierdzy Osowiec***

Odznaczenie z Ukrainy

„Odznakę pamięci” za odnajdywanie i opiekę nad mogiłami ukraińskich żołnierzy przyznał bliskiemu współpracownikowi Przeglądu Prawosławnego, kpt. lot. **Włodzimierzowi „Koper” Koperkiewiczowi**, minister Obrony Ukrainy. Uroczystość wręczenia, z udziałem władz miasta, powiatu, lokalnych mediów, odbyła się w Muzeum Regionalnym w Opocznie.

Odznakę wręczyła przedstawicielka konsulatu honorowego Ukrainy w Łodzi, **Julia Rabtsun**. – Jest mi bardzo miło poznać tak wspaniałą osobę – mówiła podczas uroczystości. – W imieniu narodu ukraińskiego chciałabym serdecznie podziękować za wykonaną pracę, życząc jednocześnie zdrowia i chęci do opowiadania tak wspaniałych historii oraz wielu młodych słuchaczy.

Włodzimierz Koperkiewicz, przyjmując odznaczenie, życzył szybkiego zakończenie konfliktu zbrojnego na wschodzie Ukrainy, a całemu krajowi pokoju i ekonomicznej prosperity.

Przypomniał też o swoich związkach ze Wschodem – jego ojciec, nim przyjechał do Polski, służył jako artylerzysta w twierdzy Sewastopol.

Włodzimierz „Koper” Koperkiewcz jest emerytowanym wojskowym, członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, współzałożycielem i przewodnikiem Muzeum Regionalnego w Opocznie, społecznym strażnikiem miejsc pamięci narodowej, który od wielu lat broni wojskowych cmentarzy i niestrudzenie odszukuje żołnierskie pochówki.

Za swoją pracę społeczną był już niejednokrotnie nagradzany, m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, ukraińskim orderem „Za zasługi” III stopnia, orderem św. Nestora Letopisca, orderem św. Marii Magdaleny.

Panu Włodzimierzowi serdecznie gratulujemy!





Непрафесійнае мастацтва гайнаўскай зямлі

Гэта нагода паказаць сваю творчасць ды пагутарыць пра мастацтва. У Гайнаўскім Доме Культуры прайшло падвядзенне вынікаў 24 „Агляду непрафесійнага мастацтва гайнаўскай зямлі". Можна было пабачыць самародную творчасць мастакоў, разьбяроў ды графікаў.



– Агляд зяўляецца важнай падзеяй для непрафесійных мастакоў – гаворыць жыхар Гайнаўкі **Уладзімір Петрочук**. – Шмат людзей прыйшло, цікавяцца працамі а гайнаўскія мастакі могуць запрэзентавацца.

– Я прымаю ўдзел кожны год – гаворыць **Мікалай Яноўскі** са Старога Бэрэзова. – Сёлета намаляваў пушчанскія краявіды. Гэта мае зацікаўленне, малюю для сябе. Хаця здольнасці былі ад дзяцінства, пачаў толькі будучы на пенсіі. І на сакральную тэму раблю, і партрэты здараюцца. Думаю, што такія агляды вельмі патрэбныя. Можам пабачыць як іншыя займаюцца мастацтвам, што малююць, якая разьба, якія тэмы працаў, параўняць. Мы ж не прафесіяналы, але ўзровень агляду высокі.

– Я тут запрэзентаваў разьбу па дрэве – гаворыць **Мікалай Корх** з Краськоўшчыны. – Ужо шмат гадоў прымаю ўдзел ў гэтым гайнаўскім аглядзе. Маім натхненнем зяўляюцца жанчыны, люблю займацца разьбою па дрэве ды рабіць скульптуры з каранёў дрэў.

– Маем у нашым аглядзе некалькі катэгорыяў – гаворыць дырэктар Гайнаўскага Дома Культуры **Расціслаў Кунцэвіч**. – Жывапіс, скульптура, малюнак і графіка ды працы людзей з абмежаванымі магчымасцямі. Бачым тут шмат мастакоў, якія кожны год прымаюць удзел, але і новыя асобы. Працы ёсць рознага накірунку і цікавыя тэмы, не толькі прырода ці краявіды. Агляд дае кожнаму магчымасць паказаць сябе, паспрабаваць сваіх сілаў. Усяго маем каля 80 прац 29 мастакоў. Гэта нас, як арганізатараў, цешыць.

Першую ўзнагароду ў катэгорыі „скульптура" атрымаў **Славамір Смыка** з Кляшчэляў. – Чалавек заўсёды шукае чагосьці. Я працую з камнем. Я хачу, каб з маімі творамі знаёміліся не толькі вачыма, але і праз дотык – гаворыць Славамір Смыка

– На гэты агляд я падрыхтаваў некалькі малюнкаў матацыкляў, якія выпаліў у дрэве – гаворыць **Яраслаў Студзінскі**. – Матацыклі – маё зацікаўленне, знаю ўсе іх маркі і цікавінкі. Тут я і выпаліў некалькі працаў, м.ін. Chopper, Indian і Harley. Добра, што ў Гайнаўцы ёсць такія агляды. Можна паказаць свае працы, пабачыць іншых непрафесійных мастакоў, пагутарыць пра мастацтва.

– Усё жыццё займаюся агародам – гаворыць **Францішка Каліноўская**, якая падрыхтавала працы з засушаных кветак. – Тут прэзентую трыпціх „Хвіліны стракозы", агарод і кветкі зяўляюцца маім натхненнем. Скажу Вам адну цытату, якая найлепш аддае любоў да працы ў агародзе. „Калі хочаце быць шчаслівым адзін дзень – напівайцеся. Калі хочаце быць шчаслівым на працягу года – выйдзіце замуж. Калі хочаце ўсё жыццё, каб быць шчаслівым – стварыце сабе агарод".

У катэгорыі „жывапіс" першую ўзнагароду атрымаў **Дарыюш Вашчынскі** з Белавежы. У катэгорыі „малюнак і графіка" – **Януш Кулеша** з Гайнаўкі. Выстава 24-га „Агляду непрафесійнага мастацтва гайнаўскай зямлі" працуе ў Гайнаўскім доме культуры да 20 студзеня 2018 года.

Анна Домань
фота **аўтарка**



Тапонімы арлянскай зямлі

Хочуць захаваць для нашчадкаў тапонімы арлянскай зямлі. Моладзь са школы ў Орлі супольна з Фондам EDM падвялі праект „Ахоўваем нашыя тапонімы”.

– Мы мелі чатыры вёскі, Тапчыкалы, Спічкі, Рудуты і Шэрне – гаворыць **Альжбета Цюлькевіч** з Фундацыі ЕДМ. – На роверах ездзілі ад вёскі да вёскі, мелі карты мясцовасцей і пыталіся людзей пра старыя назвы палёў, дарог, лясоў ці месцаў. На картах зазначалі тыя назвы. Моладзь запісвала, як мясцовыя жыхары іх вымаўляюць, а пасля мы апрацоўвалі іх.

„Ахоўваем нашыя тапонімы” гэта праект, накіраваны на інтэграцыю некалькіх пакаленняў жыхароў арлянскай гміны вакол архівізацыі тапонімаў, у агульным значэнні назваў мясцінаў.

– Я вельмі задаволеная, што прымала ўдзел у гэтым праекце – гаворыць **Аляксандра Рагоза**. – Шмат даведалася ад жыхароў. Прыемна было пазнаваць і людзей і тапонімы, была супольная інтэграцыя.

– Такі праект патрэбны, паколькі найстарэйшыя жыхары адыходзяць, а мы, маладыя, не заўсёды тапонімамі цікавімся – гаворыць **Марлена Каліна**. – Тапчыкалы гэта мая родная вёска, частку тапонімаў я ведала, не спадзявалася, што так многа іх ёсць.

У кожнай вёсцы даследчыкі запісвалі ад 40 да 50 тапонімаў.

– Тапонімы гэта ўласныя назовы палёў, дарог, лясоў ці дрэваў – гаворыць **Дар’юш Городэцкі** з Фундацыі EDM. – Іх не знойдзем на картах. Там ёсць назовы вёсак ці гарадкоў, азёраў а тапонімы жывуць толькі ў гутарцы людзей. Адыходзяць з жыцця найстарэйшыя жыхары а разам з імі і тапонімы. Мы хацелі запісаць гэта, вывучыць і захаваць для нашчадкаў.

Тапонімы гэта моўныя памяткі мінуўшчыны, у якіх увасоблены жыццё і быт народа, сацыяльныя ўмовы былых часоў. Яны з’яўляюцца своеасаблівым люстрам жыцця і культуры народа, яго гісторыі. У сваёй большасці тапанімічныя назвы нясуць каштоўную краязнаўчую інфармацыю, бо яны могуць сведчыць пра засяленне краю ў далёкім мінулым, пра былы ландшафт і яго змены, пра культурнагістарычныя працэсы асобнай мясцовасці або цэлага рэгіёна.

Анна Домань, фота **аўтарка**



Падвядзенне праекту у Тапчыкалах

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie

Pomagamy parafii w Orzyszu

Przez cały ubiegły rok towarzyszyły nam rocznicowe wspomnienia tragicznej w skutkach Akcji Wisła. Odbywały się wystawy, prezentacje, pojawiały się publikacje. Od wysiedlenia ponad stu tysięcy Ukraińców i Łemków na ziemie zachodnie i północne minęło 70 lat, między nami jednak wciąż żyją ludzie, którzy doświadczyli tej tragedii. To nasi bracia i siostry z prawosławnych parafii diecezji wrocławsko-szczecińskiej oraz północnej części diecezji białostocko-gdańskiej. Większość tych wspólnot powstała w następstwie Akcji Wisła.



Na wspólną modlitwę gromadziły się one w opuszczonych kościołach protestanckich, przystosowując je z czasem do potrzeb cerkiewnych nabożeństw.

Te niewielkie wspólnoty od początku funkcjonowały w bardzo trudnych warunkach, ich członkowie byli zastraszeni i rozproszeni po wielu wsiach i miasteczkach. Na niedzielną czy świąteczną Liturgię musieli jechać nawet kilka godzin. W wielu przypadkach jeden duchowny opiekował się dwoma albo nawet trzema takimi parafiami, więc nabożeństwa nie mogły być sprawowane często i regularnie. Mimo takich trudności parafie te przetrwały, ale wiele z nich nie jest już w stanie funkcjonować samodzielnie. Liczba wiernych drastycznie zmalała. Wielu młodych wyjechało. Co prawda otrzymują one regularne wsparcie od niektórych większych parafii na Białostocczyźnie, ale to pomoc jedynie doraźna i zdecydowanie niewystarczająca.

W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się mała parafia w Orzyszu. Ostatnio opiekowali się nią duchowni z Ełku, Wojnowa albo Mrągowa. Obecnie liczy zaledwie 28 wiernych.



W tym roku cała parafialna rodzina cieszyła się z pierwszego od dwudziestu lat chrztu dziecka. Nowy opiekun parafian z Orzysza, o. **Jarosław Kupryjaniuk** z parafii św. Jerzego w Mrągowie, nie zdołał dowiedzieć się, kiedy zdarzył się tu ostatni ślub cerkiewny. Latem nabożeństwa odbywają się dwa razy w miesiącu, zimą tylko raz, zawsze w soboty. Na nabożeństwa przychodzi od trzech do dziesięciu osób.

Cerkiew w Orzyszu urządzona jest na parterze piętrowego budynku. Na piętrze, nad świątynią, znajduje się mieszkanie, które niegdyś służyło protestanckiemu pastorowi i jego rodzinie. Swego czasu mieszkanie pozostawało w zarządzie mienia komunalnego, a obecnie wraz z okalającą budynek działką jest prywatną własnością. Budynek pilnie wymaga remontu kominów, dachu, sufitów i podłogi, jednak nie można go rozpocząć bez zgody współwłaścicieli, którzy nie są nim zainteresowani, bowiem mieszkanie z działką wystawili na sprzedaż.

Najlepszym dla parafii rozwiązaniem byłoby wykupienie tego mieszkania. Umożliwiłoby to rozpoczęcie niezbędnych prac remontowych i uporządkowanie bardzo zaniedbanej działki, której wygląd źle świadczy o jej dotychczasowych właścicielach. Wykupienie tej działki umożliwiłoby im w końcu wyjście na zewnątrz i obejście świątyni liturgicznym *krestnym chodom*.

Wykupione, wyremontowane mieszkanie w centrum miasta można by np. udostępnić pod wynajem i w ten sposób zapewnić stały dopływ

środków na utrzymanie świątyni i zaspokojenie podstawowych potrzeb parafialnej wspólnoty.

Garstka parafian nie jest w stanie wykupić mieszkania z działką, wycenionego na 55 tys. zł. Jeszcze większe środki są potrzebne na przeprowadzenie remontu świątyni.

Dlatego też tegoroczną odsłonę akcji „Wspólne dzieło" postanowiliśmy, z błogosławieństwa arcybiskupa białostockiego i gdańskiego **Jakuba**, poświęcić parafii w Orzyszu.Wcześniejsze edycje, przeprowadzone na potrzeby monasterów w Supraślu, Zwierkach i Wojnowie, dają nadzieję, że uda się zebrać niezbędną kwotę i cerkiew w Orzyszu przetrwa.

Podobnie jak w ubiegłych latach „Wspólne dzieło" zostanie przeprowadzone w czasie, gdy duchowni odwiedzają domy parafian z modlitwą i wodą święconą. We wszystkich prawosławnych domach kapłani pozostawią informator z przekazem pocztowym „Wspólnego dzieła". Wystarczy w odpowiednim miejscu wpisać kwotę ofiary, na odwrocie podać imiona ofiarodawców i dokonać wpłaty. We „Wspólnym dziele" na rzecz wspomnianych monasterów uczestniczyło od 4,2 do ponad 20 tys. ofiarodawców. Ich ofiary to kwoty od 230 do ponad 500 tys. złotych.

Jeśli do 18 lutego 2018 roku każda prawosławna rodzina prześle w ten sposób niewielką nawet ofiarę, z pewnością zgromadzimy kwotę potrzebną cerkwi w Orzyszu.

o. Włodzimierz Misijuk

Ofiary na cerkiew św. Jerzego w Orzyszu można już teraz przekazywać na rachunek bankowy:

Parafia Przemienienia Pańskiego w Mrągowie, ul. Roosevelta 3, 11-700 Mrągowo, BS Mikołajki, Filia Nr 1 w Mrągowie, nr konta: 31 9350 0001 0215 0329 5002 0106

o. Jarosław Kupryjaniuk
proboszcz parafii Świętego Wielkomęczennika Jerzego Zwycięzcy w Orzyszu

W dalekim kraju

W małej, drewnianej cerkwi, pamiętającej czasy carskie, zgarbiona wiekiem staruszka, poruszająca się z trudem o lasce, stawia świeczkę przed ikoną Przeczystej Bogarodzicy. Może to już po raz ostatni modlę się za syna – przychodzi jej do głowy smutna myśl. Jakże dawno go utraciła. Z cichym westchnieniem czyni trzykrotny znak krzyża:

– *Pomjani Hospodi duszu raba twojego, pokojnogo Jurija.*

Pora poprosić ojca Mikołaja o odprawienie panichidy. Która to będzie rocznica? Nie pamięta, wszystkie lata zlały się w jedno wielkie, tęskne oczekiwanie. Na co? Nie wiadomo.

Dopóki rządził Stalin, oczekiwała powrotu syna. Myślała – stanie się cud! Zobaczy go na rodzinnym progu i usłyszy tylko jedno słowo: – Mamo!

Nie stał się cud, nie wrócił.

Za Chruszczowa przywykła już do nieobecności Juroczki. Raz czy dwa, nie więcej, zobaczyła go we śnie, jakoś tak niewyraźnie, wyglądał jak cały utkany z mgły. Przyszły czasy Breżniewa – podupadała na zdrowiu, a pracować w kołchozie, wiadomo, trzeba, jak to ludzie mówią, świątek czy piątek.

Sama była na tym świecie, gdzie tylko choroby, smutek, wzdychanie i życie takie krótkie. Dawniej władza mówiła:

– Bądźcie cierpliwi, przyjdzie świetlana przyszłość!

Nie przyszła, chociaż przez tyle lat ją obiecywali. Później władza też przestała o tym mówić. Znikąd nie było pocieszenia.

Męża zabrali jeszcze przed wielką wojną. Przyszli w nocy, kolbami rewolwerów załomotali w drzwi:

– *Sobirajties' z wieszczami!*

Nie pozwolili nawet się pożegnać. Więcej go nie zobaczyła. Dzień aresztowania pozostał w jej pamięci tak samo żywy, jak dzień ślubu.

Jacy byli oboje uroczyści i szczęśliwi, kiedy szli zapisać się w Urzędzie. Było z nimi jeszcze tylko dwóch świadków, kolegów męża z wojska. Formalności trwały krótko. Ważna Urzędowa Osoba ogłosiła i mężem i żoną, chociaż oni już dawno przecież nimi byli. Wyszli, popili w domu trochę samogonu, zakąski nie mieli zbyt dużo. *Wot i wsio!*

Cerkiew, pamięta, już wtedy była zamknięta, przez dziurawy dach deszcze wlewały się bez przeszkód do środka. Nawet nie pomyśleli o ślubie w cerkwi, takim uroczystym jak za cara, z koronami. Zresztą nawet nie mieliby w co się ubrać. Bieda była w całym Związku Radzieckim.

Ciężkie było sowieckie życie, lecz przecież wszyscy wokół żyli tak samo, nie było łatwo, a nikt nie narzekał na los. Najgorzej było za Gorbaczowa. Pierwszy raz ogarnął ją strach o losy ojczyzny. Jak rozwali się Związek Radziecki, kto będzie nam płacił emerytury? Po raz pierwszy, właśnie wtedy, zaczęła się modlić za bezbożne władze, oby tylko przetrwały.

Lubiła wspominać czasy roześmianej młodości. Wtedy wszystko cieszyło. Zaczęła pracować w kołchozie, tutaj poznała swojego męża, przyszedł właśnie z wojska. Wszędzie wtedy wisiały portrety towarzysza Stalina.

Jak galopuje uciekający czas, coraz trudniej złapać oddech. Co się z człowiekiem porobiło? Wydaje się jej jakby dopiero wczoraj pożegnała syna, dając mu z płaczem małą metalową ikonkę. Chroniła ona podczas wojny, tej wcześniejszej, pierwszej, jej ojca. Chciała, żeby i on ją nosił, chociaż sama wówczas nie była jeszcze wierząca, no może nie tak do końca. Niezupełnie wierzyła też w towarzysza Stalina. Wydawał się jej groźny na tych wszystkich portretach. Od dzieciństwa nie ufała ludziom z Kaukazu, mieli opinię podstępnych wrogów Rosjan, udających przyjaciół. Już po jego śmierci słyszała, jak ludzie nazywają go Ludojadem.

Chciała przy pożegnaniu wcisnąć w rękę synowi ikonkę. Juroczka tylko się zaśmiał:

– Mamoczka! Chłopcy się będą ze mnie śmiać. Przecież wiesz – Boga nie ma i nigdy nie było. Jakby był, partia by przed nami tego nie ukrywała.

Nie wziął ikonki. Jaka szkoda. Mógł ją gdzieś schować, tak żeby nikt nie zobaczył, chociażby zawinąć w onuce. Może by wtedy powrócił? Nie ma już łez, żeby płakać, wypłakała wszystkie przez tak długie lata. Nie powrócił z wojny jej syn, nie powrócił Juroczka kochany, jedyny.



Napisali jej urzędowe pismo. Zginął gdzieś w Polsce, daleko na zachodzie, po drodze do Germanii. Nie umiała sobie wyobrazić tamtego kraju. *Polsza – czto takoje Polsza?* Czy rosną tam takie brzozy, jak u nas?

Mówiono jej tylko:

– Tam wielka bieda panuje. Polakom nie chce się pracować, buntują się, strajkują. Ze Związku Radzieckiego trzeba im chleb przywozić, żeby ich dzieci miały co jeść, z głodu nie poumierały.

U nas cóż, skromnie, ale nikt nie narzeka. Tylko dlaczego my musimy wszystkich karmić – Kubańczyków, Wietnamczyków, Polaków? Mało tego, amerykańscy imperialiści chcieliby nas zniszczyć tylko dlatego, że miłujemy pokój. Co za świat! Dobrze że istnieje Związek Radziecki, inaczej by już dawno ten świat zginął z głodu.

Jej syn spoczywa daleko, w obcej ziemi. Nie wiadomo, czy ma chociaż bezimienną mogiłę?

Mówili jej znający świat: – Polacy nas, Russkich, nie lubią!

Może tam daleko ktoś przyjdzie na jego grób, chociaż i bezimienny.

Gdyby tylko wiedziała, gdzie zginął, na piechotę by tam poszła, mogiłę odnalazła, cerkiewną świeczkę na niej zapaliła.

Mówili jej:

– Polacy straszni ludzie, od Kałmuków gorsi, znacznie gorsi. Pomniki naszych bohaterów faszyści wyrzucają, Amerykanom się wysługują, tacy niby Słowianie. Z nami powinni trzymać się razem przeciwko zachodowi. Myśmy ich wyzwolili, a oni patrzcie, jak nam odpłacają.

Słyszała też, chociaż nie bardzo mogła uwierzyć: – Polaki na Moskwę nawet napadli, naszego patriarchę ubili!

Kiedy się to wydarzyło, nikt nie wie. Dawno, dawno temu, pewnie jeszcze za cara Mikołaja. Jeden taki, co był kiedyś nauczycielem w szkole, mówił jej nawet, że Polacy dwa razy byli zdobywcami na Kremlu. Z Napoleonem też przyszli, faszyści, łupić i gnębić russką ziemię, palić, mordować i gwałcić. Od Tatarów gorsi, nie mówcie mi nawet o nich.

Nie wierzyła mu zupełnie. Wódkę za bardzo lubił i nie wiedział, co mówi. Jakże to możliwe, żebyśmy pozwolili Polakom zająć Kreml? Do tego jeszcze dwa razy? Chyba mu się coś pomieszało, stanowczo za dużo pije. Za to go i ze szkoły wyrzucili. Nie dziwota, jak dzieciom takie głupoty o Polakach i Napoleonie opowiadał.

Inni ludzie, co z nie jednej miski kaszę jedli, też o Polakach źle mówili:

– My ich karmimy, a ani naszą rękę kąsają.

Czasem stara kobieta myśli sobie tak: – Mój syn doszedł do samego Berlina, tam Gitlera ubił i padł zastrzelony w ostatnim dniu wielkiej wojny jako radziecki bohater.

Kiedyś przy spowiedzi ojciec Mikołaj ją pocieszał:

– Polacy to chrześcijanie, nie bójcie się, oni mogiły waszego dziecka nie ukrzywdzą, gdyż tak chrześcijanie po prostu nie czynią. Nie bójcie się!

Modli się za syna co wieczór. Teraz dobrze, można mieć w domu ikony, nie trzeba ich ukrywać. Pamięta, jak jej babcia ikonę na dnie kufra chowała. Mówiła jej:

– Jakby przyszli i znaleźli, wszyscy na Sybir pójdziemy! Żebyś tylko nikomu o nich nie mówiła.

Skoro tak były niebezpieczne, po co je w domu trzymała? Sąsiedzi już dawno na podpałkę do pieca je włożyli – myślała jako młoda dziewczyna, cerkwie teraz otwierają, nowe budują. Władza już nie mówi:

– Nie ma Boga, bo nie ma!

Pewnie sami stracili tę swoją pewność niewiary.

Kiedy była młoda, ludzie wierzyli w towarzysza Józefa Wissarionowicza Stalina. Wydawał się wszechmocny. Nagle, nieoczekiwanie, umarł, tak po prostu, zwyczajnie, jak każdy człowiek. Płacz był wielki w całym Związku Radzieckim. Podobno nawet ludzie zamknięci w łagrach płakali. Pozostali samotni i opuszczeni. Wtedy niektórzy przypomnieli sobie o starym Bogu, jakiego czciły pokolenia przed nimi.

Jeszcze jeden pamiętny dzień w jej życiu – przyjście do cerkwi. Jak dziwnie się wtedy czuła, patrząc na ikony. Chłonęła wszystko, co widziała i słyszała, chociaż właściwie niczego nie rozumiała. Czuła się szczęśliwa, jakby całą dusza modliła się samą swoją obecnością w tym miejscu, trochę dziwnym i pięknym zarazem. W całym swoim dotychczasowym życiu nie doświadczyła niczego, co

O. Andrzej Lewczak i Anna Radziukiewicz odbierają honorowe hramoty z rąk ambasadora Aleksandra Awierianowa





można by z tym porównać. Z cerkwi nie chciało się wychodzić.

Kilka lat upłynęło, zanim podeszła do batiuszki, prosząc o spowiedź. Pierwsze o co ją spytał:

– Czy jesteś ochrzczona?

Mogła odpowiedzieć, że tak, gdyż matka na łożu śmierci jej wyznała:

– Pamiętaj, jesteś ochrzczona! Zrobiłam to sama zaraz po twoim urodzeniu.

Od tamtej pory, od kiedy zaczęła chodzić do cerkwi, nie było jednego dnia, żeby nie modliła się za syna. Obrazy z przeszłości zlewają się ze sobą. Widzi go, jak na czworakach biega po podłodze, tak szybko jak tylko może. Jakby bał się, że nie zdąży nacieszyć się życiem. Pierwsze zdjęcie, jakie mu zrobiono, miał wtedy zaledwie kilka latek, fotograf dla lepszego efektu włożył mu na główkę wojskową furażerkę z czerwoną gwiazdą. Proroctwo jakie czy co? Nie on jeden nie powrócił z wojny. Sąsiadka, stara Jewdochia, straciła na froncie czterech synów i męża.

Jaki byłby dzisiaj? Jak by wyglądał, gdyby powrócił z wojny? Nie potrafi wyobrazić go sobie jako człowieka dorosłego. Z przeszłości wyłania się postać niedorostka, dzieciaka niemal jeszcze. Zawsze uśmiechnięty. Takim był, takiego go zapamiętała. Nigdy nie widziała go smutnego. Dzisiaj miałby kto się nią opiekować w starości. Doczekałaby gromadki roześmianych jak on wnuków, a i pewno prawnuków, podobnych do niego. Pozostanie tylko w jej wspomnieniach na zawsze przekornie młody.

Jakże smutno myśleć o tamtym dalekim obcym kraju, gdzie syn nie ma nawet swojej mogiły, chociaż zginął jak bohater. Coraz trudniej pójść do cerkwi. Nawet dzisiaj ciężko się zasapała, kiedy chciała w domu zapalić łampadkę przed ikoną. Chyba niedługo skończy się czas rozłąki. Przysiadła na ławeczce przy cerkwi.

Kiedy ojciec Mikołaj wychodził z cerkwi, zobaczył siedzącą, zgarbioną staruszkę, a na jej stygnącej twarzy malował się nieziemski uśmiech szczęścia.

Tadeusz Wyszomirski

Uhonorowanie Białorusinów

Ambasador Republiki Białoruś w Rzeczypospolitej **Aleksander Awierianow** wraz z małżonką **Eleną** zaprosił przedstawicieli służb dyplomatycznych różnych krajów, polskiego rządu, biznesu, stowarzyszeń, współpracujących z Białorusią, na spotkanie, które odbyło się w Warszawie w Głównej Bibliotece Rolniczej. Dyplomata podkreślił, że w tym roku minęło 25 lat od nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Białorusią, a rok obfitował w szereg wydarzeń kulturalnych i gospodarczych, sprzyjających zbliżeniu obu krajów. Życzył, aby nadchodzący rok był dobry, a święta Narodzenia Chrystusa radosne.

Ambasador wręczył podczas wieczoru **Annie Radziukiewicz** *honorową hramotę*, podpisaną przez ministra spraw zagranicznych Białorusi oraz podziękowanie od ministra edukacji za wieloletnią pracę przy redagowaniu podręczników do nauki białoruskiego języka, literatury i kultury oraz historii i geografii.

Dr o. **Andrzej Lewczak**, dyrektor Prawosławnego Centrum Kultury w Warszawie, otrzymał podziękowanie za współpracę, podpisane przez ambasadora Aleksandra Awierianowa.

Radosław Macijewicz otrzymał dyplom jako osoba, której prace plastyczne zostały pokazane podczas festiwalu sztuki Białorusinów świata we wrześniu 2017 roku. **(ecz)**

fot. **Eugeniusz Czykwin**



FUNDACJA OSTROGSKIEGO wykonuje składy komputerowe, projekty graficzne ulotek, plakatów, broszur, książek. Może również negocjować korzystną cenę druku. Informacje zainteresowani mogą uzyskać pod tel. 85 / 742 18 57 lub bezpośrednio w siedzibie Fundacji przy ul. Składowej 9 w Białymstoku.

ROCZNIKI PRZEGLĄDU OPRAWIAMY

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Ofertę kierujemy głównie do bibliotek, zwłaszcza parafialnych. Ale i prywatni czytelnicy mogą w ten sposób mieć uporządkowany zbiór Przeglądów. Zamówienia zbieramy przez cały rok. Zamówienie można przesłać na adres redakcji (ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, adres e-mail: redakcja@ przegladprawoslawny pl).

Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, o. Marek Ławreszuk, o. Włodzimierz Misijuk
Aleksander Naumow (Wenecja), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, o. Aleksy Petrovski
Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk-Stankiewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

„Przegląd Prawosławny" można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):

miesięczna: Polska 8,60 zł; Europa 16,00 zł, USA i Kanada 19,00 zł, Australia 19,00 zł; **kwartalna:** Polska 25,80 zł, Europa 48,00 zł, USA i Kanada 57,00 zł, Australia 57,00 zł; **półroczna:** Polska 51,60 zł, Europa 96,00 zł, USA i Kanada 114,00 zł, Australia 114,00 zł; **roczna:** Polska 103,20 zł, Europa 192,00 zł, USA i Kanada 228,00 zł, Australia 228,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

Wpłacający: ....

Zamawiam prenumeratę „Przeglądu Prawosławnego"

Podać okres prenumeraty:

Wpłata gotówkowa

FUNDACJA KS. OSTROGSKIEGO

ul. SKŁADOWA 9 15-399 BIAŁYSTOK

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

Prenumerata PP

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:

(opłata)

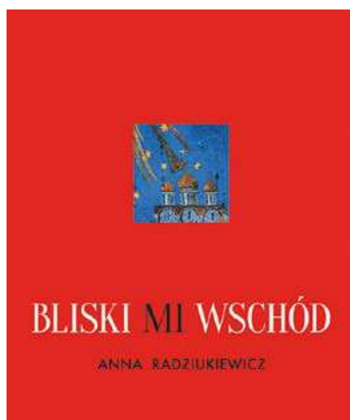
Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto:
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278
z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej"

E-wydanie Przeglądu Prawosławnego w prenumeracie

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie. Jak zaprenumerować e-wydanie? Wystarczy wpłacić odpowiednią kwotę na nasze konto (podane u góry), podać adres e-mailowy, a Przegląd w plikach PDF będziemy wysyłać zaraz po jego złożeniu.

Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego poleca



Po książce Anny Radziukiewicz „Na Wschód od Zachodu" (2008) ukazała się jej kolejna pozycja, owoc wielu podróży, lektur, rozmów i przemyśleń. To „Bliski mi Wschód", rzecz usiłująca zrozumieć wiele zjawisk, które kształtowały prawosławny Wschód. Jej rozdziały to m.in. Ruski, Rzym, Pytanie o Polskę, Nad Niemnem, Lament wiary greckiej, Napoleon i Serafim. To rozważania o historii, wierze i kulturze, o trwaniu na granicy dwóch światów – prawosławnego i rzymskokatolickiego. To rzecz dojrzała, frapująca, bogato ilustrowana. **Cena 1 egzemplarza (w tym 5% VAT) u wydawcy** – **45 zł**. **Cena 1 egz. (z wysyłką)** – **52 zł**, 2 egz. – 107 zł, 3 egz. – 152 zł, 4 egz. – 200 zł, 5 egz. – 245 zł, 6 egz. – 290 zł, 10 egz. – 475 zł.

Książkę można zamawiać poprzez wpłatę na konto wydawcy, Fundacji Ostrogskiego, z dopiskiem: „Bliski mi Wschód". Nr konta: **98 1240 5211 1111 0 010 3993 4278**.

Można też złożyć zamówienie telefonicznie i mailowo: wydawca: (85) 742 18 57, autorka: 510 278 970; e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl



O tym, z czego wynika atrakcyjność nabożeństw prawosławnych, o Rosyjskiej Madonnie, duchownych w oczach dzieci, o tym, że Bóg pomaga tam, gdzie ludzkich sił nie starczy, jakie odniesienia do życia codziennego możemy znaleźć w Biblii, o ważnych dla Cerkwi ludziach, żywoty świętych i ich przypowieści, informacje i ciekawostki z życia Cerkwi na świecie – wszystko to znajdziemy na kartach kalendarza na 2018 rok.
I jak zwykle czytania ewangeliczne na każdy dzień tygodnia, zaznaczone posty, najważniejsze święta, także parafialne.

Kalendarz można kupić w redakcji (Białystok, ul. Składowa 9) – **cena 6 zł (w tym 23% VAT)** lub wpłacając na konto Fundacji (98 1240 5211 1111 0010 3993 4278) – **cena 8,60 zł (z wysyłką)**.



Kim jesteśmy, skąd pochodzimy, dlaczego tak się nazywamy?

W odpowiedzi na te pytania może nam pomóc książka prof. Michała Kondratiuka „Nazwy geograficzne i osobowe Białostocczyzny". Prof. Michał Kondratiuk jest autorem ponad dwustu publikacji, w tym dziewięciu książek, dotyczących wielu zagadnień językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego. W książce znalazły się prace naukowe i popularnonaukowe, studia, artykuły, opracowania z zakresu toponimii i mikrotoponimii oraz antroponimii pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego. Pierwszy rozdział zawiera informacje o historii badanego terenu, jego osadnictwie, dziejach politycznych, drugi bada nazwy osobowe (imiona, nazwiska, przezwiska) Białostocczyzny, trzeci poświęcono nazwom miejscowym i terenowym badanego obszaru, ich powstaniu, historii, zmianom. **Cena u wydawcy 70 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 80 zł**



Eseje o trzech twórcach wielkiej literatury rosyjskiej – Dostojewskim, Gogolu i Tołstoju – i bohaterach ich utworów, zawsze w kontekście ich relacji z Bogiem, poszukiwania i odrzucania, dróg wiodących ku zatraceniu i zmartwychwstaiu. **Cena książki w wydawnictwie 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 13 zł**



NIEŚĆ POKÓJ, KOCHAĆ LUDZI. Arcybiskup Miron, ordynariusz wojskowy, władyka hajnowski, pierwszy ihumen monasteru w Supraślu po jego odrodzeniu, zginął w katastrofie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. O hierarsze mówią duchowni, politycy, dyplomaci, dziennikarze. W książce przedstawiono też dzieje prawosławnego duszpasterstwa polowego. **Cena 15 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 22,30 zł**



Kolędy na święta

O zespole „Stebło" już naszym czytelnikom opowiadaliśmy (PP 3/2017), gdy został laureatem konkursu Bożonarodzeniowe „Pieśni narodów świata" w ramach Patriarszego Międzynarodowego Festiwalu Pieśni Chrześcijańskiego Świata, który odbył się w styczniu 2017 roku w Moskwie. Wystąpił wówczas podczas koncertu galowego w Soborze Chrystusa Zbawiciela, w mieszczącej 1250 widzów sali cerkiewnych zebrań. Było to wielkie wyróżnienie dla zespołu, niezwykłe przeżycie dla każdego z jego członków.

Pięcioosobowy zespół, kierowany przez matuszkę **Annę Misiejuk**, tworzą **Patryk** i **Maryna Misiejuk**, **Jakub** i **Anastazja Szeremeta** i **Dominika Błahuszewska**, uczniowie i absolwenci szkoły im. Świętych Cyryla i Metodego w Białymsotku.

Zespół nagrał już płytę „Pokajanije" z utworami wielkopostnymi, a teraz postanowił utrwalić repertuar, zaprezentowany w Moskwie – szesnaście kolęd w różnych językach, w tradycyjnych oraz własnych opracowaniach.

Płytę można nabyć w Centrum Kultury Prawoslawnej w Białymstoku (ul. św. Mikołaja 5) i w parafiach.

Na święta w radiu i telewizji

Programy świąteczne TVP

2 stycznia – Program 2 TVP, godz. 6.30 – reportaż Katarzyny Popławskiej „Prawosławne kolędowanie"

7 stycznia – świąteczne wydanie programu „U źródeł wiary", godz. 19.30

8 stycznia – Program 2 TVP, godz. 11.50 – retransmisja Liturgii Bożego Narodzenia

8 stycznia – na antenie TVP 3 ta sama retransmisja o godz. 19.55

8 stycznia – świąteczne wydanie programu „U źródeł wiary", godz. 18.00.

Radio Białystok

6 stycznia w godzinach od 17 do 19 transmitować będzie nabożeństwo Bożonarodzeniowe z soboru św. Mikołaja w Białymstoku

Zaproszamy na spotkania z Anną Radziukiewicz

W SIEMIATYCZACH, w świetlicy parafii Zmartwychwstania Pańskiego, 29 grudnia, w piątek, o godz. 18

W SUPRAŚLU, 10 stycznia, we środę, w monasterze, po aktyście do Bogarodzicy, około godz. 18

ZBLIŻENIA

AGNIESZKA. Wdowa o młodym wyglądzie, ustabilizowana, pozna pana w wieku 64-70 lat, bez nałogów i zobowiązań. Tel. 737 332 956

ANDRZEJ. Lat 59, z Białegostoku, pracujący, bez zobowiązań, romantyk, pozna panią prawosławną, o miłej aparycji, z co najmniej średnim wykształceniem. Tel. 729 650 668

ANNA. Lat 66, kulturalna i odpowiedzialna, pozna pana wykształconego i niezależnego. Tel. 516 666 271

BIAŁOSTOCZANIN. 31 lat, pracujący, nie palący i nie pijący, szuka dziewczyny w wieku 25-31 lat na zapusty, sylwestra a może dłuższą znajomość. E-mail: adam-zz3@o2.pl

EMERYTKA, wykształcona i niezależna, pozna pana z Polski centralnej w wieku około 70 lat. Tel. 512 409 183

KAWALER, lat 32, niezależny, bez nałogów i zobowiązań, pozna prawosławną pannę w stosownym wieku, poważnie myślącą o założeniu rodziny. Tel. 577 342 558

NIEŚMIAŁA, atrakcyjna kobieta w wieku 45 lat, pozna pana w wieku 40-55 lat z Białegostoku w celu matrymonialnym. Tel. 576 262 899

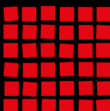
PANNA, lat 34, prawosławna, pozna prawosławnego kawalera lat 34-39, z wykształceniem wyższym, bez zobowiązań i nałogów, z powiatu hajnowskiego i powiatu bielskiego. Kontakt: poznam1000@wp.pl

PANNA, lat 45, domatorka, po studiach, pozna odpowiedzialnego i pracującego pana bez nałogów i zobowiązań, kawalera lub wdowca, w zbliżonym wieku, z co najmniej średnim wykształceniem, poważnie myślącego o życiu we dwoje, najchętniej z Bielska Podlaskiego, Hajnówki lub Siemiatycz. E-mail: powazna.znajomosc@onet.pl.

ROMAN, lat 61, niezależny finansowo. Poznam panią w podobnym wieku z możliwością zamieszkania u mnie. Nie odpowiadam na sms-y. Tel. 663 504 399

WDOWA, 54 lata, wysoka, pracująca, pozna pana bez nałogów i zobowiązań na dalszą część życia, najchętniej z Siemiatycz lub okolic. Tel. 725 889 618

FUNDACJA
IM. KSIĘCIA
KONSTANTEGO
OSTROGSKIEGO



WYDAWCA PRZEGLĄDU PRAWOSŁAWNEGO
FUNDACJA KSIĘCIA
KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO PROSI O 1%.
NUMER KRS 0000106814

Cerkiew w Trześciance
Fot. Anna Radziukiewicz

ISSN 1230-1078



SERDECZNIE DZIĘKUJEMY ZA WPŁATĘ 1% PODATKU
NA RZECZ DZIAŁALNOŚCI FUNDACJI W UBIEGŁYM ROKU